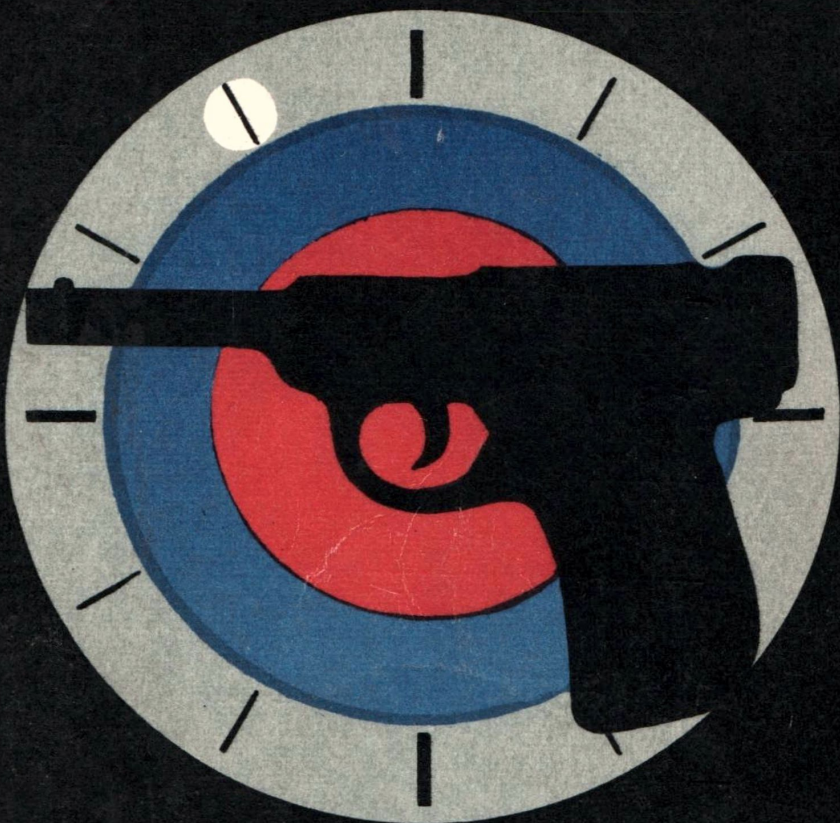




Powieść nagrodzona w konkursie zorganizowanym przez Komendę Główną Milicji Obywatelskiej i Państwowe Wydawnictwo „Iskry”.



ISKRY

B. Nawrocka

Zatrzymaj zegar
O JEDENASTEJ

Barbara Nawrocka

**Zatrzymaj zegar
o jedenastej**



ISKRY · WARSZAWA · 1973

Jeśli to nawet nie jest prawdą, tym lepiej.

Rozdział I

Wysiadł z dwójki i stanął na krawędzi chodnika. Tramwaj mijał go zgrzytając, punkciki oświetlonych okien oddalały się, znacząc drogę w pustym wąwozie ulicy. Migotały tam coraz nikłej, jak luki statku zanurzającego się w morską mgłę.

Mężczyzna postawił kołnierz płaszcza. Zaczynał się listopad i mgła rzeczywiście krążyła wokół koron latarni, tworząc drgającą, promienistą aureolę, tłumiącą ostrość światła. Spojrzał w kierunku, gdzie odjechał tramwaj. Ulica wydała mu się poszerzona, jakby ktoś porozsuwał domy na boki, niby klocki.

„Niczego nie można poznać. Aha, położyli asfalt. Dawniej całe Bródno było zabrukowane kocimi łbami”.

Prosta, gładka, uciekająca w perspektywę wstęga asfaltu złudnie rozszerzała stary, bródnowski trakt. I — było pusto. Nie ruszał się z miejsca, zasłuchany w ciszę przedmieścia badał uważnie pustkę. Czuł się jak człowiek stojący z ręką na klamce u drzwi, do których drogi poszukiwał przez 28 lat. I coś w tym sensie właśnie mu się zdarzyło. Teraz należało tylko nacisnąć klamkę i... Uprzytomnił sobie, że przez te lata wcale nie myślał o upływie czasu. Rozejrzał się znów, jakby się dziwił tej ulicy, tej dzielnicy Warszawy, swojej w niej — powrotnej — obecności. Od kilku minut wydawało mu się, że ma do czynienia z kimś obcym, zupełnie nieznanym facetem, siedzącym w jego własnej skórze. Ten drugi napełniał go niechęcią, wręcz irytował. W stłumionym mgłą świetle, sączącym się z góry na

kawałek chodnika — pierwszy raz — odczuł dotkliwie bieg czasu. Przemijanie. To wrażenie tłumił teraz — zazwyczaj tak silnie napięty w nim — instynkt, nerw życia. Świat odbarwiał się z kolorów, jego kształty traciły wyraźne kontury, gdzieś daleko odchodziły zapamiętane obrazy, zapachy, jaskrawość światła i głębia cienia, wyciszały się dźwięki, bicie serca, pragnienia i spełnienia. Pomyślał, że tylko obojętność pozostaje niezmienna.

„Obojętność? Do diabła! Szedłem za śladem, jak gończy, 28 lat. Kto by w to uwierzył? Lubiłem dłubać w samochodach. Przez to nie skończyłem mechaniki. Brałem jakieś posady po biurach, co parę lat w innym mieście”.

Ktoś szedł chodnikiem po przeciwnej stronie jezdni. Pospieszny krok odbijał się rytmicznym echem w pustce ulicy. Śledził przechodnia, ale tamten mężczyzna w kolejarskim mundurze nie podniósł głowy. Szedł krokiem zmęczonego człowieka, po długiej służbie, zajętego myślą o kolacji i łóżku.

Odprowadził wzrokiem obcego, zerknął na zegarek. Była 22.30. Ze strony nieznanego nic mu nie groziło. Wiedział jednak, że nie powinien tak sterczeć, tracić czas. Co się raz zaczęło, powinno znaleźć swoje zakończenie.

Skreślił w boczną ulicę. Szedł na pewniaka, chociaż szczegóły — to co można przyrównać do makijażu miasta, dzielnicy — i tutaj uległy zmianie. Skreślał tak kilka razy, aż znalazł się w wiekowym, ślepym zaułku. Przykucnięte drewniaki nadal stały. Rozdzielone jedną kamienicą i mniejszym murowanym domkiem jeszcze trwały. Niezniszczalność przeszłości, znajome ślady, dawne czasy, żyjące w tych nikomu już naprawdę niepotrzebnych ruderach, dodały jego krokom pewności. Jakby uchwycił ręką nić, zerwaną nić czasu. Wiązał ją, nadając sens temu, co czyni. Nie mógł przez dobrą chwilę odczytać numeru drewniaka, oświetlenie ulicy było tu równie stare, jak wszystko, co nosił w sobie przez minione 28 lat i co przyniósł, doniósł aż na ten próg — 1 listopada 1971 roku.

Zgiął palec, aby zastukać, ale ręka zatrzymała się wpół drogi, między deskami drzwi a jego szeroką, opiętą w nieprzemakalny płaszcz piersią. Wnętrze drewniaka zadrgało i zaśpiewało.

Zadzwończyły dzwonki, zagrały pozytywki, młoteczki zastukały kurantami. Po zasnutej mgłą uliczce goniły się gamy w polonezie, mazurku, kujawiaku, walcu, kadrylu, menuecie, zadźwięczały gongi.

Mężczyzna uniósł głowę, jakby pragnął wyostrzyć swój słuch. Mgła gęstniała, schodziła w dół, dopadała prawie dachu drewniaka. Jak tam, na szerokiej ulicy, przebijało ją światło latami, tutaj — rozbijały ją dźwięki płynące z pudła drewnianego rezonatora. Ta noc stawała się prawie tak samo nierealna, jak tamta.

Stał z uniesioną w górę dłonią, a zgięty palec nie spadał na drzwi. Słuchał. Dźwięki w swym wymiennym, raz skocznym, to płynnym biegu cichły, grała jeszcze jedna pozytywka — kurant ze Straszno Dworu.

„Nie zmieniłeś upodobań, Zegarmistrz — pomyślał. — Potrafiłeś je wykorzystać, przerobić na zawód”. Zastukał.

Przez drzwi, które otworzyły się zaraz, bez żadnych wahań ani obaw, wchodziło się wprost do jednego, za to wielkiego pokoju. Zajmował całą powierzchnię domku. Z tyłu mieściła się jeszcze kuchnia. I kiedyś, zapewne przed setką lat, przez tę kuchnię wychodziło się na podwórko, gdzie stał klozet, kurnik, może chlewik. Może ktoś posadził tam drzewo, a na pewno siał pietruszkę i marchew, hodował zioła przeciwko bólom wnętrza, zębów i strzykaniu w kościach. Te czasy jednak mało interesowały przybyłego. Uświadomił sobie tylko, że tak musiało być. Tak wyglądał ten domek i dzielnica, zanim kamienice nie zgmiotły podwórek na zapleczu drewniaków.

— Pan sobie życzy? — zapytał starszy człowiek, nawet nie interesując się za bardzo przybyłym ani mu się przyglądając. Zawrócił w kierunku stołu, usiadł za nim, wcisnął zegarmistrzowską lupę w oko i zajrzał w werk kieszonkowego zegarka. Solidnego i grubego, noszonego na srebrnych dewizkach pięćdziesiąt lat temu. Na stole leżały porozkładane szmatki, kawałki irchy, miniaturowe narzędzia i wieczko od metalowego pudełeczka, napełnione oliwą.

Przybysz nie odpowiedział. Oglądał ściany pokoju. Były dosłownie od sufitu do podłogi pokryte zegarami. Z różnych

epok i w różnych stylach wykonane, rozmaite materiałem, kształtem, przeznaczeniem i funkcją, czyniły z nagiego niemal drewniaka — muzeum. Stanowiły wspaniałą, godną zabytkowego wnętrza, kolekcję.

„Cholernie dużo pieniędzy utopiłeś w tych zegarach — pomyślał przybysz. — Więc tym zajmowałeś się przez resztę życia? Ale ja — będę miał kłopot. Dużo ich. Za dużo. Niektóre wiszą pod sufitem”.

Obejrzał się w poszukiwaniu drabinki. Nie było niczego podobnego i przybysz zastanowił się, w jaki sposób człowiek już stary nakręca te zegary. Co jakiś czas każdy zegar trzeba nakręcić.

Zegarmistrz podniósł głowę znad roboty. Uśmiechnął się. Milczenie wcale mu nie przeszkadzało. Był przyzwyczajony do tego, że klienci tracili mowę z podziwu. Zapominali na chwilę, z czym przyszli. Najbiedniejszy drewniak w okolicy nie uprzedzał nikogo o niespodziance swego wnętrza. Miejscowi, z dzielnicy, już byli przyzwyczajeni do jego kolekcji. Nie brał drogo za naprawy. Całe życie więcej bawił się i pasjonował subtelnym wnętrzem zegarka, tym sztucznym sercem biegnącego czasu, niż zarabkował. Ściągał skórę z tych, co mogli płacić, oceniał ich od razu, na oko. Gdy miał napiętą transakcję, gdy wpadło mu do ręki stare, zabytkowe cacko sztuki zegarmistrzowskiej, wtedy — łupił. Napraw ręcznych, seryjnych zegarków, jakich się teraz nosiło, wytworów maszyn i fabryk, nie traktował poważnie. Dawały mu chleb. I o tyle zasługiwały na staranie. Pracować lubił przy zegarkach wykonanych dawniej i ręcznie. Miał właśnie w palcach taką cebulę. Brzydką z punktu widzenia współczesnych — pozal się Boże — wymogów estetyki, ale z pięknym sercem.

— W zegarku liczy się werk — mruknął więcej do siebie niż do klienta — tylko werk. Ogląda pan moje zegary?

Odpowiedź nie nadeszła, więc spojrzął przelotnie na twarz przybysza, odkładając robotę.

— Niech pan pokaże, co pan tam ma?

Przybyły przyglądał się zegarmistrzowi ze szczególnym uczuciem. Starego nie dziwiła godzina, w której ktoś zapragnął

od niego usługi, nie interesował się w ogóle ludźmi. Byli dla niego nosicielami zegarków. Prawdopodobnie segregował ludzi według zegarków — potrafił go zająć ten, kto był posiadaczem interesującego zegarka. Ponieważ odpowiedź i tym razem nie nadeszła, starszy człowiek zagadnął.

— Pan chyba nie z Bródna, prawda?

— Nie.

— Późno, ale niech pan daje. Ja rozumiem, że ludzie teraz nie mają żadnego wytchnienia. Na co nam w ogóle zegarki? Żadnego odpoczynku. Kto dziś zasiada w fotelu, żeby posłuchać, jak zegar wybija godziny. Nie mam racji? Co?

— Pan mnie nie poznaje?

Starszy człowiek spojrział nareszcie uważniej w twarz swego klienta. Znow uśmiechnął się.

— Pan wybaczy, ale nie. Chociaż wzrok mam dobry. W moich latach bez takich oczu, jakie mam, nie byłoby mowy o zarobkowaniu.

— To niemożliwe — rzekł wolno przybyły. Czuł, jak ogarnia go mróz. Nie zimno, ale mróz. — To niemożliwe.

— A dlaczego? — zdziwił się starszy pan. — Czy człowiek może zapamiętać wszystkich ludzi, których spotykał w życiu? Czy zegarmistrz może zapamiętać wszystkie twarze swoich klientów? Przez półwiecze? Panie!

— Wszystkich? — powtórzył przybyły. — Wszystkich... nie. Ale tę jedną — tak!

Starszy człowiek odsunął się od stołu, wstał. Zaczął się prostować i jego opuszczone od ślęczenia ramiona potrafiły się wyciągnąć, podwyższyć sylwetkę, rozszerzyć pierś. Dokonały tego. Musiał być — nie tak dawno jeszcze — mężczyzną słusznej postawy. Przybyszowi wydało się, że Zegarmistrz — tak go wtedy nazywali — rośnie w oczach. Na starczą sylwetkę nałożyła mu się tamta, młoda, energiczna, precyzyjna w ruchach, budząca zaufanie. Ta, którą pamiętał, nigdy nie zapomniał. Nawet we śnie. Powróciła pewność siebie, jasność decyzji, przeganiając z mózgu i ciała przybysza obcą drętwość. Znow władał sobą. Wiedział, po co tu przyszedł. Znow był pewny, że nigdy, ani na sekundę, nie zawiodła go busola

pamięci, a żaden czas nie zerwał starej nici. Nic nie było w stanie wymazać przeszłości.

— Jednego człowieka? — zapytał stary i chociaż głos mu niedostrzegalnie zadrżał, zadźwięczała w nim duma. Słuch nie zawodził przybysza. Nie mylił się. To była godność. — Tak, może i był taki jeden człowiek — mówił zegarmistrz, a jego głos nie zdradzał już żadnej emocji — ale on... ten człowiek to nie pan. To był wspaniały chłopak.

— To ja! — wyrzucił przybysz z zaciśniętego gardła. -- Mniej już wspaniały, ale ja! Myślałeś, że nikt już nie przyjdzie. Nie ma nikogo i niczego. Szukałem cię. Długo. Znalazłem.

Przeleciało mu przez głowę, że za długo. Tak długo, że nienawiść już odeszła i pozostała tylko konieczność. Ale nie była to nawet myśl — zaledwie błysk myśli.

Patrzyli na siebie, oddzieleni tylko stołem, na którym wałały się części kieszonkowego zegarka. Przybysz widział jednak mimo rosnącego podniecenia, że zegarmistrz się nie boi. Pytanie, dlaczego, kołatało się gdzieś w głębi mózgu, ale nie chciało przebić się na powierzchnię świadomości. Był znów bez reszty opanowany decyzją, hodowaną przez 28 lat poszukiwań i wiecznie trwałym, wypalonym, wyrytym w pamięci obrazem tamtej nocy.

— Zatrzymaj zegar o jedenastej — powiedział i nie poznał swego głosu.

Starszy człowiek odwrócił nieśpiesznie głowę, przesunął spojrzeniem po ścianach. Oglądał swoje zegary? Sprawdzał czas?

— I przyszedłeś, Franek... o jedenastej... po tylu latach... Zadał pan sobie tyle trudu, żeby znaleźć starego człowieka! Ja, ja jestem niewinny... Byłem niewinny. Niech pan posłucha...

Dzwonek alarmowy zabrzmiał w mózgu przybysza. Wiedział, już wiedział, że jeżeli pozwoli tamtemu mówić, nie zdoła wyjąć ręki z kieszeni. Stanie się żalospną, śmieszoną figurą, nikomu i do niczego już niepotrzebną, nawet samemu sobie. Człowiekiem, który przegrał życie dla chimery, majaku. Będzie już tylko, na zawsze i do końca, głupcem hodującym urojenia. A przecież tamto wszystko, tamta noc była prawdą. Najprawdziwszą z

prawd, bo zapisaną krwią i nieszczęściem.

Starszy człowiek dostrzegł wyrok w oczach przybysza. Żadne słowa nie mogły go ocalić. I wcale nie był pewny, czy pragnąłby ocalenia za cenę czepiania się nogawek tego — dzisiaj — zupełnie obcego mężczyzny.

Nocny gość wyciągnął broń oszczędnym, wprawnym ruchem i oddał tylko jeden strzał. Potem ukląkł i przyłożył ucho do piersi starca. Nie biło.

„No, to jedno, co mnie nigdy nie zawodzi — pomyślał bez śladu emocji. — Ręka i oko. Jedno, czego nie potrafię, to chybić”.

Dźwignął ciało i przeniósł je na łóżko. Patrzył, żeby głowa zmarłego leżała na poduszce.

— Tyle mogę zrobić dla ciebie — stwierdził zimno — po 28 latach. Tego nikt z tamtych nie miałby mi za złe”.

Otworzył drzwi do kuchenki, zapalił światło. Była ślepa, jak przypuszczał. Tam, w sąsiedztwie wyrósł już duży dom. Jego ściana przylegała do drewniaka. Na piecyku stały garnki, czysto pomyte. Podłoga zamieciona, w kubelku naszykowany węgiel, obok połupane drewnka, ale drabiny nigdzie nie było. Wrócił do pokoju, przyciągnął stół do ściany, postawił na nim krzesło. Wdrapał się na tę zaimprovizowaną piramidę. Otwierał zegary, przesuwiał wskazówki na punkt jedenastą, zatrzymywał wahadła, blokował szybko obracające się kółeczka mechanizmów, drgające niby obnażone, wypreparowane serca królików. Wstrząsnął nim dreszcz chłodu czy zmęczenia, przymknął na sekundę oczy, ale dalej widział czerwone, pulsujące serca. Obejrzał się na łóżko, krwawa plama rozlewała się po koszuli zabitego, kwitła jak mak otwierający koronę, rozszerzała się w oczach. Krzesło pod mężczyzną zachwiało się niebezpiecznie, ale szybko uchwycił równowagę.

„Po co się oglądasz? — zgniewał się sam na siebie. — Spadniesz z tej ślicznie zbudowanej konstrukcji i złamiesz kark. Wysubtelniałeś przez te lata urzędolenia. Wyobraźnia ponosi. Tam leży morderca, nikt inny i nic więcej. I co z tego, że umiał na koniec ładnie mówić. Każdy łajdak jest niewinny, kiedy trzeba płacić. Sądy też nie widziały jeszcze takiego, który

oszczędziłby im roboty. Nawet w Norymberdze siedzieli na ławeczkach sami niewinni. Załatwiłeś swoją sprawę i dobrze. Pośpiesz się z zegarami i me myśl o królikach. Ten, tam, nie umierał jak królik. Może w pewnym wieku człowiek w ogóle przestaje się bać śmierci. Gdyby co do czego przyszło, ja bym się też nie bał. Miałem tyle razy okazję umrzeć, że mogę życie uważać za podarunek. Kostucha może nagle zmienić zdanie i cofnąć swój kredyt. Nic strasznego nie wymknie z tego dla świata. Ludzkość nie zadrży z żalu po mnie. Nie mam jednak wątpliwości, że ogarnia ją ulga, gdy pozbywa się lajdaka”.

Spociał się przeciąganiem stołu, wielokrotnym schodzeniem i wspinaniem się na niewygodne, chybotliwe podwyższenie. Mdląły mu ręce od mocowania się z nieraz opornymi wskazówkami, od trzymania ich w górze, tylko z krótkimi odpoczynkami. Zanim zatrzymał ostatni zegar, minęła chyba godzina i dopiero gdy skończył, przypomniał sobie, że drzwi wejściowe za plecami były cały czas nie zamknięte.

Wcale się tym nie przestraszył. Zeskoczył na podłogę, przekręcił klucz w zamku. Chciał ustawić stół z powrotem na środku pokoju, ale coś go powstrzymało, jakby niebezpieczeństwo oblekło się nagle w materialny kształt i dotknęło go palcem. Chwilę, trwał zasłuchany w siebie. Roześmiał się. Cisza, śmiertelna cisza poraziła na sekundę jego zmysły. Wszystkie zegary milczały. Znał taką ciszę, już raz jej doświadczył. Kiedyś. To była cisza śmierci i w tym właśnie podobna do tej. Obojętnym wzrokiem obrzucił łóżko i wyciągnięty na nim kształt. Za długo układał sobie scenariusz tej nocy, żeby się naprawdę bać. Chyba jeszcze wtedy, tamtej nocy zobojętniał na każdy strach. A teraz stał tylko na dziwnym cmentarzu zegarów.

Ustawił z powrotem stół, obok niego krzesło. Rozebrany zegarek dalej walał się na blacie. Jakimś trafem nie rozdeptał żadnej części przy wspinaniu się na krzesło.

„Uważałem, jak stawiam nogi — stwierdził. Wzruszył ramionami. — Czyjś zegarek. Wróci do właściciela. Na pewno ma dla niego wartość. No, nie zniszczyłem mu pamiątki po dziadku”.

Było piętnaście po pierwszej. Podszedł do łóżka. Śmierć położyła już swoją maskę na twarz starszego człowieka.

— Do widzenia, Zegarmistrz — powiedział głośno. — Skończone. Nareszcie. Mogę iść swoją drogą.

Zgasił światło i zamknął bezszelestnie drzwi na klamkę. Gdy stanął znów na opustoszałym chodniku przed drewniakiem, prawie nie poznał zaułka. Ćmiąca światłem gazowa latarnia, kontury domów wydały mu się inne. Pomyślał, że to mgła się rozprasza i wedle swego kaprysu kształtuje fragmenty miejskiego obrazka. Ale naprawdę to wiedział, że uliczce zabrakło po prostu śpiewu zegarów. Umarła. Razem z zegarmistrzem. Ruszył przed siebie gwałtownym krokiem. W głowie zaczęła mu się obracać głupia myśl, której nie mógł w żaden sposób odpędzić.

„Wszystko musi przyjść w swoim czasie. Dla ciebie ta sprawiedliwość przyszła chyba za późno. Za późno. Nie ocyganisz się, za późno. — Zacisnął dłoń na kolbie pistoletu, spoczywającego w kieszeni płaszcza. — Ale dla nich trwa jeszcze tamta noc — powiedział niemal głośno, żeby zaprotestować przeciwko sobie, biegnącemu czasowi i całemu światu. — Dla nich będzie trwała wiecznie. Niezmiennie. Dla nich”.

Wyszedł na główną ulicę i zniknął w jej wąwozie w podnoszącej się na dobre kurtynie mgły. Wsiąknął w ciemność, jak odpływający statek ginie w morzu, zlewającym się z horyzontem.

Rozdział II

Kapitan Korda zaniknął drzwi drewniaka za znikającymi w karetkie noszami. Coś go jeszcze irytowało, przeszkadzało myśleć. Aha, łatwość wejścia do tego pokoju, wprost z ulicy. Przekręcił klucz. Był nareszcie bezpieczny, sam ze sobą, nikt mu tu nagle nie wtargnie, nie zacznie gadać nad głową.

„Zupełnie nie ruszony majątek w zegarach — stwierdził obiektywnie. — Nawet ten, na stole, rozbebeszony Schaff-

hausen”.

Nie pozwolił na razie zabezpieczyć spadku po zegarmistrzu. Klucz do tajemnicy znajdował się w tych zegarach, w tym pokoju, takim, jaki był w chwili rozgrywającego się dramatu. To nie było pospolite morderstwo, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ale nie wątpił też, że sprawca zabójstwa powinien odpowiadać jak morderca, albowiem żadna osobista tragedia nie jest w stanie okupić cudzego życia.

„Ano, odpowie — pomyślał z odrobiną przekory — jeżeli go złapiemy. Hm, hm, hm. Drań, nie bał się przez tyle czasu ustawiać zegary na jedną godzinę. Mały zaułek, ktoś mógł usłyszeć strzał. Niczego się nie bał. Lepiej — nikogo. Dlaczego? Jaka była ta jego słuszność, że czuł się ręką sprawiedliwości, prawa czy diabli wiedzą czego, co wykluwa się we łbach takich „mścicieli”? Nie interesował się sobą w tamtej chwili. O czym to świadczy? Co oznacza ta jedenasta godzina? Wszystko. Gdzie jednak szukać tego „wszystko”? W jakim miejscu, czasie i okolicznościach? Kogo wreszcie szukać! Stary nie miał nikogo z rodziny. Nie znał nikogo i jednocześnie znało go całe Bródno. Muzeum Narodowe dostanie piękny spadek, nie ma co. Ale zajrzeć do tych zegarów można. Czemu nie? Nie zajmie mi to więcej czasu, niż tamtemu zatrzymywanie wahadeł”.

Kapitan rozejrzał się za drabiną. Nie było. Zaszedł do kuchni. Zawiedziony, przyciągnął stół do ściany, ustawił na nim krzesło, ale zanim się na nie wdrapał, przejechał wzrokiem po tarczach zegarów, obracając się wokół własnej osi, tak, żeby objąć jednym spojrzeniem naraz cztery ściany. Nie, nie było żadnej pomyłki. Wszystkie wskazówki pokazywały tę jedenastkę, ani jedna tarcza nie chciała przemówić inaczej i w sumie ten niemy znak zaczynał niemal po ludzku krzyżeć, atakować wyobraźnię, naciskać jak olbrzymi tłok na mózg patrzącego. Było coś przeraźliwego w martwocie setek tarcz, przekreślonych jedną ukośną kreską wskazówek, bliźniaczo, identycznie, chociaż zegary były tak bajecznie rozmaite.

„O to ci chodziło — odezwał się w myślach Korda do swego nieznanego na razie przeciwnika. — Chciałeś kogoś przestraszyć. Wyryć komuś w mózgu ten znak. Na wieczność. Ale kogo

przestraszyć? Komu dać nauczkę? Gdzie jest ten drugi albo drudzy? Psiakrew, może im grozić takie samo niebezpieczeństwo, jak temu, tutaj. Jeżeli cię nie przymkniemy... No, włożyć na krzesło. Zajrzemy, czy nie ma tam jakiejś kartki, przedmiotu, jeszcze jednego znaku. To znacznie bardziej celowe, chociaż niesporo idzie mi już hycanie po takich konstrukcjach. Myśleć będę później. Trzeba najpierw złapać za jakikolwiek koniec nitki. Nawet najszczelniejszy kłębek ma swój początek i koniec”.

Spociał się i zasapał, zanim otworzył dziesiątkę zegarów. Obejrzał się z rozpaczą po ścianach.

„Gabler poskakałby łatwiej i z przyjemnością — wezwał w duchu na pomoc swego zastępcę. — Uważa, że gimnastyka świetnie robi na linię. Mógłbym zaczekać na Zygmunta, ale cholernie korcą mnie te zegary. Murowane, nie będę mógł dobrze zasnąć przez najbliższe noce albo zacznę śnić o zegarach. Jak tylko wszedłem do tego idiotycznego drewniaka, jakby nie było wcale wojny, nie wiadomo dlaczego takie coś zawsze ocaleje, pomyślałem sobie, że ty, bracie, wpadniesz przez ten dowcip z zegarami. Musisz wpaść. Przyzwoity morderca nie robi sztuczek. I wie dlaczego. Fantazja, zbyt wybujała fantazja, gubi chojraków. Ta jedenasta godzina wcześniej czy później zaprowadzi mnie do ciebie”.

Kapitan zachwiał się na krześle i omal nie wylądował niżej, na podłodze, bo w rokokowym, wiszącym, okrągłym cukiereczku bieląła zwinięta kartka:

Naoliwić 25 grudnia 1971 r. Nie później!

Wykrzyknik zirytował Kordę szczególnie, ale schował kartkę do kieszeni. Pochodziła ze szkolnego zeszytu w kratkę, była bardzo starannie przycięta i złożona w czworo.

„W Boże Narodzenie to oliwić! Zamiast wypić kieliszeczek pod szynkę od kości. Rzeczywiście i bez całego wywiadu kartka mówi dość o charakterze, trybie życia i znajomościach starego. Boże Narodzenie w towarzystwie porcelanowego zegara. Bo to jest porcelana i na dodatek delikatesowa. Sama powłoczka werku warta jest grube tysiące, kapitanie, i Muzeum...”

Ktoś stuknął do drzwi. Zanim kapitan zdołał znaleźć się w

przyzwoitej pozycji, na podłodze, na dwóch własnych nogach, drzwi pod ciosami niecierpliwych rąk niemal wyskoczyły z futryny.

— Nie demolować! — huknął rozzłoszczony obcesowo-ścią któregoś z chłopców.

— Co ty tu robisz, do licha? Po co się zamykasz? — zirytował się z kolei Gabler. — Pomysły. Mało mnie szlag nie trafił. Byłem pewien, że ktoś ci... coś... Słyszałem za drzwiami jakiś rumor.

— Nie. Nie coś. — Głos kapitana zabrzmiał cierpko. — Mnie jest dość trudno zaskoczyć. Mam trochę wprawy.

— Co to za piramida?

— Szympany skakały.

— Szukasz czegoś w tych gratach?

— Jakie graty! Jakie graty! Muzeum...

— Dobra. Ja jestem za XXI wiekiem. W sprawie czasomierzów też.

— No to poskacz sam. Może jednak coś znajdziesz.

— Mam włożyć na to krzesło? Kark skrócić? Każę przywieźć drabinę.

— Nie potrzeba. Tamtemu wystarczył także stół i krzesło.

Gabler spojrział na szefa, wzruszył ramionami.

— Kurzu się nawącham.

— Kichanie przecyzyszcza kanały nosowe.

Korda poszedł do kuchni. Przejrzał każdy kąt, chociaż zrobili to już specjaliści. Zajrzał nawet do kubelka z węglem, wysypując jego zawartość na blachę.

— Co tam znów za bomby? — dobiegło go z pokoju. — Chcesz, żebym naprawdę zleciał?

— Masz coś?

— Nic.

„Czy ten człowiek nie pisał listów? — myślał kapitan. — Nie prowadził rachunków? Nie przyjmował życzeń na imieniny? Można dostać hyzia. Zegarowa pustynia”.

— On lubił Nałkowską — stwierdził głos w pokoju.

Korda wyszedł z kuchni, nie ukrywając podniecenia.

— Co? Dlaczego Nałkowską?

Gabler trzymał w ręku książkę.

— Dawaj! — zawołał kapitan młodzieńczo, niecierpliwie, jakby mógł się spodziewać Bóg wie czego po książce, która nie była nawet lekturą zabitego, skoro leżała w tak absolutnym zapomnieniu.

Gabler odmuchiwał starannie książkę, unosiły się z niej tumany pyłu.

— Tu leżała — obwieścił triumfalnie. — Na tym gracie podobnym do frontonu kościoła Mariackiego. Nikt jej chyba nigdy nie czytał, porzucił pod sufitem. Gdybym był odrobinę niższy... ty byś jej na przykład wcale nie zobaczył. Wykluczone. Brakuje ci do tego co najmniej siedmiu, no, pięciu centymetrów.

— Daj — powiedział kapitan groźnie. — „Romans Teresy Hennert” — przeczytał. — Wszystko?

— A czego byś jeszcze pragnął? Niczego nie ma w tym apartamencie ani w tych gratach, przepraszam, antykach, zabytkach. Dobrze przeszukaliśmy domeczek.

— Dobra, dobra. Postaw stół na miejscu.

— Dlaczego? — zaprotestował Gabler. — Jeszcze jedna ściana. Ta nad łóżkiem. Niepojęte, jak ten człowiek mógł zasypiać w takim chóralnym tykaniu?

Kapitan nie słuchał, nie odpowiedział. Notował w protokole oględzin czas i miejsce znalezienia książki, potem wsunął ją do kieszeni.

— Przyślij tu kogoś na noc — powiedział. — Dziś nie da rady zabrać zegarów. To majątek.

— Jedziemy?

— Uhm. Nie mamy czego więcej tu szukać. Nawiązałeś romans z Teresą Hennert, bo jesteś ode mnie pięć centymetrów wyższy — zakpił.

— Ja? — obraził się Gabler, przyjmując zaproponowaną przez szefa konwencję rozmowy. — Zwracam ci uwagę, że zabrałeś mi Teresę, zanim zdążyłem sprawdzić, com znalazł.

— Znajdziesz drugą. Wysocy chłopcy mają szczęście u dziewcząt — roześmiał się kapitan.

Gabler przyjrzał się dyskretnie szefowi.

„Złapał coś i to dzięki mnie — stwierdził z odrobiną

zazdrości, ale i zadowolenia. — Ja to znalazłem na samym wierzchu cudaka z wieżyczkami jak katedra w Mediolanie. No, poczekamy, stary puści farbę rozdzielając chłopakom zadania. Będę wiedział, jakiego odkrycia dokonałam dzięki temu, że matka natura straciła na mnie miarę”.

— Czytałeś to? — zapytał szefa oględnie.

— Co? — zdziwił się kapitan, jakby już nie pamiętał tytułu książki. — Aha, „Teresę Hennert”. Możliwe. Nie pamiętam. Zresztą nie o tę książkę mi chodzi, ale o stempel. Stempel biblioteki.

Rozdział III

Spał mocno w pociągu. Mało brakowało, a przejechałby stację. Było jeszcze ciemno, gdy wysiadł, zanim doszedł do domu, zszarzało. Nigdy dotąd miasto nie wydało mu się tak dobrze, na pamięć, znane. Wygodne i zadomowione. Ilekroć wyjeżdżał i wracał do różnych i wielu miejsc swego dotychczasowego postoj, czuł się zawsze jak przybysz, jak przejezdny. Nawet w okolicach, które przemierzał tysiące razy, tam i z powrotem, ruchem niemal wahadłowym, z jakiego w gruncie rzeczy składa się każda codzienność. Teraz, o świcie, nieoczekiwanie spodobała mu się monotonia oglądanego pejzażu. Może dlatego, że nie musiał już nigdzie wyjeżdżać, szukać nowej pracy, przyzwyczajając się do innych ludzi. Mógł nareszcie polubić to, co miał.

„Trwałość jest niezłą rzeczą — pomyślał chyba pierwszy raz w życiu — wyrobione nawyki, znajome kąty. Wygodne mieszkanie, dobra stołówka, przyjemna kawiarnia. Finis, koniec, ende”.

Stwierdzał to, ale nie czuł ulgi, gdzieś na dnie świadomości mieszkąło uczucie zagrożenia. Innego rodzaju, niż kiedyś, niż tamto sprzed 1 listopada. Zdawało mu się dotąd, że kiedy załatwi tę sprawę, jego życie zmieni swój bieg o dziewięćdziesiąt stopni. Usiłował się teraz właśnie o tym przekonać, ale zwątpienie drażyło jakąś warstwę myśli. Być może

najgłębszą, niemniej jednak niepokój dobywał się z niej jak ledwo uchwytny sygnał z ciemności, jak odbicie dalekiego światła, stłumionego dźwięku.

Wmawiał sobie, że teraz może mu się przytrafić nareszcie coś dobrego. Coś takiego, co zdarzyło mu się dawno, jedyny raz, z Bašką.

„Trafiłem przecież na tę drugą część rozłupanego uderzeniem narodzin jabłka— przekonywał się bez przekonania.— Złożone dwie części idealnie pasowały do siebie. Ale to było dawno — podpowiedział rozsądek. — Wszystko, co dobre, najlepsze, staje się samo i tylko w młodości. Dawno przekroczyłem czterdziestkę. Po prostu nie chce mi się tylko o tym pamiętać, ale mój wiek wyklucza już szczęście zaślepienia”.

Jeszcze w palcie otworzył lodówkę, wyciągnął z niej mleko. Zapalił gaz. Coś krępowało mu ruchy, palto z obciążoną kieszenią. Wylał jednak mleko do garnuszka i postawił je na gazie. Zdjął buty i w skarpetkach powędrował w głąb mieszkania. Stał na środku pokoju, oglądając swój azyl, na koniec i nareszcie trwałe schronienie. Szacował stan swego posiadania, jakby miał zamiar na czczo zrobić rachunek życia. Nieźle urządził sobie kawalerkę, w nowym bloku, od południowej strony, z małą loggią. Koledzy w biurze namówili go, żeby zapisał się do spółdzielni. Zrobił to po pierwsze dlatego, aby nie budzić podejrzeli swoim brakiem zainteresowania dla jakiegokolwiek stabilizacji. Wiedział, że nie może się zakotwiczyć na stałe, zanim nie załatwi tamtego. Nie chciał, jednak wzniecać w małym mieście zainteresowania odmiennym trybem życia, pogardą dla trudnych do osiągnięcia wartości, które biuro wsuwało mu niemal do ręki. W ciągu trzech lat dostał mieszkanie. Skoro już było, musiał je urządzić. Najpierw znów nie chciał zachowywać się inaczej niż koledzy, później urządzenie pierwszego własnego kąta sprawiało mu nawet przyjemność. Nie mąciła tego świadomość, że może się tak zdarzyć, będzie musiał wyjechać, sprzedać kawalerkę, pakować, ciągnąć za sobą — tym razem — meble. Kosztowały go sporo starania. Polubił je.

Wyjął z kieszeni pistolet, wyciągnął z niego magazynek,

wyłuskał naboje na dłoń. Uśmiechnął się. Nie zmarnował ani jednego więcej, niż było potrzeba.

„Bezbłędna robota. Pewniak, nie marnujący nigdy amunicji — stwierdził ironicznie. — Tak. To ja. Ale tym razem już koniec. Nie będzie więcej bezbłędnego pewniaka. Umarł. W 28 lat po tamtej śmierci”.

Pomyślał, że trzeba wyczyścić broń, owinąć ją flanelową szmatką i schować w przemyślną szufladkę komódki, jedyne go starego mebelka, na który się wykosztował. Nie z powodu tej szufladki. Sam odkrył ją przypadkowo, mieściła się w głębi komódki, za dużą szufladą. Trzeba było po prostu wyjąć dużą szufladę, żeby trafić na małą. Z zewnątrz i na oko wymiary mebla nie nasuwały przypuszczenia, że mogłaby się w nim kryć dodatkowa, tak mądrze wykorzystana powierzchnia. Kiedyś przeciążona szuflada wysliznęła mu się z ręki i znalazła się wraz z zawartością na podłodze. Wówczas spostrzegł tylną szufladkę. Ucieszył się tajemnicą mebla. Jak wszyscy ludzie lubił tajemnice. Schował tam swoją starą parabelkę. Szufladka okazała się jakby stworzona dla pistoletu. Wyobrażał sobie, że niegdyś jakaś kobieta trzymała w niej perły albo brylanty. Niczego bardziej prozaicznego nie chciał się domyślać. Pistolet, w pewnym sensie, miał zresztą dla niego wartość większą niż perły.

Powinien go teraz nasmarować wazeliną, żeby nie zostało śladu po strzale, i wsunąć do tej właśnie szufladki. Ale stał ciągle w płaszczu i na szczęście przypomniał sobie o mleku. Jednym skokiem znalazł się w kuchni. Na powierzchni garnuszka robił się już balonik. Przekreślił gaz i śledził niespokojnie, czy balonik zdradza tendencję do puchnięcia, czy odwrotnie, cofnie się w mleczone głębiny. Wpatrywał się z napięciem w drgający mleczny naskórek, uprzytamniając sobie nagle, że kilkanaście godzin temu zabił człowieka, a w tej chwili nie ma niczego ważniejszego na świecie niż to, czy mleko chluśnie z garnka na płytkę kuchni i narobi mu swędu w mieszkaniu. Nie cierpiał zapachu przypalonego mleka. Kilkanaście godzin temu zamknęła się czy on zamknął najważniejszą sprawę swego życia i dalej nie lubił swędu z

przypalonego mleka,, a więc nic się nie zmieniło.

„Prawdopodobnie ludzę się tylko, ludziłem się, że coś można zaczynać tak doskonale od początku — pomyślał. — J a będę szedł zawsze ze sobą. Nie stałem się od jedenastej godziny, dnia pierwszego listopada kimś innym. I nie stanę. Do diabła. Te bzdury. Zdejm mleko z płytki i zrób sobie kawę”.

Rzucił płaszcz na tapczan, spojrzął na pistolet oczekujący spokojnie swego losu. Odeszła go nagle chęć zadbania o ten do niczego niepotrzebny już przedmiot. Całe" lata chuchał na niego i dmuchał, czyścił czarną, oksydowaną stal. Zaglądał często do szufladki nawet bez potrzeby. To była jakaś część jego istnienia. Bez tej szarawym nalotem pokrytej czerni, eleganckiej i wypolerowanej, nie miałby po co wielokrotnie ponawiać wysiłków odnalezienia tamtego człowieka. Teraz parabelka stała się czymś podobnym do fragmentu dekoracji ze sztuki, która nigdzie, nigdy nie będzie więcej zagrana.

Włożył naboje do magazynku, wsunął magazynek na miejsce, dobijając go mocno nasadą dłoni. Wyciągnął szufladę, wrzucił parabelkę do małej szufladki, położył obok niej flanelkę. Zasunął obie szuflady i otrzepał ręce.

„Trzeba zjeść śniadanie, nie spóźnić się do biura, zatelefonować o dwunastej do Ireny. Trzeba, trzeba! I trzeba dalej to wszystko ciągnąć. W tym sęk. Zupełnie nie wiem, co dalej ze sobą robić. Jak to co? — zirytował się na siebie. — To, co zawsze. Nie. Zawsze skończyło się nieodwołalnie. Wczoraj, o jedenastej godzinie. Mam zacząć nowe życie. Bardzo podobało mi się to brzydkie miasto, gdy szedłem do domu. Cholernie podobało mi się mieszkanko, gdy do niego wszedłem. Ratowałem mleko przed wykipieniem. I... nie wiem, co zrobić z resztą tak interesującego mnie dotąd życia”.

- Stracił apetyt. Nie chciało mu się mleka, nie chciało mu się golić, zmieniać koszuli, wiązać krawata.

„Zgłupiałem, bo już wszystko zrobiłem — stwierdził spokojnie. — Niczego nie planowałem poza tym. Nie mogłem planować. Teraz znajduję sobie normalny cel, jak wszyscy ludzie. Ożenię się. Czyżby? — zakpił. — Spłodzę jedno albo dwoje dzieci. Kupię większe mieszkanie. Będę chodził do teatru,

przyjmował gości, składał wizyty; uczył dzieci moralności, wierności zasadom, będą kierował je na ludzi. — Roześmiał się na cały głos. — I powiem dziewczynie, z którą się ożenię, jak to ze mną było? A czym zawiniła ta dziewczyna, żeby wkładać jej na głowę taki pasztet? Albo dzieci... przypuśćmy, że ktoś, kiedyś wpadnie na mój trop. Wykluczone. Mojego tropu nie ma. Ja nie istnieję. Dla żadnej milicji ani policji. Jeżeli nawet nie istnieję dla nich, istnieję sam dla siebie i kropka”.

Zerwał się, nalał sobie mleka do szklanki. Z zawziętością, z precyzją kroił chleb i szykował porządne, apetyczne kanapki. Wziął prysznic, ogolił się. Stał w lustrze i badał swoją twarz. Lata nie odebrały jej atrakcyjności. Nie był urodziwy, ale posiadał to, co kobietom i mężczyznom podobało się znacznie bardziej — męskie rysy. Nie miał skłonności do tycia, jego ciało pozostało żyłaste, suche, umięśnione, barki szerokie, piers płaska, brzuch wklęsły.

Nosił skórzane marynarki, bo było mu w nich do twarzy. Potrafił szybko biegać, nie dostawał zadyszki. Świetnie pływał, mocno trzymał w garści żagiel i wiosła. Każde lato spędzał na jeziorach i każdy miesiąc wodniaka przynosił mu przedłużenie młodości o rok albo oszukanie o tyleż zbliżającej się starości. Zresztą nie myślał o niej, nie miał czasu i nie myślał. Nie doznał jeszcze obok kobiety tego obezwładniającego lęku słabości, odpływu sił, gasnącego ognia życia, jedyne, który się liczy. Wiedział, że nie śmierć decyduje, ale właśnie ten moment, tak bowiem dla człowieka zaczyna się umieranie. Zatrzymanie serca, później, w wiele lat później, to tylko formalność. Czcza formalność. Nie bał się jej, bo nie wierzył w wartość życia bez miłości, nawet uproszczonej, biologicznej. Nie wierzył w łaski i honory szanowanej starości. Nie chciał jej, nienawidził obojętności, kryjącej się pod maską mądrości. Miał odrazę do kłęski, porażki, a czymże innym jest starość? Chłonność umysłu, zdolność działania — był przekonany — wiąże się ze sprawnością ciała, nie z jego uwiędnięciem.

„Ach, o czym tam myśleć. Jakoś się jeszcze pożyje. Swoje — zrobiłem. Swoje — nie swoje. Nasze. Mam z głowy rachunki. Jutro, pojutrze wykluje się samo. Czy ktoś żyje inaczej?”

W biurze zapytał nagle kolegi siedzącego z nim po przeciwnej stronie zestawionych biurk.

— Słuchaj, Michał, planowałeś sobie coś kiedyś?

— Co?

— Życie.

Zagadnięty podniósł głowę znad papierów.

— Musisz palnąć sobie setkę, nie? — Po chwili namysłu dodał już poważnie. — Potrzebujesz pieniędzy? Chcesz się zenić z Ireną?

— Nie. Nie potrzebuję pożyczki. Nigdy nie ożenię się z Ireną

— powiedział z przekonaniem, które nie wiedział skąd przyszło.

— Wobec tego za długo to ciągniesz. Przepraszam, że się wtrącam w nie swoje sprawy.

— Masz rację. Za długo.

— A ja — planowałem. Różne rzeczy. Nieświadomie. Jak większość ludzi. Po kolei: matura, studia, praca, małżeństwo. Robiłem to dość typowo. Czy można to nazwać planowaniem? Nie wiem.

— Udała ci się rozgrywka?

— A jednak potrzebujesz setki! — roześmiał się mężczyzna o imieniu Michał. — W jakimś sensie udała mi się. Pewnie, zawsze więcej się człowiekowi wydaje, niż później potrafi zrealizować. Nie narzekam. Kupiłem Skodę. W przyszłym roku wypuścimy się nią za granicę. Chłopak dobrze mi się chowa.

„Oj, nie, nie tak — jęknął w głębi siebie. — Nie to. Nie tędy”.

Poczuł zmęczenie. Był zły na siebie za głupie pykania, których nigdy, pod żadnym pozorem nie należy zadawać kolegom z pracy, w biurze.

— Michał, do szefa! — zawołał kobiecy głos. Głowa o długich, prostych włosach, wsunęła się w uchylone drzwi.

Samotność i cisza w pokoju sprawiły ulgę. Oparł brodę na rękach.

„Dlaczego on się nie bał? Dlaczego tak umierał? Nie będę o tym myśleć — postanowił kategorycznie. — To jest skończone. Nieodwołalnie skończone. Racja stała po mojej stronie. Dla niego nie było nigdy żadnych okoliczności łagodzących”.

Miał jednak przeświadczenie, zatopione w głębi mózgu

przeświadczenie, z którym ciągle walczył, aby nie wypłynęło i nie zawładnęło nim, jak kiedyś tamto, które przywiodło go 1 listopada 1971 roku o jedenastej w nocy na próg drewnianego domku — miał więc to przeświadczenie, że Zegarmistrz z nim wygrał. Męczył się, bo był przekonany, że łajdaka trzeba zmusić do kapitulacji. Zrobił to, zmusił Zegarmistrza do poddania się wyrokowi losu. Należy zatem to śmierzące wrażenie niepewności stłamsić, zdusić, wyrugować z siebie nawet za cenę... za jaką cenę? Trzech dni pijaństwa, brutalnej awantury z kimkolwiek czy po prostu wzięcia się w garść. Nie wiedział, co wybierze, a raczej, co wybiorą za niego okoliczności. Już czuł się zależny od okoliczności i tak zaczynała się jego klęska.

Irena od razu odgadła w ten osaczający, nieznośny, kobiecy sposób, że coś się stało. Coś się w nim zmieniło, przełamało. A nawet po prostu nie precyzowała swoich wrażeń, bo tyle i tylko wiedziała, co jej zupełnie wystarczyło, że coś go od niej oddaliło czy oddzielało.

— Jesteś chory? — zapytała ostrożnie.

— Nie.

— A jednak coś ci jest.

— Nic mi nie jest. — Na razie mówił spokojnie. Starał się ją przekonać, zmylić, odwrócić jej uwagę od siebie, chociaż zdawał sobie sprawę, że to jest beznadziejne. Instynkt kobiecy jest siłą równie niepokonaną jak zachłanność, pragnienie miłości.

— Dokąd jeździłeś?

— Przecież wiesz, do Warszawy.

— Po co?

Zdziwił się szczerze, ponieważ mówił jej wielokrotnie, w jakim celu wyjeżdża, jak długo go nie będzie i kiedy wróci. Zadała swoje pytanie w taki sposób, jakby w ogóle nie było o tym mowy, jakby wyjeżdżał bez jej wiedzy i zgody, w nie znanych jej sprawach. I mógłby się założyć, że robiła to nieświadomie. A raczej o tyle świadomie, o ile w i e d z i a ł a, że kłamał. Od początku, w całej tej historii swego wyjazdu. Trzeba było za wszelką cenę zachwiać w niej tę instynktowną trafność spostrzeżenia czy przekonania.

— Nie mogę dać sobie rady z zaopatrzeniem biura. W naszej hurtowni nigdy nie ma w dostatecznej ilości kalki technicznej.

— Nie opowiadaj mi — zirytowała się nareszcie Irena. — W kraju jest tysiące biur projektowych. Gdyby każdy chciał interweniować w Warszawie o jakiś papier, wszyscy by powariowali,

— A jednak jeździ się do Warszawy w mniejszych sprawach.

— O czym ty bez przerwy myślisz?

Nie było mowy o wytrąceniu jej myśli z toru, którym raz pobiegły, zwłaszcza w tych wypadkach, gdy chodziło o nich dwoje. Sam właśnie o niczym nie myślał. Przebiegały mu przez głowę różne, nieskoordynowane fragmenty zdarzeń, przeważnie marginalnych, mało ważnych, jakieś urywki rozmów z biura, toczonych podczas obiadu w stołówce. Chwytał dźwięki z ulicy, przypominał sobie, że trzeba zagipsować hak przy półce w łazience. Mimo wysiłków nie mógł skupić uwagi na Irenie. Jej o nic innego nie chodziło. Chciał to koniecznie ukryć, że nie może wykrzesać ze siebie cienia zainteresowania jej osobą. Irena nie znosiła dystrakcji, roztargnienia. Najtrudniej było ukryć przed nią takie stany. Nieporozumienia wybuchały między nimi, gdy nie potrafił znaleźć dla niej dość miejsca w myślach, nie okazywał jej tyle uwagi, ile potrzebowała, aby poczuć się dobrze. W tej chwili nie mógł się do niczego zmusić, nie umiał zająć się Ireną. Nękała go zupełnie nowa myśl, że Irena w jakiś niepojęty sposób też usuwa się w głąb czasu sprzed 24 godzin. Należy do tamtego życia, którego nie da rady ciągnąć dalej. Ogarniało go rozdrażnienie.

„Absurdalne — pomyślał zimno. — Dlaczego Irena? Dlaczego akurat Irena?”

Nic o nim nie wiedziała. Nie znała jego przeszłości ani życiorysu. Narodził się dla niej w tym mieście, w biurze projektowym, jako posiadacz książeczki mieszkaniowej, właściciel trzech tysięcy poborów miesięcznie, przyjemnej twarzy i sylwetki, wolnego stanu i usposobienia.

— Pójdę już — odezwała się Irena, wyrывая go z chaosu sprzecznych uczuć.

— Nie zostaniesz? — zdziwił się obłudnie.

— Nie. Po co? Nie chcesz mi powiedzieć, co cię gnębi. Z tego wynika, że wolisz zostać sam.

„Gnębi? Skąd to określenie? Nic mnie przecież, do diabła, nie gnębi. Doznałem ulgi. Nareszcie, po tylu latach. Skąd ona bierze... skąd ona wie coś, Czego ja wcale nie wiem”.

— Bzdury pleciesz! — rzucił niegrzecznie. — Zostań. Jak zawsze. Po co te histerie?

— Jakie tam histerie, mój kochany — zbagatelizowała jego złość. — Czy ty masz w ogóle pojęcie o moich humorach?

Roześmiał się. Miała rację. Nie próbowała go nigdy przywiązywać do siebie scenami. Nie budziła zainteresowania, ani nie przeciwdziałała tym najstarszym, kobiecym wybiegiem, chwilowemu brakowi jego zainteresowania.

— Zostań — powtórzył cieplej.

Pokręciła głową.

— Jesteś nieswój. Inny? — zastanowiła się. — Nie wiem, weź sobie tydzień, może dziesięć dni urlopu. To sę da załatwić. Bezpłatny zawsze ci dadzą. Nigdy nie uchylałeś się od roboty dla kaprysu.

Zrównoważona i spokojna Irena zaczęła go nieprawdopodobnie irytować.

„Skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł? — zastanowił się w duchu. — Znów miałbym gdzieś jechać, szwendać się nie wiadomo po co, zamieniać pociągi na hotele, wędrować już bez celu. Oszalała! Na co miałby mi się zdać urlop w listopadzie? Od jakiego zmęczenia miałbym uciekać, czego i gdzie szukać? I tak mam za dużo czasu. Przerazająca otchłań wolnego czasu otworzyła się wczoraj w nocy przede mną. Ale ona nie może tego wiedzieć. Próbuje znaleźć lekarstwo na swój niepokój. Ja jestem jego przyczyną. Muszę ją uspokoić”.

Irena została i to było niepotrzebne. Nie zawsze i nie wszystko mogli uładzić dzięki bliskości w ciemnościach. Irena była wrażliwa na potrzebę fizycznej ucieczki, gdy nękają myśli, i dzięki temu spędzili ze sobą kilka lat. To nie była miłość, coś mniej, ale więcej niż przypadkowa znajomość, zawarta dla zabicia czasu. Miał pewność, że zawsze będzie ją lubić.

Wstał rano pierwszy, zostawiając ją jeszcze pogrążoną we śnie. Szykował dla niej śniadanie, żeby się ucieszyła, gdy otworzy oczy, że jest kochana. Zaczynał mu się jednak podobać pomysł, na który ona wpadła w niefortunnym dla siebie momencie. Ścigał tamtego człowieka przez wiele lat, nagle zabrakło mu napięcia dotychczasowego życia. Losowego totalizatora, w jaki grał przez ponad ćwierćwiecze. Ten hazard wszedł mu w krew. Już prawie wierzył, że tylko w przeszłości, tam i wtedy był sobą, a życie miało smak prawdy, której potrzebował, żeby się nie udusić. A w każdym razie tak mu się teraz wydawało.

Rozdział IV

Miasteczko, którego nazwa została odbita na winiecie stempla z tytułowej karty „Teresy Hennert”, było jeszcze mniejsze, niż kapitan Korda sobie wyobrażał na podstawie już odległych i jedynych zresztą w nim odwiedzin. Prawie duża wieś z brukowaną ulicą główną, biegnącą między murowanymi domami. Na ich zapleczu od razu otwierała się zielona przestrzeń, schodziło się tamtędy ku rzece, w dół i szło się ogrodami, sadami, które musiały wspaniale zakwitać. Listopadowa rosa z pożółkłych, wysokich jeszcze traw moczyła natychmiast spodnie do kolan, a buty nabierały gliny jak koparki. W promieniu pięciuset metrów od rozszerzenia się głównej ulicy, które można było przyjąć za rynek, rozciągał się stary, wałący się już tu i ówdzie mur parkowy jaśniepańskiej rezydencji. Mur był wspanialszy niż ukryty za nim pałacyk, a drzewa parkowe, olbrzymie i rozrosłe w koronach, sięgały prawie nieba, zahaczały o siebie potężnymi konarami, tworząc północną dżunglę buków, klonów i dębów. Zresztą i dwór na poły rozpadły, nigdy nie konserwowany, dobiegał już końca swego żywota. W jedynym nie zaciekającym jeszcze skrzydle mieściła się miejska biblioteka i obok niej czytelnia. Po oranżerii został tylko długi, prosty szkielet ścian. Trzymały go nagięte żebra wiązań dachowych niby pierścienie

przedpotopowego gada. Paradne wejście wyglądało jak dekoracja do filmów o duchach, siłach nadprzyrodzonych i nieczystych, albo o zwykłych rzezimieszkach, grasujących chętnie w zapadłych i opuszczonych siedzibach.

Tylko wieżyczka nad niegdyśszą kaplicą trzymała się jeszcze, chociaż zdjęto z niej niewielki dzwon. Gdzieś tam tynki wieżyczki świeciły łalami i jak można się było domyślić, przez kilka powojennych lat ludzie próbowali w ten sposób ocalić przed rujną mieszczącą się pod nią kapliczkę. Tak, jak wyglądała aktualnie, nie chroniła już kapliczki. Dawny dwór nadawał się tylko do rozbiórki. Kapitan Korda zanotował w pamięci te szczegóły przy pierwszych oględzinach parku i budynku bibliotecznego.

Z bibliotekarką nie miał okazji zaraz porozmawiać, bo biblioteka była otwarta tylko w popołudniowych godzinach, co drugi dzień. Oszczędzało się w ten sposób węgiel, jak poinformował go snujący się po parku dozorca z pobliskiego pegeeru, mieszczącego się na terenie dawnego folwarku. Kapitan przypilnował dziewczynę następnego dnia, gdy otwierała bibliotekę. Tylko raz rzuciła okiem na stempel przedstawiony jej przez Kordę, a zdobiący „Romans Teresy Hennert”, aby stwierdzić, że ani jednej książki z podobną pieczęcią nie posiada w swoich zbiorach. Potem, przysuwając książkę bliżej oczu, orzekła, że niewątpliwie tamta biblioteka mieściła się tutaj, ale ona sama jest za młoda, żeby pamiętać tamte czasy, a żadnej innej biblioteki niż miejska nie ma w miasteczku i nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek była. Od kiedy tu żyje i pracuje.

Stempel był wyblakły, niemniej wyraźny i wcale nie zatarty, odcisnięty zielonym tuszem, starannie przyłożony. Informował też, że właścicielka biblioteki nazywała się Apolonia Fajgiel, a jej wypożyczalnia mieściła się przy ulicy Stawowej 16. Dopiero nazwisko właścicielki stempla i, jak on świadczył, biblioteki, uprawiło dziewczynę w ożywienie.

— Ależ, proszę pana, Fajgiel, to oznacza, że ta osoba dawno nie żyje — krzyknęła. — Stąd Niemcy zabrali wszystkich Żydów i tu, u nas, działy się dantejskie sceny. Pan nigdy i nigdzie nie

znajdzie pani Fajgiel.

— Sam to wiem — mruknął kapitan.

— A poza tym na Stawowej nie ocalał ani jeden stary dom. Tam wszystko leżało w gruzach i to nawet ja pamiętam. Chodziliśmy się tam bawić, grzebać w ceglach. Czasem coś się znalazło. Stare garnki, groszaki. Raz trafił, nam cię całkiem dobry pogrzebacz i chyba moja matka ma go do dziś. — Roześmiała się.

Biblioteka była zupełnie pusta, chłód przenikał przez jesionkę. Kapitan zdziwił się, że dziewczyna może wytrzymać kilka godzin w samym swetrze.

— Zaraz piec się rozgrzeje — powiedziała lekko — będzie cieplej. Pusto? Na razie. Jeszcze wcześniej. Ludzie dopiero co wyszli z roboty. Naschodzą się. Zobaczy pan. Zwłaszcza młodzież. Z technikum — dodała z dumą — mamy swoje technikum.

Wydała mu się sympatyczną i dzielną osobą. Siedziała w tej wilgotnej ruinie, nikt nie zadbał, żeby miała dość węgla, a powinna go mieć, ile by zapragnęła. Resztką dworu robiła przygnębiające wrażenie, a ona miała taką minę, jakby rządziła przeszklonym, ogrzany centralnie, nowowoczesnym pawilonem bibliotecznym. Ręce jej szczerwieniły i palce stawiły opór przy segregowaniu kart wypożyczeń.

— Zaraz nie będzie zimno — powtarzała, grzebiąc w starym, kaflowym piecu, podsycając żar i bacząc jednocześnie, żeby ciepło nie uciekało na pokój. — Ja tu sprzątam, muszę co jakiś czas uszorować podłogę, a codziennie to zetrzeć szmatą, zwłaszcza na jesieni. Nanoszą mi błota.

— Jeden etat? — zapytał Korda domyślnie.

— W takim miasteczku... jak ma być inaczej?

— Ile pani zarabia?

— Ee, nie warto mówić. Ja lubię tę robotę —: dodała szorstko.

— Pewnie pani dawno tu mieszka, co? — zapytał domyślnie.

— Od urodzenia — przyznała się chętnie. — Wszyscy tu nas znają.

„To dobrze, że wszyscy” — pomyślał kapitan, a głośno

dodał:

— Chciałbym porozmawiać z pani matką.

— Z matką? — zdziwiła się szczerze.

— Uhm. Jeśli można...? "

— Czemu nie? — zawahała się. — Ale co ona może panu powiedzieć?

— Dużo. Mieszka tu dawno — powtórzył — prawda?

— O, żeby pan wiedział, jak dawno! Ojciec przywiózł tu matkę, wie pan, zaraz po ślubie. Mój ojciec pochodził z tego miasteczka. Ojciec wiedziałby więcej, ale ojca Niemcy zabrali w czterdziestym trzecim. Matka nie wie dokąd. Nie wrócił.

— Za co go wzięli? — zainteresował się kapitan po swojemu.

— Czy to wiadomo? Wzięli. Siad zaginął. Nie wrócił. Zwykła rzecz — zaczęła grzebać w szufladzie biurka. — Może ja napiszę kartkę na drzwiach, że zaraz wracam, i zaprowadzę pana do matki.

— Nie trzeba — sprzeciwił się kapitan. — Ludzie będą czekać. Niech mi pani da tylko adres.

— Och, u nas ludzie chętnie czekają — zbagatelizowała. — Nie mają znów tak wiele do roboty wieczorami i na jesieni.

Wygrzebała klucz z szuflady, wyszli oboje przed pałacyk. Korda czekał, aż przyszpili karteczkę do drzwi biblioteki i ogłądał wieżyczkę nad kaplicą.

— Co tu było? — zapytał bez zbytej ciekawości. Ot tak, żeby oswoić dziewczynę, nastawić ją do siebie przychylnie. Po prostu okazać zainteresowanie jej życiem i otoczeniem. — Czy w tym medalionie był jakiś obraz? Rzeźba? Klejnot rodowy?

— Na szczycie wieży? — ucieszyła się pytaniem. Chyba lubiła ten wałący się gruchot, nazwany szumnie biblioteką. — Tam był zegar. Ale nie chodził. Nigdy nie chodził. Ktoś się wreszcie jakiejś nocy połakomił na niego. Może go sobie zreperował?

Myśli kapitana Kordy, które płynęły dotąd leniwie, stosownie do klimatu otoczenia i prowadzonej z dziewczyną rozmowy, doznały impulsu. Był od kilku dni niemal uczulony na każdą, najgłupszą wzmiankę o zegarach.

— Zegar? Składał ktoś meldunek o kradzieży? — zapytał szybko.

— Proszę pana! Skąd! Po co? — przeciągnęła znów bagatelizująco. — Zegar na wieży zupełnie by się zniszczył, jak wszystko. Widzi pan przecież. A tak może ktoś ma z niego pożytek i zegar się uchował.

Szli w dół do miasteczka tak samo wolno i nierychliwie, jak płynęło tu życie. Dziewczyna uchyliła drzwi do jakiegoś mieszkania na głównej ulicy.

— Mama! — krzyknęła — tu jest jeden pan. Z Warszawy. Chce z tobą porozmawiać. Powiedz, co wiesz. Ja muszę wracać do biblioteki. Aha, ten pan jest z milicji.

Kapitanowi ukazała się tylko przestraszona twarz starszej kobiety, tęgiej, dobrze odżywionej, po małomiasteczkowemu pewnej siebie gospodyni i zasiedziałej obywatelki.

— Ojej, czego się boisz — obruszyła się dziewczyna. — Ze starszymi to tak zawsze — zwróciła się w stronę kapitana i zaraz rzuciła pod adresem matki. — Ten pan szuka tylko ludzi, dawno umartych ludzi.

— Ze starszymi, ze starszymi — pogoniła ją gniewnie jejmość dawnego pokroju i typu. — A z wami teraz co? Big-bity, chłopaki, chaty i stroje. Jeszcze te... tranzystory czy jak tam. Jeżeli pan szuka umarłych, to pan nie znajdzie, ale niech pan siada.

To drobne spięcie międzypokoleniowe przepędziło zupełnie z ducha i oczu starszej kobiety obawę przed władzą, co kapitanowi wyjątkowo odpowiadało.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała nieprzychylnie i było to znacznie lepsze postawienie sprawy niż podejrzliwość.

— Szukam Apolonii Fajgiel. A dokładnie jakiegoś śladu po niej.

— Nie znałam żadnej Apolonii Fajgiel — sapnęła dama. — Kto się zadawał z Ży... zaraz? ... Fajgiel, pan powiada. Fajglowie mieli bibliotekę, tu, u nas, ona pracowała tak jak moja córka teraz. Ale wtedy, gdyby moja córka miała swoje lata, poszłaby do krawcowej albo do fryzjera, myć klientkom włosy. I myłaby te włosy do czasu, aż by się ktoś trafił i zagonił ją z kolei do garów i dzieci. Tak, panie, biblioteki nie oglądałaby na oczy. Pamiętam Fajglową, naturalnie, że

pamiętam. Ale tamta biblioteka była prywatna. Pamiętam Fajglową, bo się bardzo nosiła z powodu, no... książek. Rozumie pan. To były inne czasy. Ona nie handlowała byle czym, jak wszyscy Żydzi w naszym miasteczku. Ona robiła to, co moja córka, tylko miała z tego dużo więcej pieniędzy. Ona handlowała inaczej.

Kapitan wiedział, że starsza dama nie wybrnie nigdy z problemu handlu kulturą, guzikami, samochodami, ziemią czy fabrykami, a raczej różnicą czy podobieństwem czerpania dochodów z wielu, krańcowo różnych, dóbr tego świata.

„Kto ukradł zegar? — myślał. — Wątpliwe, żebyśmy do tego doszli. I po co miałbym te'go dochodzić? Gdybyśmy mieli szukać wszystkich złodziei wszystkich zegarów... Bzdura. No, może nie całkiem. To zegar z tego miasteczka. A co ja wiem o tym miasteczku? Nic. Na razie nic. I może nam, nawet gdybym najwięcej wiedział, te wiadomości na nic by się nie przydały. Muszę się przestać mobilizować przy byle zdaniu o zegarach, bo pokpię śledztwo”.

— Fajglową zatłukli jednak, jak wszystkich naszych Żydów — ciągnęła dama, ponieważ raz rozwiązany język w małym miasteczku może mówić bez końca i Kordzie też to odpowiadało. — Nic jej nie pomogło, że była inna dla swoich... inna nawet dla nas. Tak. Okrutnie ich zabijali... i ją... niech ich pan Bóg za to skarże... i za mojego... za mojego męża.

— Co się stało z biblioteką? — zapytał kapitan bez nadziei, aby mógł pozostać jakiś ślad po kartotece małomiasteczkowego księgozbioru, w którym „Kariera Nikodema Dyzmy” robiła na pewno karierę.

— To samo, co z całym majątkiem po Żydach. Wywieźli. Zabrali. Meble, biżuterię, futra, ubrania, obrazy. Zabrali i książki. Potem ten domek, co Fajglowie mieli w nim bibliotekę na dole, a mieszkanie na górze, na piętrze, znieśli radzieckie czołgi. W czterdziestym czwartym roku, jak szła ofensywa. Panie, co się tu u nas drugi raz działo. Niemcy i Ruscy na zmianę, przez trzy dni i trzy noce. Ja, mógłby pan sobie to dziś wyobrazić, ja stałam pod ścianą na rozstrzał. — Urwała i spojrzała na kapitana, oczekując efektu wyjawionej przez siebie

rewelacji autobiograficznej. Znalazła w twarzy Kordy tyle zainteresowania, ile akurat potrzebowała. — Nie! A widzi pan — wykrzyknęła. — A stałam. Ja, stara, gruba baba, która nic przez całe życie nie rozumiała i nic nie robiła poza przestawianiem garnków na blasze i praniem pieluch. Do mnie chcieli strzelać, jak do jakiegoś ważnego człowieka. I już by mnie pan nie widział, nie rozmawiałby pan ze mną. Esman już we mnie celował, a staliśmy w rzędzie, sześcioro nas było, z jednego domu. Nie z tego. Nie. Mieszkałam wtedy na peryferiach. Przy szosie. I dlatego ten dom przechodził z rąk do rąk, a myśmy przeżyli piekło.

Kapitan nawet nie próbował przerwać potoku słów, który popłynął tak nagle i w nieoczekiwanym kierunku. Zawsze pozwalał się ludziom wygadać, mówić to, na co mieli akurat ochotę. I nie tylko o to mu chodziło, mowa jest kluczem do ludzkich charakterów. Poprawił się więc na krześle, szczerze zresztą zainteresowany historią obywateli tego miasteczka.

— I wie pan, dziwne? — zastanowiła się kobieta, nad fenomenem ludzkich reakcji w obliczu śmierci, które nie zawsze pokrywały się z wyobrażeniami, jakie ci ludzie mogli mieć zachowane na taki właśnie moment. — Wcale się nie modliłam. W myślach żegnałam się tylko z dzieckiem, z moją córką. Zostawiłam ją w piwnicy. Leżała na materacach. Miała... dwa lata. Tylko z nią żegnałam się pod ścianą naszego domu, kiedy Ruscy wpadli na podwórko i nas zobaczyli. Jeden strzelił w tego esmana, co już do nas celował, ale celując w niego, musiał celować także w nas. Inaczej nie było można, a gdyby się bodaj ułamek sekundy namyślał, to wpiery byłby koniec z nami. Ruski zwałił serią esmana, ale jedna kula trafiła w chłopca, który stał obok mnie. Tak, ten jeden oddał życie za nas pięcioro. A Ruski płakał przez całą noc. Może pan sobie to wystawić? Pożary. Całe miasteczko w ogniu; szosa — jedna góra rozwalonego żelastwa, i atak, karabiny maszynowe, armaty i te ich katusze. Wszędzie niemieckie i ruskie trupy. A na naszym podwórku — dwa. Jeden esman i jeden polski chłopiec, nad nim ten Ruski, wyjący całą noc. I nie chciał iść dalej do ataku. Nie chciał. Wie pan, nie rozwalili go za to — nadal dziwiła się

temu, czego niegdyś była świadkiem, a co ciągle nie mogło wydać jej się dostatecznie zrozumiałe. — Ten nasz wybawca wziął łopatę i wykopał grób dla chłopca. Pił z manierki samogon i kopał grób, pił i kopał, coraz siadał obok chłopaka i krzyczał. Krzyczał, że ubił dobrego człowieka. Nikomu nie dał go dotknąć ani złożyć do tego dołu, który wykopał — oświadczyła jejmość ze swoim ciągle niewygasłym zdumieniem. — Panie, że myśmy tej nocy wszyscy nie powariowali, to się dziwię, sama się dziwię, - do dziś, panie, co ja już w życiu widziałam... łatwiej mi oczy zamknąć, niż komu innemu. Nie będą już tego więcej widziały. Bo stale widzą... zawsze.

Kapitan przyglądał się kobiecie i myślał, że cierpliwość, którą wyrabiał sobie przez lata służby, i teraz pozwoliła mu dobrze poznać matkę bibliotekarki, określić na własny użytek. W tej niepozornej, tęgiej mieszczone, na pewno dobrze gotującej bigos, golonkę i barszcz, kryła się siła i kawał historii narodu, do którego także należał.

— Wie pan, Rosjanie to dziwny naród — dodała kobieta już konfidencyjnalnie — oni rozumieją, jak dusza w człowieku się nagle podrze. Umieją to uszanować, nawet na wojnie. W innym wojsku za coś takiego — kula w łeb. Nie? W czasie ofensywy, w takiej mordowni. Życie tysięcy cywilnych zależało od tego ataku. Gdyby Niemcy weszli do miasteczka czwarty raz, wybiliby nas co do jednego. Za to, żeśmy kryli Ruskich, pojedynczych żołnierzy, którzy nie zdążyli się wycofać, chociaż i nasze życie niewarte było złamanego grosza. No, ale my byliśmy na swoich śmieciach i mieliśmy swoje dziury. Pomagaliśmy, jak było można. Patrz pan, oni rano wrócili po tego żołnierza, który uratował nam życie, a myśmy chcieli go już też chować przed swoimi, bośmy się bali, że go będą sądzić. A oni pokiwali tylko głowami nad grobem naszego chłopca, wzięli swego, pokleпали go po plecach i tyle. Potem chodził po miasteczku. Parę dni u nas stali. Widywałam go nieraz. Zawsze się przy mnie zatrzymywał i mówił, po swojemu, po rusku. Ja do niego po polsku. On swoje i ja swoje — zacementa³a się serdecznie. — Przez to niewiele rozumieliśmy, się, chociaż,

nie. Rozumieliśmy się. Tyle, ile nam by³o potrzeba.

„Ślad po Fajglach się urywa — myślał kapitan Korda. — Tędy nigdzie nie zajdę, ale to było do przewidzenia. Książka mogłaby wysnuć kawałek nici z kłębka, gdybym się mógł dowiedzieć, kto ją stąd wywiózł. Kto? Kto! Zaraz kto! Coś się stało, kiedyś, o jedenastej godzinie. Gdzie? Może tutaj, a może gdzie indziej. Świat długi i szeroki. Polska duża. Muszę się odzepić od tego miasteczka, ale nie mogę, bo nie mam żadnego innego śladu poza jakimś stemplem z „biblioteki aniołków”. Diabli by wzięli takie kręcenie się w ciemności. Może coś działo się w tym rozwalonym dziś dworze? W czasie wojny albo zaraz po wojnie? W majątkach w tamtych czasach rozgrywało się sporo różnych spraw. Tamtędy przebiegały silne napięcia społeczne, wyzwajające ludzkie emocje. W czasie wojny dwory wiedziały i widziały niejedno”.

— Pamięta pani, kto mieszkał we dworze w czasie wojny? A może zaraz po wojnie?

Dama zdziwiła się zmianą zainteresowań swego gościa do tego stopnia, że przez chwilę nie mogła połapać myśli.

— We dworze? Nikt nie mieszkał. Od dawna tam nikt nie mieszkał, bo wojna zastała dziedziców w Wiedniu i już nie przyjechali. Do dziś nie wrócili.

— Niemcy zajęli majątek?

— Nie. Nie zajęli. Nie dali nam swego trauhändera, jak w innych majątkach. A to dlatego, że dziedzic był Austriakiem czy z Austriakami, spokrewniony. Pisał się baron, a u nas baronów nie było. U nas byli hrabiowie albo książęta. Baron Doner miał tylko polską żonę. Ona była Polką.

— Czyżby dwór przez całą wojnę stał pusty? — zdziwił się kapitan. — A inwentarz? Ziemia?

Kobieta wzruszyła ramionami, litując się nad ignorancją swego gościa.

— Wszystko szło. Ludzie od nas pracowali na folwarku jak przed wojną. Oni tam z Wiednia pisali do takiego jednego, do Warszawy. On był chyba dalekim krewnym baronowej. Ten człowiek t'u zjechał i całą wojnę pilnował majątku. Pożal się Boże, jak go pilnował! Ludzie połowę dobra rozdrapali, bo on

się nic nie znał na rolnictwie, na gospodarce. Tyle, że był. Miał administratora i karbowego. Obaj porobili majątki.

— Pamięta pani nazwiska tych ludzi? Wie pani może, gdzie są teraz? — zapytał kapitan z nawyku gromadzenia informacji.

— Nie. Ja mieszałam z drugiej strony miasteczka. Daleko. Tam, gdzie gnieździła się bida. Nie pod bokiem dworu, jak teraz. Ale już i dworu nie ma. Niczego nie ma — westchnęła. — Pod koniec wojny ciężko pracowałam, zostałam sama, trzeba było wyżywić dziecko. Jeździłam za szmuglem do Warszawy. Brałam towar z okolicznych wsi. Skumałam się z gospodarzami. Dwór — to był już przedwojenny świat. Czasem coś tam człowiekowi obilo się o uszy. Dopóki jeszcze Donerowie mieszkali, ludzie byli ciekawi ich życia, ale w wojnę... już nic nikogo nie obchodziły dwory.

— Co się stało z krewnym baronowej po wojnie? Zaraz po parcelacji?

— Ach, jego to jeszcze Niemcy wzięli, chociaż podobno wyszedł później z więzienia. Nikt nie wie, jak to się z nim skończyło naprawdę. Mieliśmy tutaj silną partyzantkę. Krew się lała. We dworze też były aresztowania, jak w miasteczku.

— Jak on się nazywał, ten krewny Donerów?

Kobieta przyjrzała się kapitanowi z zainteresowaniem, jakby dopiero teraz dotarł do niej cel i charakter rozmowy, którą od dłuższego czasu już toczyli. Należała w ogóle do tych ludzi z małego miasteczka, dla których ich własny światek jest pępkiem ziemi, a obcy tylko intruzem.

— Pan za wiatrem goni — odezwała się nareszcie. — Dlaczego nie przyjechał pan tu dwadzieścia lat temu? Bodaj piętnaście. Fajglowie, teraz ten! Ludzie rozlecieli się dawno po świecie. Nawet ślad po nich zaginął. Dlaczego pan chce ich teraz szukać?

„Dlaczego! Dlatego, że akurat 1 listopada 1971 roku zachciało się komuś strzelać do zegarmistrza z Bródna, a nie piętnaście czy dwadzieścia lat temu. I dlatego, że tam, w drewniaku, znaleźliśmy tylko jeden adres. Nic więcej”.

Kobieta ważyła coś w pamięci. Kapitan czekał cierpliwie, nie za bardzo zajęty śladem po ludziach ze dworu. Ale — jak

inni wojenni mieszkańcy z miasteczka — mogli coś wnieść do śledztwa. Wyświetlić jakieś niezbrane okoliczności okupacyjnego życia w tych stronach. Często w odległych czasach znajdował się klucz do wielu spraw, dziejących się dziś i teraz.

— Przez kilka lat po wojnie mieszkała tu jeszcze nauczycielka — powiedziała kobieta. — Ona podczas okupacji chodziła często do dworu. Ale nie wiem, czy żyje. Miałaby pewnie siedemdziesiątkę. Ona by coś chyba wiedziała o krewnym baronowej, ale gdzieś w pięćdziesiątym czwartym roku wyjechała na ziemie zachodnie.

— Jak się nazywała? — zadał Korda jeszcze raz swoje sakramentalne pytanie.

— Zaraz... zaraz... Olga... Olga Klimentowicz albo Klimontowicz. Ona jeszcze w pierwszej klasie uczyła moją córkę, a może nawet dłużej. Chodziłam na wywiadówki i dlatego pamiętam nazwisko.

„Ano, może i pójdziemy śladem Olgi — pomyślał leniwie kapitan — ale przedtem dowiem się jeszcze od dziewczyny, kiedy zginął zegar. Tak. To nie zaszkodzi. Nawet gdyby miasteczko nie miało nic wspólnego ze sprawą zegarmistrza z Bródna. Książkę mógł przynieść do niego pierwszy lepszy klient. Książki same pałętają się po świecie i niektórzy twierdzą, że mają własne życie”.

Coś jednak ciągnęło go z powrotem do miejskiej biblioteki. Coś, czego logicznie nie umiałby wytłumaczyć. A kiedy nie umiał, szedł po prostu za kaprysem instynktu czy jak kto chciałby to nazwać. Nie lubił wdawać się w takie rozważania.

Bibliotekarka podniosła głowę na dźwięk otwieranych drzwi; poznając kapitana, uśmiechnęła się zachęcająco. Było w tym sporo ciekawości, w miasteczku najwidoczniej niewiele się działo, ale także — nie mylił się — odruch sympatii. Dziewczyna zresztą też podobała się kapitanowi. Wnętrze pokoju z regałami zmieniło tymczasem swój charakter i było to zastanawiające przeobrażenie. Niemały udział miał w tym rozgrzany piec, ale głównie ludzie. Biblioteki bez ludzi odbierają odwagę. Martwica opadła nawet z pokrytych

zaciekami ścian. Zmienił się klimat czytelnicy, jakby przestał w niej straszyć kołatający się tu jeszcze, na własny rachunek, duch jaśniepańskich czasów. Takich skojarzeń jednak — było to dla kapitana zupełnie jasne — nie mieli młodzi, zajęci lekturą w czytelnicy, wchodzący i wychodzący z demonstracyjnym ciągnięciem nogami, jak wymaga młodzieżowy fason.

— Ja zaraz będę wolna — rzuciła dziewczyna nad głowami interesantów — akurat fala. Zaraz się przewali i będzie pusto.

Kapitan usiadł w czytelnicy obok innych, czekając cierpliwie, aż fala się przewali.

— No i co? Dowiedział się pan czegoś od matki?

Stała nad nim, nie zauważył, kiedy podeszła.

— Tak. Dziękuję, dużo.

— Nie może być! Znalazł pan tę Fajglową?

— Umarli nie podają nowych adresów. Mają stały, na wieczność.

Westchnęła. Wykorzystał moment porozumienia.

— Pamięta pani, kiedy zginął zegar z wieży, czy była pani wtedy też za małą? — zażartował.

— Zegar zginął dwa lata temu. Co też pan! — obrazila się. — Spod ręki mi go ktoś chapnął. — Roześmiała się. — Chociaż ten budynek się wali, ale był zegar na wieży. Taka reszotka, bo ja wiem, porządku. A teraz to już w ogóle, wydaje mi się, ruina. Nawet byłam zła za ten zegar, mimo że biblioteka nie miała z niego żadnego pożytku.

— Zepsuł się — mruknął Korda. — No tak, zepsuł się — powtórzył bezmyślnie.

— Nigdy nie chodził. Mówiłam już panu! — przypomniała niecierpliwie.

— Nigdy — powtórzył jeszcze raz. Zdawał sobie sprawę, że czepia się jakiegoś zegara zupełnie bezpodstawnie. — Próbowaliście go reperować? — zapytał, mimo że się sobie nie podobał i myślał o sobie z niesmakiem. Zachowywał się jak zongler, który chce omamić ludzi, wycygnąć od nich nie wiadomo co i jednocześnie próbował wmówić w siebie, że wcale tego nie robi.

— Kto by wlaził na wieżę? — powiedziała dziewczyna. — U

nas nie rna zegarmistrza od takiego zegara. Ręczny to pan zreperuje, ale nie taki. Dawny dziedzic przywiózł go podobno z Wiednia. Ludzie nie lubią się brać do zagranicznych rzeczy. W takim miasteczku jak nasze. Jeszcze uważają, że zagraniczne to inne. Lepsze? Bo ja wiem.

— Młodzi też tak uważają? — zaciekawił się, jak zawsze nie tym, czego chciał się dowiedzieć. Ale w ten sposób także sprawdzał i poznawał świat, w którym przyszło mu żyć i działać.

— Młodzi? — zastanowiła się. — Ee, nie. Ale u nas nie ma młodych, którzy zajęliby się teraz taką majsterką. Dłubaniną. Ja pewnie dlatego musiałam patrzeć przez kilkanaście lat na tę jedenastą godzinę i za każdym razem diabli mnie brali. Wie pan, jak człowieka irytuje stojący zegar. Można wytrzymać urwaną klamkę, pogodzić się z kulawym stołkiem, z nie domykającym się oknem, nie wiem sama, ale zegar powinien chodzić.

— Dokładnie punkt jedenasta? — upewnił się kapitan, czując niemal słabość w mięśniach. Z trudem panował nad zaskoczeniem. — Jest pani tego pewna?

— Pewna! Punkt. Ani minutę mniej, ani więcej. — A wie pan — ożywiła się nagle — nigdy nie przyszło mi do głowy, dlaczego akurat na tej godzinie się zatrzymał? Kiedy? Może w czasie wojny? Albo podczas parcelacji? Nie?

Rozśmieszyła go łatwość, z jaką ludzie dają się zasugerować najzwyczajszym zdarzeniom, gdy tylko podjudzi się ich wyobraźnię. Ukryte w tym pragnienie, aby działo się coś niezwykłego, aby życie i świat straciły bodaj na krótko pospolitość codziennego trwania. Uśmiechnął się.

— Każdy nie konserwowany mechanizm odmawia w jakimś momencie posłuszeństwa — powiedział po prostu.

— Ma pan racje — przyznała mu, ociągając się trochę. Rezygnowała dość iybko z tajemnicy. Należała do nowego, rozsądnego pokolenia. — Nie byłoby żadnej różnicy, gdyby się zatrzymał siedem albo piętnaście po jedenastej. Punktualnie chodził i zepsuł się punktualnie. — Roześmiała się. — Ach, nie ma co, niech komuś służy.

„Hm, ano, niech służy. Wolałbym go jednak tu zobaczyć. Tę swoją punktualną godzinę. To byłoby dla mnie intere-sujące. Na jakiegokolwiek godzinie zresztą by się zatrzymał, nie ma w tym nic dziwnego. Tylko że to może być ten jeden traf na sto tysięcy. Ale może też być guzik z pętelką”.

Podniósł się.

— Dziękuję pani za informacje — powiedział uprzejmie i obojętnie. Zrobiło mu się jej od razu żal, zgasła, sprawił jej przykrość. Spostrzegł to i zrozumiał dlaczego, ale już dawno przywykł, że nigdy nie może dać sobie folgi — jakkolwiek i jak bardzo by mu się ktoś podobał. Dlatego szybko dodał. — Dużo pani robi w bibliotece. Nawet nie zdaje sobie pani sprawy z tego, ile.

Jej twarz odprężyła się, spojrzała na niego domyślnie.

— E tam, robię — rzuciła po dawnemu. — Każdy coś robi. Jak umie.

Listopadowy zmierzch, wilgoć powietrza uderzyła w niego jak obuchem, mimo to nie odczuwał wcale chłodu. Nie myślał, że zagadka pomnożyła się jeszcze o jeden zegar, jeżeli nie było tu zwykłego zbiegu okoliczności. Szedł, rozrzucając nogami mokre liście w alei, jakby kroczył do zwycięstwa.

Dopiero na ulicy miasteczka stwierdził spokojnie, że dalej nic nie wie i może się niczego więcej nie dowiedzieć. Nigdy nie wyjść poza krąg zakreślony wskazówkami zegarów. Ale nawet to nie mogło zdusić, przygasić uczucia zadowolenia. Od wejścia do drewniaka na Bródnie był pewny, że zegary zaprowadzą go tam, dokąd zmierzał, chociaż Sprawiedliwość ma związane oczy. Tak się właśnie czuł błędząc po przyjeździe uliczkami miasteczka aż do chwili, gdy spotkał się z dziewczyną z biblioteki. Klucz do zagadki zabójstwa na Bródnie mógł znajdować się w tym miasteczku. A może w dawnym majątku, na zegarowej wieży rozpadającego się dworu? Cokolwiek jednak kryło się poza skłaniającą do rozmyślań awarią zegara na wieży, tylko mogło, nie musiało mieć związku z zegarami w drewniaku na Bródnie. Mimo wszystko kapitan w duszy życzył dziewczynie męża doskonałego, genialnych dzieci i spadku po stryжку z Ameryki.

Rozdział V

Krążył w okolicy Małego Rynku. Zdawało mu się, że Baśka kilka lat temu wymieniła ulicę z tej dzielnicy Krakowa.

Spotkał ją wtedy w leśniczówce, w Puszczy Piskiej. Nie mógłby sobie wyobrazić bardziej nedorzecznego czy wyszukanego rozpoznania się ludzi po tylu latach. Związał akurat obóz nad jeziorem. U nadleśniczego składaował zawsze kajak na zimę. Znali się od 47 roku. I tutaj, zaraz po wojnie, szukał Zegarmistrza. Obecny nadleśniczy był wówczas gajowym. On przemierzał w tamtych latach polskie,- odzyskane lasy z północy na południe i ze wschodu na zachód. Jeżeli ktoś, kogo pragnęło się za wszelką cenę spotkać, nie przesznułował się przez granicę, w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto zapadał w lasy Warmii, Mazur, Dolnego Śląska, Opolszczyzny.

Człowiek, którego szukał, nie przedzierzgnął się jednak w leśniczego. I ten domysł okazał się niewypałem. Ale z tamtego okresu zostały mu rozległe znajomości wśród służby leśnej. Wykorzystywał je później, gdy przez miesiąc w roku był prawie tylko namiętym wodniakiem. Nie musiał, jak inni, wozić ze sobą sprzętu turystycznego. Jakaś leśniczówka zawsze udzielała jego gratom schronienia na zimę.

Szedł z kajakiem na plecach, właśnie otworzył mu się widok na nadleśnictwo, wylazł z wysokiego, jeszcze przez Niemców sadzonego lasu, gdy zobaczył dziewczynę. Jej sylwetka dźgnęła go w pamięć tak mocno i gwałtownie, że zwolnił kroku. Nie widział już niezgrabnego murowańca leśniczówki. Takie budowali tu ludzie bez gustu, chyba bez poczucia związku architektury z przyrodą tej ziemi.

Być może dlatego, że nie czuli żadnego z nią pokrewieństwa, nie rozumieli tych jezior i lasów. Są za bardzo słowiańskie.

Kobieta do tego stopnia zawładnęła jego wyobraźnią, pędzącą w ułamkach sekund wsteczną drogą prawie ćwierćwiecza, że nie widział nawet samochodu, na tle którego stała. W jasnym krążku słonecznego światła rysowała się tylko

ta postać, bez naturalnej dekoracji otoczenia, jakby pojawiła się przed nim fatamorgana na zupełnie nagiej pustyni.

Szedł bezwiednie wprost na nią.

— Niech pan uważa! — zawołała. — Wybije mi pan szybę kajakiem!

Przystanął i wolno zsunął swój ciężar z barków.

— Franek — wymówiła dosłyszalnie tylko dla niego. I wydawało mu się, że szuka oparcia w masce samochodu.

Rzucił kajak na ziemię, wziął ją za rękę.

— Chodź, chodź... Baśka — powiedział bez zastanowienia i robił to, mówił za niego ktoś inny. Tamten, dwudziestoletni, młody, ufający bez podejrzeń życiu. Temu życiu, które toczy się samo, bez popychania i nikomu do niczego niepotrzebnych namysłów.

— Ale ja...

— Chodź.

Ruszyła za nim posłusznie, automatycznie, jak dawniej miękko trzymała rękę w jego dłoni.

Prowadził ją w gęstwinę leśną, dobrze znaną, tylekroć na własny użytek, po swojemu, niewidocznie dla obcego oka, znakowaną. Słyszał za plecami jej wysiłony oddech, ale nie zwalniał kroku, kluczył w coraz gęściejszym ostępie, szedł w kierunku zamaskowanej zwalonymi drzewami niecki, którą kiedyś przypadkowo odkrył. Zasłonięci wysokim, liściastym poszyciem, usiedli obok siebie na ziemi, ramię w ramię.

— Żyjesz, Franek. Więc ty...

— Cicho. Nie żyję. Tamto wszystko... tamtego nigdy nie było. Nie zmieniłaś się, Baśka, tyle lat. Nic. Przez chwilę, tam na polanie byłem pewny, że stoi moja dziewczyna.

Te same błękitne, przezroczyste źrenice, te same gęste, żółte włosy, tyle że obcięte do ramion.

— Nie masz warkoczy? — stwierdził z niedostrzegalną pretensją w głosie. — Nosiałaś je w koronę.

— W koronę? — zrozumienie powoli wracało na jej twarz. — Ach, tak. Długie włosy wymagają ogromnej pracy. To niemodne.

— Szkoda.

- Czego szkoda?
- Wszystkiego.
- Niczego — odrzekła spokojnie, z przekonaniem. — Oprócz miłości.

Pomyślał, że to nie było już istotne, ani w tej, ani w żadnej innej chwili.

Baśka oparła się nagle o niego ciężko, westchnęła jak dziecko, które wraca z dalekiej drogi do domu. Zakryła mu oczy włosami, poczuł ich smak i zapach, ten, który go ścigał niegdyś nocami i dniami, nigdy nie spełniona, me zakosztowana radość. Jej przecucie nosił od tamtych prawie szczenięcych lat wszędzie ze sobą, głęboko zagrzebane, niemożliwe jednak do zapomnienia. Objął ją ramieniem, czas zbił się w drobinę, rozpadł się w pył, zamienił w lebek od szpilki, w ziarnko piasku wyrzucone z rozbitej klepsydry, aby już nigdy więcej nie mogło przemierzać swej nieskończonej w przestrzeni drogi.

Leżał na plecach i patrzył w niebo przezierające przez liście. Jej włosy rozsypane na jego piersiach lekko, czule łaskotały nagą skórę. Poderwała w popłochu głowę.

— Wiesz, zdawało mi się, że zasnęłam. Ile czasu tu jesteśmy?

— Baśka... nie minęło więcej niż godzina. Patrz, pierwsza.

Ale to był tylko rzeczywisty, sprawdzalny fakt. W istocie spełniło się, minęło — całe ich — nie spełnione życie.

W sposób niczym nie wymierny i tylko ludzki.

— Na mnie czeka Maciek — wyjąkała — on myśli... on myśli...

— Spokojnie. Nic nie myśli. Mężczyźni nic nie myślą w takich razach. On myśli, że poszłaś na spacer. Gdzie teraz mieszkasz?

— W Krakowie.

— Co robisz?

— Maluję.

Uniósł głowę i przyjrzał jej się pierwszy raz jak obcej kobiecie, szukając śladów czasu, zmian, wpisanej w rysy mapy życia.

— To dlatego jesteś taka sama — powiedział z przekonaniem.

— Nie rozumiem — odrzekła bezradnie.

— Ludzie, którzy coś w życiu mają, coś takiego... pozostają

sobą. Zawsze.

— A ty?

— Nie mówmy o mnie. Dobrze? Zgodna? To się nie stało teraz, rozumiesz? To się stało wtedy. I ja zostałem tam.

— Uhm. To prawda — przytaknęła. — Masz rację. Nawet nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia. Ale skąd to wiesz?

„Taki jestem dziwny — pomyślał niespiesznie, tylko dla siebie, z nikim, nawet z nią nie dzieląc tego, co przeżywał. — Wiem różne rzeczy. Diabli wiedzą skąd. Może rozumiem kobiety. W szkole lubiłem koleżanki. Później łączniczki, sanitariuszki. Opowiadały mi różne historie, chociaż się z nimi nie kochałem. Tak naprawdę to zawsze wolałem pogadać sobie z dziewczynami niż z kumplami. Baśka to czuje. Inne też od razu wietrzyły pismo nosem. Nigdy nie skrzywdziłem dziewczyny. Chyba tylko słabi mężczyźni są brutalni dla kobiet. Ciebie, Baśka, też odeślę do twego jakiegoś Maćka i będę pilnować, żebyś nie palnęła głupstwa. Nie dopiekła mu do żywego. To, co się stało, to tylko nasza rzecz, do nas należała. Wzięliśmy sobie coś, co nam odebrano. On nie ma w tym żadnego udziału i nikomu, nikomu nic do tego. Na całym szerokim świecie”.

— Kiedy odjeżdżacie? — zapytał, jakby nie istniała możliwość, że właśnie przyjechali, aby zostać w nadleśnictwie. Nadleśniczyna przyjmowała wczasowiczów.

— Zaraz. Mieliśmy tam zjeść tylko obiad.

Kiwnął głową.

— Ja tu zostanę... idź. On czeka. Zostanę tak długo, aż odjedziecie. Baśka, pamiętaj, to było na tamtej łące, nad rzeką. Nie trzeba... nie musisz mieć żadnych...

Spojrzała mu hardo w oczy.

— Nie mam i nigdy nie będę mieć żadnych wyrzutów sumienia — powiedziała twardo. — Nie obawiaj się. Sama tu przyszłam. To ja chciałam. Nie ty.

Uśmiechnął się, bo charakter także jej się nie zmienił. Dawniej zrzucała każde wędzidło, miała swoje własne pojęcie o uczciwości, nie cierpiała kłamstw dla pozorów. Mówiła, co czuła, i postępowała prosto. Może dlatego nigdy jej nie

zapomniał.

Odwróciła się, aby odejść.

— Mieszkam... — powiedziała.

Podawała mu wówczas adres i dorzuciła, że może malować tylko w starych murach Krakowa. Tam wychodzi jej to lepiej. Nie zapisał adresu. Myślał wtedy, że nigdy nie będzie mu potrzebny. Musiał wykonać tamto. Takie zadanie wykluczało wszelkie powroty, spotkania, stare przyjaźnie. Jeden raz nie potrafił powstrzymać się, aby nie wyjść na spotkanie przeszłości. Może dlatego, że pojawiła mu się tak nagle na polanie nadleśnictwa w Puszczy Piskiej. Ale to był ten jeden raz, przez tyle lat, jedyny. Był pewny, że drugiego nie będzie. Musiał być sam. Z Ireną był sam. Irena dobrze pasowała do jego życia.

„Może to nie było w okolicach Małego Rynku, a właśnie przy Mariackim? — zastanawiał się teraz, błędząc już od dłuższego czasu po ulicach Krakowa. — Numer domu sześć. To pamiętam, ale jaka ulica? Najprostsza ulica, a raczej stara i popularna jak sam Kraków. Tyle że ja nigdy nie miałem nic wspólnego z Krakowem i dlatego żadna nazwa nic mi nie mówi. Pochodziła od rzemiosła. — Zaczął wyliczać — Ślusarze, bednarze, krawcy, złotnicy, kamieniarze, szklarze, murarze, szewcy... Rany boskie, co za idiota. Szewska. Wracamy do Sukiennic”.

Przeglądał listę lokatorów w bramie. Znalazł aż trzy Barbary, ale jedna była zapisana razem z mężem, Maciejem Bargieło. Z numeru mieszkania wynikało, że pracownia mieści się wysoko.

„Tam — powiedział sobie na pewniaka. — Barbara Bargieło. BB. A jeżeli nie tam, spróbujemy szczęścia z innymi Baškami”.

Mieszkanie mieściło się tuż pod dachem. Dzwoniąc, nie był jednak taki pewny swego. Długo nikt nie otwierał i zaraz poznał jej niecierpliwą głos.

— Maluję, jestem piekielnie zaję... — mówiła stojąc już w drzwiach i w tej samej chwili urwała.

— Uhm, to ja — stwierdził na jej użytek.

Nie zawahała się.

— Wejdz.

Była w fartuchu, który sam mógłby z powodzeniem spełniać rolę abstrakcyjnego płótna. Nadal nie zatarły się te subtelne, czysto wycięte przez naturę rysy.

— Siadaj. Zrobię kawę.

Rzuciła pędzel, zmoczyła szmatę terpentyną, wytarła go starannie, zrobiła to samo z rękami.

Sufit pokoju był skośny, przykryty z jednej strony dachu szybami, stały w nim pod wszystkimi ścianami portrety. Wyzierały z nich twarze. Ludzkie twarze. Częściej starsze, zmęczone, na których życie sporo wypisało.

— Chodź — zawołała zza drzwi.

Staął na progu. Drugi pokój był mieszkaniem i, jak zdążył zauważyć, bardzo dobrze urządzone.

— Wołę tam. W pracowni — zaprotestował.

— Dobrze — zgodziła się, jak dawniej bez targów.

Wzięła tackę z filiżankami, postawiła ją na podłodze przed jedynym meblem w pracowni — tapczanem, przykrytym kilimem.

— Lubię tu czasem sypiać — wyjaśniła — chociaż śmierdzi farbami i terpentyną.

Usiadła na poduszce przy jego kolanach, obok tacy. Podała kawę i dopiero wtedy bacznie spojrzała mu w twarz.

— Masz jakieś kłopoty?

Wzruszył ramionami. Zatoczył ręką wokół ścian, obejmując tym gestem portrety.

— Bawisz się w psychologię? Zaglądasz ludziom pod czaszki? Lubią to?

— Nie wiem. Ja lubię. Ludzie na ogół nie rozumieją, że portret to nie fotografia. Cieszą się, gdy są do siebie podobni. Moja własna idea najczęściej uchodzi ich uwadze.

— I dlatego możesz z tego żyć? Czy nie tak?

— Możliwe.

— A jak nadejdzie ta chwila, że cię rozszyfrują? Co? Co będzie wtedy?

— Przestanę zarabiać i może jeden mój portret znajdzie się kiedyś w muzeum — odrzekła pół żartem, pół serio.

— Dawno powinni cię zdemaskować, Baśka! — roześmiał się.

— Dziękuję za komplement.

— To nie był żaden komplement. To dziwne, że nie widzą, co malujesz.

Zachmurzyła się.

— Nie takie dziwne. Nie jestem licytowana na giełdzie. Nie interesują się mną.

— Może teraz się zainteresują. Idzie zmiana kursu, prawda? Humanizm znowu w modzie.

— Nigdy nie interesowały mnie zmiany kursów — najeżyła się cała.

Ale on postanowił tego nie dostrzec. Chciał dowiedzieć się, kim była, kim jest dziewczyna, którą kochał.

— Nie rozumiem wobec tego, jak możesz żyć — powiedział prowokacyjnie — w twoim zawodzie obowiązuje wyścig do kariery.

— Od takich wyścigów, o jakich myślisz, dostaje się zadyszki — przerwała mu szorstko. — Nie mieszaj sztuki ze spryciarzami łapiącymi wiatr w żagle.

— Nie wiem, czy za stalinowskich czasów to się sprowadzało tylko do wzięcia wiatru w żagle — dorzucił ostro, nieprzyjaźnie.

Nie dała się wciągnąć w sprzeczkę.

— Też malowałam twarze — powiedziała spokojnie. —

I za czasów „awangardy”, i teraz, i dalej będę to robić. To są wszystko tylko kryptonimy. Kryły się pod nimi kolejne wybiegi taktyczne różnych ludzi, sprytnych i mniej sprytnych, cholernie mądrych i po prostu durniów. Postępowa sztuka daje się tak łatwo rozeznąć, jak drzewo szpilkowe od liściastego. Niech nikt mi nie wmawia, że jest inaczej — rzuciła z gniewem.

Wlepił wzrok w jej twarz. Przypomniał sobie, jakby nie wiadomo jak długo chodził we śnie, że minęło 28 lat i wszystko, także ludzi, dawno znanych ludzi trzeba ustawiać sobie w tej perspektywie.

— Zabrałaś się razem z nimi w tę drogę, co? rzucił lekko. — Od kiedy?

— Nie musiałam się z nikim zabierać — sprostowała — ani za dużo myśleć. Nie tarosiłam swojej duszy. Nie łamałam sobie kręgosłupa — powiedziała już z ironią nie czułam takiej

potrzeby. Coś się skończyło, coś zaczęło. Odszedł stary świat, przyszedł nowy. To proste. Aż za proste. Zwykle rzeczy proste sprawiają najwięcej kłopotu.

„Nie mam do tego żadnego stosunku — pomyślał obojętnie. — Nie mógłbym zapisać się do partii ani stosować dywersji nieróbstwa; spędzać życia na wyszukiwaniu ich słabych punktów, żeby się tam zaraz wstrzelić. Mogę żyć w socjalizmie, mógłbym w kapitalizmie. Nigdzie tak naprawdę nie można wytrzymać, gdyby człowiek chciał o tym myśleć. Zapieprzony, wybijający sobie zęby świat. Wystarczy otworzyć telewizor”.

— Wolę być po prostu tu — powiedziała dawna dziewczyna — tutaj mam przeświadczenie, że mogę zdziałać coś ciekawszego niż kurczowe trzymanie się stanu posiadania albo mnożenia stanu posiadania. Nigdy mnie to nie interesowało.

— Interesuje cię przebudowa społeczna! — wymówił utarty frazes z odrobiną przekory.

Nie chciała dostrzec w jego słowach kpiny.

— Nie lubię sloganów — powiedziała po prostu. — Ale w rzeczywistości — tak. To jest najśmieszniejsze, że w sloganach kryje się prawda. Zrobiliśmy z niej slogan, idioci, i nie wiemy teraz, jak z tego wybrnąć. — Zastanowiła się. — Interesuje mnie wszystko, co się zmienia. Okropna jest tylko stagnacja. Życie jest w gruncie rzeczy krótkie, kończy się absurdalnie i byłoby niedorzeczne, gdyby człowiek nie chciał zbudować czegoś mądrzejszego od tego, co odziedziczył. Utrwalanie, kopiowanie to jałowe zajęcia. Tworzyć, tak, to jest jeszcze coś warte wobec absolutnej pewności przemijania.

Słowo „przemijanie” dźgnęło go we wnętrze, jakby przenikała tam cienka szpilka. Zapragnął ugodzić ją takim samym ostrzem.

— Mówisz jak artyści — zauważył cierpko. — Wy wszyscy w gruncie rzeczy jesteście, byliście i będziecie ciągnąć w lewo. Jakkolwiek by to „lewo” wyglądało.

Potrząsnęła z uporem głową.

— Ja nie ciągnę w jakieś niesprecyzowane bliżej „lewo”. Muszę cię rozczarować. Jestem realistką. Komuniści decydują dziś o zmianach na świecie. I będą decydować jutro. Powiedz,

po co do mnie przyszedłeś? Od tamtego dnia, w puszczy, minęło ładnych parę lat.

To ostatnie stwierdzenie wydało mu się nieomal brakiem intuicji, delikatności, chociaż to był niesprawiedliwy zarzut, skoro sam jej znów poszukał.

— Zostaw, Baśka, ten dzień. Dobra? — powiedział zbyt ostro.

— Nie wiem, po co przyszedłem. Chciałem cię zobaczyć.

— A ja ci powiedziałam coś, co ci mnie gruntownie zepsuło? Prawda? — Uśmiechnęła się. — Jestem do tego przyzwyczajona. Ale jak wiesz, nie lubię wysilać się na kłamstwa. Nawet dla starych przyjaciół. Szydło z worka wyłazi i tak, wcześniej czy później.

— Nie o to chodzi, Baśka — odezwał się ze znużeniem. — Nie podniecam się polityką więcej, niż muszę. Jeszcze wczoraj jechałem do Jaszowca. Miałem się urządzić w bardzo przyzwoitym domu czasowym górników. Miałem spędzić tam dziesięć dni. Nie wyszło.

— Kurorty w listopadzie przyprawiają o wilcze wycie — zgodziła się z nim chętnie. — Nie lubię spędzać urlopów na jednym miejscu. W lecie zawsze jeździmy. Może miałeś dobry pomysł, że wpadłeś do mnie — dorzuciła nieśmiało.

Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach.

— Nie wiem. Nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł. Wieczorem wyjeżdżam z Krakowa — powiedział stanowczo.

Zdziwienie zamigotało w jej oczach.

— Dokąd?

— Do Zakopanego — jeszcze kiedy tu wchodził, nie wiedział, że tam pojedzie.

— Utartym szlakiem, co? — zadrwiła Baśka.

— Dlaczego? — zaniepokoił się tym, co mogła mieć na myśli, ale zaraz się sam osadził. Nikt nie mógł mieć pojęcia, co go tak goni.

— Zwykła trasa — powiedziała Baśka — z Krakowa do Zakopanego. — Mówiła jednak tylko pozornie obojętnie, w rzeczywistości usiłowała zrozumieć, czego się po niej spodziewał, czy spodziewa, ale ponieważ nic jej nie wychodziło, zrezygnowała ze strategii.

— Co cię męczy, Franek? — wymówiła to imię z wahaniem, ciszej, ale mogło mu się tylko tak zdawać. Nie byłoby jednak w tym nic dziwnego, gdyby przypuszczała, że dawno jest nieaktualne i nigdy nie było prawdziwe. — Za chwilę będzie za późno — ostrzegła. — Pamiętaj. Uprzedzałam cię.

„Ba, gdyby za chwilę — pomyślał. — Od dawna jest za późno. Co najmniej od 28 lat.”

— Tsss... Basiu, dziewczynko...

Zachnęła się.

— Nie mów tak. Tak mówił do mnie kiedyś jeden chłopak. Byłam zakochana do pragnienia śmierci. A on chyba tego nie widział, bo sobie poszedł. Miał ważniejsze sprawy. Dawno nie ma tego chłopca i tej dziewczyny, i nie trzeba wywoływać duchów.

„Nie ma — zgodził się z nią w myślach. — Nie ma tej dziewczyny. A on nie miał ważniejszych spraw. To sprawy miały jego. Drobną, ale zasadniczą różnicą. Zaszkoziła miłości. Może Baśka zawsze była taka, jak dziś, tylko ja o tym nie wiedziałem. Skąd mogłem wiedzieć, kogo kocham? Nie było się czasu dowiedzieć. Nie wiedziałem przecież wtedy nawet tego, że ona maluje. Kilka skrytych spotkań w ciemnościach wieczoru, w ciepłe wiosny, parę dni jednego lata. Małe miasteczko. Obcy, pojawiający się od czasu do czasu i wyjeżdżający nagle, adorator. Nie przejmowała się wcale opinią. To była miłość, najprawdziwsza. Nie powiem jej tego teraz. Nie mogłem zrobić tego wtedy, a dziś to byłaby błazenada. I wcale nie wiem, czy to jej jest potrzebne. Ona zna prawdę”.

— Dawno malujesz? — zainteresował się nagle.

— Zawsze. Od dziecka coś smarowałam.

„A ja nawet tego nie wiedziałem — pomyślał z żalem. — O czym więc mówiliśmy? Wtedy? O niczym. W ogóle nie mówiliśmy. Leżeliśmy w trawach nad rzeką. Trzymaliśmy się za ręce. Miasteczkowi nas podglądali. Całowałem ją, jakbym za chwilę miał skonać, jakby miało runąć niebo, a nie mogłem jej tak po prostu wziąć i zostawić. Czy rozumiała to wtedy? Tak. W przeciwnym razie... tam w nadleśnictwie nie mogłoby się stać

to, co się stało. Równie prosto i naturalnie”.

— Już idziesz? — odezwała się Baśka niespokojnie, widząc, że on wstaje.

— Tak.

— Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić? — spróbowała jeszcze raz. Czowała, że ogarnia ją lęk o tego mężczyznę, który był kiedyś jej chłopcem, i nie wiedziała, skąd brał się ten niepokój. Nie było przecież żadnego powodu. Kiedyś spotkali się na Mazurach, teraz odwiedzał ją w przejeździe przez Kraków. Nic więcej i wystarczająco dużo, żeby się nad tym zastanowić.

— Nie, Baśka, nie możesz nic dla mnie zrobić — odpowiedział nieoczekiwanie szczerze, chociaż był pewny, że nie powinien tego mówić. W ogóle nie powinien robić żadnej z tych rzeczy, które właśnie robił. Sam zapisywał swój ślad i dziwił się, że obawa w nim jest głucha i nie może pokonać potrzeby wędrówki starym szlakiem. Szukał bowiem odpowiedzi na pytanie, dlaczego tamten człowiek umierał odważnie. I musiał ją mieć. To nie było mądre, jak wszelkie działanie po czasie. Jak rozum po szkodzie. Jak kurczowe trzymanie się przeszłości. Jak niemożność życia jutrem, które jest warunkiem wszelkiego życia, nadziei, spełnienia, nadającym sens i ład biegnącemu czasowi.

Rozdział VI

Kapitan Korda jadł śniadanie i patrzył przez szybę kawiarni. Naprzeciwko miał ogromną witrynę antykwariatu, gdzie od dłuższego czasu jego Wzrok przyciągała stara naftówka.

„W Warszawie trudno trafić na taką — pomyślał. — Dziwaczne, kupujemy znów to, co niedawno jeszcze wyrzucaliśmy z domów na strychy jak niepotrzebny nikomu rupieć”.

Antykwariat otwierano o jedenastej. Postanowił tu wrócić. Miał sporo wolnego czasu. Pociąg przyszedł do Wrocławia o siódmej rano. Nie należało tak wcześnie zakłócać starszej kobiecie spokoju. Na razie zastanawiał się, czy ten akurat

egzemplarz naftówki dałby się łatwo przerobić na elektryczną lampę.

„Dziesiąta będzie w sam raz dobrą porą na wizytę” — postanowił. Poszedł do Orbisu i kupił sobie powrotny bilet do Warszawy, chociaż było prawdopodobne, że informacje nauczycielki narzuca dalszą trasę. W tej sprawie jednak — miał przekonanie — szybkość działania nie przyspieszy ujęcia sprawy zabójstwa zegarmistrza z Bródna. Korzenie tej sprawy chyba tkwiły w odległym czasie. Takie przypadki rozwiązuje się krok po kroku, nieraz lata, dzięki — często — historycznym badaniom.

Emerytowana nauczycielka, Olga Klimontowicz, nie zdradziła zdenerwowania, jak matka bibliotekarki z małego miasteczka. Jeżeli nawet poczuła się niepewnie, nie dała tego po sobie poznać. W mieszkaniu był kot i kanarek, dwie hodowle, zdaniem kapitana, wykluczające się wzajemnie, ale nie miał odwagi zadać takiego pytania starszej pani, suchej i kostycznej, jeszcze teraz traktującej ludzi jak wychowanków. Apodyktycznie i nieco z góry.

„Widocznie jej talenty pedagogiczne wystarczają nawet dla pogodzenia kota z ptakiem lub odwrotnie” — pomyślał kapitan z humorem. Wylegitymował się.

— Dziękuję — rzuciła sucho, wcale nie patrząc na dokument.
— Nie boję się ludzi. Całe życie zajmowałam się wychowywaniem ludzi.

— Tak, ale. nie każdemu i nie wszystko człowiek chciałby czy mógłby powiedzieć — zauważył kapitan.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Nie ma w moim życiu takich spraw, o których nie mogłabym z każdym mówić.

„Pogratulować — stwierdził w duchu nie bez współczucia. — Musiało to być trudne życie”.

— Pani w czasie okupacji często odwiedzała majątek barona Donera, prawdą? — odezwał się głośno.

— Owszem. Tam było dziecko. Uczyłam je.

— Czyje dziecko?

— Nie wiedzieliśmy, czyje. Pan Kropiwnicki, krewny

Donerów i jednocześnie opiekun majątku za okupacji niemieckiej, znalazł małą na szosie, w nocy, obok toru kolejowego. W 1942 roku mogła mieć pięć lat. Twierdziła, że ma pięć lat. Wiedziała, że nazywa się Jola.

Nauczycielka zupełnie gładko i bez namysłu, bez żadnych osobistych skojarzeń wymówiła nazwisko zamordowanego człowieka z Bródna. Korda pomyślał, że za łatwo mu to wszystko idzie.

„Ten człowiek — myślał — którego szukamy, ten człowiek nie da się tak po prostu złapać. Kim on jest?”

Ale dlatego właśnie, że czuł misterność śledztwa, postanowił skierować uwagę nauczycielki na osobę dziecka. Na razie.

— Czy kiedykolwiek odnaleźli państwo rodziców małej?

— Do końca wojny nic się nie wyjaśniło.

— A później?

— Nie wiem. Niemcy w 1944 roku zaaresztowali pana Kropiwnickiego i wywieźli go z majątku.

— Wie pani, za co?

— Oczywiście — uśmiechnęła się z wyższością, wyrozumiale.

— Za pomoc partyzantom. Wszystkie polskie dwory — powiedziała z naciskiem — wspomagały leśnych.

— Co się stało z dzieckiem?

— Mała się wtedy ukryła. Tamtej nocy — rzuciła nauczycielka. Wracała do przeszłości, dość wyraźnie odmalowało się to na jej twarzy. — Na terenie parku i w samym pałacu rozegrała się pod koniec okupacji bitwa partyzantów z gestapo. Niemcy zabili siedemnastu naszych chłopców. Te groby znajdzie pan na miejskim cmentarzu. W trzeciej alejce od wejścia. Na krzyżach dziś już są wypisane wszystkie prawdziwe nazwiska i data zgonu. Wtedy chowaliśmy ich jako nieznanych. Ze zrozumiałych przyczyn. Nie uratował się z tej rzezi nikt. Niemcy mieli sami dwóch zabitych i kilku rannych. Zabrali ich na ciężarówki. Mała miała wówczas akurat siedem lat, jeżeli przyjąć za prawdziwą jej własną datę urodzenia. Uczyłam ją programu pierwszej klasy.

— Dlaczego nie chodziła do szkoły?

— Podstawówka była u nas czynna w czasie wojny, ale pan

Kropiwnicki bardzo przywiązała się do małej. Nie życzył sobie, żeby dziecko wpadło komuś w oko. To było dziecko z transportu. Ktoś musiał ją jakimś sposobem wysadzić z pociągu. Nie widziała, gdzie mieszkała. Mówiła, że w mieście, i było widać, że to miejskie dziecko. Ale z całą pewnością nie pochodziła z wielkiego miasta. Gdyby z wielkiego, doszlibyśmy łatwo, z jakiego, nawet za pomocą obrazków, ale powiatowa Polska daje mnóstwo możliwości. Twierdziła zresztą, że długo mieszkała z mamą w jakimś pokoju z zakratowanymi oknami. Zdarzało się bardzo ważnym dla nich aresztantkom przebywać po więzieniach z dziećmi. Pawiak znał sporo takich wypadków, inne zresztą więzienia także.

— Mała była według pani polskim dzieckiem?

— Bez wątpliwości.

— Jak się uratowała tamtej nocy?

— Schowała się w kredensie, za talerzami. Lubiła tam wchodzić, przez pewien czas, na początku, gdy tylko pan Kropiwnicki ją przyniósł. Była zagłodzona i śmiertelnie wystraszona. Później mówiła na pana Kropiwnickiego „dziadku” i zdaje się, że sama w to uwierzyła. Ale tej nocy kryjówka, którą wybrało kiedyś zaszczone dziecko, stała się — na szczęście — ratunkiem dla sporej już dziewczynki. To był olbrzymi, długi bufet. Teraz się takich nie robi. Nie weszłyby do żadnego pokoju. Cała porcelana dworska mieściła się w tym jednym kredensie. Po bitwie znalazł ją tam administrator majątku. On miał domek bliżej folwarku, zupełnie samodzielny. To go też uratowało. Mała leżała wśród skorup, kredens był postrzelany, była nieprzytomna.

— Kto widział, jak gestapo zabierało Kropiwnickiego?

— Ludzie z folwarku. Widzieli, jak Niemcy zabrali własnych zabitych i rannych, wyprowadzili skutego Kropiwnickiego. Wsiadli na samochody i odjechali.

— To była zasadzka?

— Nikt nie widział w miasteczku ani w dzień, ani wieczorem gestapo. Żadnych ciężarówek. Ciężarówki trudno ukryć. Musiały nadjechać później. Już gdy wywiązała się strzelanina.

— A partyzantów ludzie widzieli?

— Też nie. Proszę pana, oni przychodzili i znikali jak duchy. W przeciwnym razie nikt nie mógłby im pomóc.

„Tak, masz rację — pomyślał kapitan. — Wiem coś o tym”.

— Czy Kropiwnicki wrócił do majątku?

— Nie. Wszelki ślad po nim zaginął. O ile mi wiadomo, do dziś.

„Przeciwnie — zaprotestował Korda w duchu. — Właśnie się ujawnił, żeby zniknąć. Tym razem na zawsze”.

— Zresztą — rzuciła nauczycielka — nie tylko po nim.

— Kogo ma pani na myśli?

— Sześć milionów ludzi, proszę pana — powiedziała z godnością.

— A z majątku?

— Wtedy? Nikogo więcej nie wzięli. We dworze mieszkał tylko pan Kropiwnicki z małą.

— Sam? — zdziwił się kapitan.

— Sam. Zupełnie.

— Kto gotował? Kto sprzątał taki wielki dom?

— Kobiety. Z folwarku. Ale na noc odchodziły. Pan Kropiwnicki nie chciał, żeby ktoś zostawał na noc.

„Zapewnie nie chciał mieć świadków. Czego? — myślał intensywnie kapitan. — Tylko kontaktów z lasem? To było dość powszechne”.

— Kto zajął się później małą?

— Administrator. Wzięli ją do siebie. Jeszcze zresztą prowadził majątek. Ale krótko. To był już koniec wojny. Prawie. Przestałam uczyć małą. Chodzić było niebezpiecznie. Dziecko długo chorowało. Nadeszli Rosjanie. Później parcelacja. Powojenne zamieszanie. Organizowałam znów polską szkołę. Miałam pracy po uszy.

— Mała do niej jeszcze chodziła?

— Mała? Nie. Już ich nie było w majątku. Administrator spakował któregoś dnia swoje rzeczy i wyniósł się pośpiesznie. Ratował własny majątek. Niesłychanie obłowił się na tej wojnie. Pod tym względem dziecku trafiło się wyjątkowo dobrze, jeżeli ją wychowali.

— Gdzie jest teraz administrator majątku Donera?

— Nie wiem, dokąd oni wyjechali. Przez pewien czas nie wiedziałam, że w ogóle wyjechali. Nowa władza dużo ode mnie żądała, proszę pana. Pracowałam dzień i noc. Miasteczko leżało w gruzach. Nie miałam gdzie umieścić szkoły, dopiero gdy mi dali pałac...

— Szkoła mieściła się kiedyś w pałacu? — przerwał jej Korda.

— Tak. Do pięćdziesiątego roku. Później dyrekcja pegeeru. Ja dostałam nowy budynek.

— Uhm. A jak nazywał się...

— Administrator nazywał się Krzysztof Dębowski — przerwała nauczycielka. — A żona — Zofia. Mieli jednego syna, Rysia. W 1944 roku miał chyba 12 lat.

— Kto, pani zdaniem, mógłby wiedzieć, co stało się z Dębowskim?

— Rada Narodowa. Tylko. Oni się trzymali z daleka od ludzi z miasteczka. Administratorzy wielkich, pańskich majątków wywodzili się sami ze szlachty. Doner nie przyjąłby innego. A taki gardził w skrytości ducha ludźmi z miasteczka. Być może Dębowski są dawno w Wiedniu. Być może coś więcej uratowali, nie tylko własne dobro, i zawieźli Donerem. Możliwe, że Jola jest austriacką obywatelką.

„Możliwe, że wychował ją nasz Dom Dziecka — dodał kapitan w myślach zgryźliwie. — I to jest najprawdopodobniejsze”.

Olga Kiimontowicz była, w dostateczny sposób skołowana pytaniami o dziecko, aby można było przystąpić do najważniejszej kwestii.

— Przepraszam panią, że zabieram jej tyle czasu...

— A, nie szkodzi... nie szkodzi — odrzekła nauczycielka ze swoją lekko drażniącą wyniosłością.

— ...czy pani mogłaby powiedzieć mi coś bliższego o panu Kropiwnickim?

— Niewiele. A właściwie nic. Przychodziłam na lekcje z dzieckiem. Wymienialiśmy uwagi na temat zdrowia i postępów Joli w nauce. Nigdy rozmowa nie schodziła na tematy osobiste. Mówiliśmy o kłopotach ze słoniną i mąką, jak wszyscy wtedy w Polsce, bez wyjątku. Zresztą ja akurat pod koniec wojny nie

miałam tego zmartwienia. Dwór płacił mi za Jolę w naturze.

— Jaki charakter miał pan Kropiwnicki? Co to był za człowiek?

— Zamknięty w sobie. Dziecko lubił... kochał nienaturalnie.

— Co on robił po całych dniach, skoro nie zajmował się majątkiem?

— Zajmował się dzieckiem i zegarami — odrzekła po prostu.

— Zegarami? — powtórzył kapitan, jakby dobrze nie rozumiał sensu i celu zajmowania się zegarami.

— Lubił zegary. Stare. Co w tym dziwnego? — wyraziła swoje zdziwienie Olga Klimontowicz.

— Dużo ich było we dworze?

— Kilka, później kilkanaście.

— Razem z tym na wieży — rzucił kapitan od niechcienia.

— Na wieży? Ach, tak. Rzeczywiście był zegar na wieży, nad kaplicą. Nie — uśmiechnęła się z pobłażaniem. — Ten zegar wmontował jeszcze sam Doner. Pan Kropiwnicki lubił przenośne zegary, małe, cacka antykwarskie.

— I co się z nimi stało?

— Z zegarami? — dziwiła się 'coraz bardziej nauczycielka.

— Tak — potwierdził kapitan, jakby jego ciekawość jakichś mało ważnych zegarów była najnaturalniejszą sprawą pod słońcem.

— Nie wiem — zawahała się — pewnie to samo, co z meblami. Wywiózł je administrator. Po parcelacji wolno było zabrać meble. Po aresztowaniu pana Kropiwnickiego Dębowski miał wszelkie plenipotencje od Donerów. Całą wojnę przecież na konto Donerów szły z Polski do Wiednia pieniądze. Kontakt mógł się urwać na czas ofensywy radzieckiej, ale zaraz po zakończeniu wojny poczta zaczęła jakoś działać. Ludzie jeździli tam i z powrotem, legalnie i nielegalnie, jak kto chciał. Nie pamięta pan tego straszliwego chaosu? Można było słonia przewieźć przez granicę, nie tylko list czy papiery.

Kapitan widział, że uważała go za zupełnie nieporadnego i niezbyt mądrego człowieka, jeżeli tego wszystkiego nie pamiętał albo nie umiał razem powiązać.

— Proszę pani, czy zegar na wieży chodził podczas wojny?

Bawił ją coraz bardziej ten wysłannik prawa.

— Oczywiście. Dlaczego miałyby nie chodzić? Zawsze sprawdzałam czas, idąc na lekcję z małą. To był dobry zegar. Wiedeński.

— A kiedy stanął?

Tym razem starsza pani przyjrzała się Kordzie, jakby miała przed sobą człowieka niezupełnie mądrego. Zaczęła podejrzewać nawet, że mężczyzna, z którym rozmawiała, nie był tym, za kogo się podawał.

— Może chciałaby pani jednak sprawdzić moją legitymację?

— zapytał kapitan spokojnie.

Spieszyła się, ponieważ odgadł jej myśli.

— Jeżeli nie, to proszę sobie łaskawie przypomnieć, czy zegar na wieży chodził aż do pani wyjazdu z miasteczka, czy może zepsuł się wcześniej?

Wytrącił ją trochę z równowagi, straciła swój pobłażliwie wyniosły sposób bycia. Sprawilo mu to małą satysfakcję, nie na tyle jednak ważną, aby pragnął pogłębić jej zmieszanie.

— Nic mi nie wiadomo, żeby się zepsuł — odpowiedziała bezradnie.

— Na przykład... w czasie strzelaniny — podrzucił kapitan.

— Nie, zegar nie był rozbity. Tylko wewnątrz domu było postrzelane. Ale może pan ma rację... — na jej twarzy odbił się wysiłek pamięci — w tych latach, w których prowadziłam szkołę jeszcze w dawnym pałacu, zegar chyba nie chodził. Tak.

— Odetchnęła z ulgą, ogarnęło ją odprężenie. — Po prostu zapomniałam — powiedziała żywo. — Ale nie z powodu wieku.

Są okresy w życiu, z których pamięta się mniej szczegółów, inne odciskają się w pamięci każdym drobiazgiem. Z okresu okupacji mogłabym się panu rozliczać z każdego dnia niemal na godziny. Tak wolno biegły. Pierwsze lata po wojnie przedstawiają mi się dzisiaj jak obrazy oglądane z ekspresowego pociągu. Czasem nawet nie wiem, który należy do środka, który do końca albo początku. Tak, wtedy, gdy byłam kierowniczką naszej pierwszej powojennej szkoły podstawowej, zegar na wieży już nie chodził.

— Jest pani tego pewna, czy poddała się pani mojej sugestii?

— Ja? Sugestii? — uśmiechnęła się znów w znany już kapitanowi sposób. — Nauczyciel, który poddaje się sugestiom, proszę pana, nie utrzyma w garści żadnej klasy. A ja, chwała Bogu, nie uskarżałam się na dyscyplinę wśród moich byłych wychowanków. Ja tylko wtedy nie miałam po prostu czasu martwić się popsutym zegarem. Nie miałam czym opalać klas, brakowało mi fachowych sił do fizyki, chemii, matematyki. Wojna dokonała spustoszenia wśród zawodowych nauczycieli. Stali na pierwszej linii nie tylko cywilnego frontu. Zegar! Ale ma pan rację, był zepsuty. Może od wstrząsów. Rosjanie brali nasze miasto trzy razy. Wszystkie budynki zarysowały się od dachów aż po fundamenty. Te, które ocalały. Cóż dopiero mówić o zegarach!

— Czy mogłaby pani przypomnieć sobie godzinę, na jakiej zatrzymał się zegar z wieży?

Znów spojrzała na człowieka, który przed nią siedział, jakby miała do czynienia z wariatem.

— Nie, proszę pana — powiedziała stanowczo, chyba po to, żeby zamknąć tę absurdalną dla niej rozmowę. — Nie przypominam sobie i wątpię, abym kiedykolwiek zwróciła na to uwagę. A w każdym razie, żebym mogła pamiętać przez tyle lat coś tak nic i dla nikogo nie znaczącego. Zupełnie bezużytecznego.

„A, nie — pomyślał kapitan z przekorą. — Teraz się mylisz, moja kochana. Po prostu nie masz wyobraźni. Wcale. I to ci musiało przez całe życie przeszkadzać, chociaż na pewno byłaś świetną nauczycielką, nie mam co do tego żadnych wątpliwości”.

— Czy pałac był remontowany po wojnie?

— Zależy, co się uważa za remont — zauważyła cierpko starsza pani i Korda domyślił się, że potępia stan rujnacji, w jaki popadła dawna rezydencja. Całkowicie się z nią w duchu zgadzał. Nie znosił marnotrawstwa, upadek, do jakiego został doprowadzony pałacyk, poruszył jego gospodarski zmysł od razu, gdy pierwszy raz spojrzął na dom, kryjący się w parku.

— PGR przeprowadził we dworze remont, gdy przejmował budynek na dyrekcję — powiedziała nauczycielka. —

Pomalowali ściany, zmienili starą instalację elektryczną.

„Wtedy musieli usunąć ślady walki — uprzytomnił sobie kapitan. Nie mogłem ich zauważyć”.

— Jak pani myśli, czy Kropiwnicki miał szansę uratowania się z gestapo? — zapytał znienacka Korda.

Podniosła na niego żywe, inteligentne oczy. Sprawilo jej widoczną ulgę porzucenie przez kapitana beznadziejnej sprawy zegara na wieży.

— Proszę pana, oni nie zostawili z niego nawet strzępka — powiedziała z mocnymi przekonaniem — a raczej... roznieśli go na strzępki. Mieli dwóch zabitych. Nikt zresztą, kogo wzięli z naszego miasteczka, nigdy nie wrócił. Dlaczego pan Kropiwnicki miałby mieć tyle szczęścia?

— To przecież zawsze możliwe.

— Owszem. Cuda się zdarzają. Ale jego nikt więcej nie widział.

— Administrator majątku Donerów też zniknął — zauważył kapitan.

Tak. Idąc po tej linii rozumowania, pan Kropiwnicki może znajdować się tylko w Wiedniu. U swoich krewnych. Jeżeli na tej podstawie został zwolniony.

„Jeżeli nie na innej, to właśnie na tej podstawie został zwolniony i żył aż do 1 listopada 1971 roku — stwierdził kapitan na własny użytek. — Na jakiegokolwiek bądź podstawie to się jednak stało, mniej zrozumiałe jest jego pozostanie w kraju. Z zamięłowania do zegarów zrobił sobie zawód. Zachował nawet nazwisko i spokojnie mieszkał sobie od początków lat sześćdziesiątych w Warszawie, na Bródnie. Dlaczego? Na jakiej zasadzie? Z jakiego zatem powodu ktoś go po tyłu latach zabija?”

— Nikt się wtedy z tej strzelaniny nie uratował? — zagadnął kapitan Korda jeszcze raz, w nikłej nadziei, że nauczycielka poda mu jakiś inny koniec nitki, za który można będzie znów pociągnąć.

— Z naszych nikt. Noga ludzka nie wyszła z parku.

— Ale skąd pani ma tę pewność? — zirytował się lekko kapitan.

- Na pogrzebie był ich dowódca.
 - Ach, tak? – poczuł odprężenie, odrobinę mu ulżyło.
 - Tak. Przyszedł. Rzykował życiem. Siedemnastu chłopców wysłał do dworu na legowisko i siedemnastu zidentyfikował.
 - Kto to był?
 - Pseudonim „Brodaty”. Ojciec jednej z moich uczennic. Lech Kwaśniewski. Umarł w zeszłym roku w Warszawie — dodała z niedostrzegalną ironią, ale może się tak tylko kapitanowi zdawało.
 - Córka jest w kraju?
 - Naturalnie. Wyszła za męż. Pracuje. Jest kasjerką w okrągłaku, w PKO, w Alejach Jerozolimskich. Marzenka Kwaśniewska, obecnie Pawlicka.
- Kapitan pogłaskał kota, ale nie miał odwagi zagwizdać na kanarka, żeby nie zwrócić uwagi kota na klatkę.
- Alojzy jest tak nażarty, proszę pana, że Maciek nio go nie obchodzi — uraczyła kapitana na koniec ostatnią informacją Olga Klimontowicz, która umiałaby jeszcze utrzymać pistolet w ręku.
- „Czemu nie? — zadał sobie to pytanie kapitan Korda. — Wyjątkowo prosto chodzi ta stara nauczycielka. Wyjątkowo jasno myśli, a jej ręka zachowała pewność ludzi nawykłych do pisania. I — ma charakter”.

Rozdział VII

Leżał na łóżku w hotelu turystycznym i patrzył w drewnianą powałę sufitu. Pod oknem szumiał wartkim biegiem górski strumień. Słuchając w ciszy, jak płynie strumień, z potworną siłą odczuł męczącą go od kilku dni ucieczkę czasu. Straconego czasu, może nawet życia. Od kilku dni były w niego dwie sprzeczne fale: nadzieja i rezygnacja. Oprócz klucza do zagadkowego zachowania się Zegarmistrza w chwili śmierci, szukał także straconej szansy. Była przecież gdzieś wpisana w tor, po którym wędrował aż do strzału z 1 listopada, gdy koło się zamknęło. Nawet w obłądnym bieganiu za tamtym

człowiekiem miał swoją szansę, tylko dla siebie, może kilka, a na pewno jedną w ciągu minionych lat. Nie wykorzystał żadnej. Pozwolił im umknąć, bo tamto było najważniejsze. A teraz miał resztę nadziei, że skoro z tamtym skończył, uda mu się odbudować coś z młodości. Towarzyszyło mu jednak stałe wrażenie, że nie może zrobić już niczego tak dobrze, jak by chciał, bo pełźnie za nim obrzydliwy cień rezygnacji.

„To nie ma sensu — pomyślał. — Wyjadę raz na Kasprowy, jeżeli nie będzie mgły, i wracam do biura. Do Ireny. Powiedziałem Michałowi, że nigdy się z nią nie ożenię. Dlaczego by nie? To jest jedyny naprawdę rozsądny krok. Nie mam znów tak wielu lat przed sobą. O co się jeszcze szarpać? Z Ireną mogę mieć spokojny dom. Irena ma swoje lata, umie cenić spokój. Do diabła, ale czy ja go kiedykolwiek szukałem?”

Wstał i przespacerował się wzdłuż pokoju, wyjrzał przez okno. Woda skakała po kamieniach wesoło i pięknie, wezbrana obfitymi, wczesnymi w tym roku opadami śniegu. Szło na wczesną, zbyt popędliwą zimę. Świerki w Dolinie Białego stały w białych czapach, jak w dzień Bożego Narodzenia.

Zdjął z kołka wiatrówkę, wprawnym ruchem zaciągnął błyskawiczny zamek pod brodę. Powietrze wysuszało w nosie, jakby się zbierało na mróz. Zaczynał padać drobny śnieg. Lubił chodzić pod górę, nogi musiały pracować i zaraz wiedział, że żyje, coś pokonuje, bodaj spadzistość ulicy.

Teresa ostatnio mieszkała na Bystrem. Nigdy nie stracił jej z oczu. I nie tylko jej. Z nawyku zresztą. Skwapliwie pilnował dróg ludzi, z którymi się kiedykolwiek spotkał.

Nigdy nie wiadomo, do czego w jego sytuacji mogli się przydać. Miał w domu niemal kartotekę nazwisk, adresów, zapisy informacji, aż do tej ostatniej. Nie wyobrażał sobie, że w taki sposób trafi do Zegarmistrza. Liczył na systematyczność poszukiwań. Przez pierwsze powojenne lata stale odwiedzał Biura Ewidencji Ludności po większych miastach — bez rezultatu. Dwadzieścia osiem lat wierzył w skrupulatne gromadzenie informacji, żeby dotrzeć do tego człowieka w wyniku zbiegu okoliczności.

Gdyby nie był tak wyczulony na każde słowo o zegarach i zegarmistrzach, niczego nie zarejestrowałby z gaworzenia młodzika, inżyniera, który przyjechał na staż podyplomowy na prowincję. Inżynier wybierał się jakiejś soboty do Warszawy, na Bródno, do zegarmistrza. Więcej z nawyku niż z przekonania spytał inżyniera, dlaczego taszczy się z zegarkiem aż do Warszawy. To, co nastąpiło, omal nie zważyło go z nóg. W ciągu trzech sekund usłyszał nazwisko, którego bezskutecznie szukał przez ćwierćwiecze. Już niczego więcej nie musiał się dowiadywać, znał bowiem zbyt dobrze te mistrzowskie ręce. Nagłość jednak zdobycia informacji, na odszukanie której poświęcił połowę życia, nie pozwoliła mu już wypytać się o dokładny adres Kropiwnickiego. Bał się zdradzić, ponieważ działał się z nim rzeczy, o które nigdy nie posądziłby swego, znajdujące go się w dobrym stanie, systemu nerwowego.

Teraz był skłonny przypuszczać, że poraziła go bliskość, osiągalność człowieka, za którym gonił jak za fantomem. Przez mijające lata ani razu nie pozwolił sobie na myśl, że mógłby zarzucić poszukiwania. Coraz mniej było w nim jednak pewności, że znajdzie Zegarmistrza. Podświadomie ustępował rzeczywistości. I nagle ta sama rzeczywistość upomniała się o swoje, o niego. Szok był brutalny. Los kazał mu brać dwa razy na siebie to, co każdy człowiek pragnąłby załatwić tylko raz. Nie wyciągnął wtedy od inżyniera szczegółowych informacji, chociaż one ułatwiłyby mu działanie. Ale znał Pragę jak własną kieszeń. Urodził się na prawym brzegu Wisły. Mógł sobie poradzić sam. To było o wiele ostrożniejsze i rozsądniejsze. Wypytywanie, nawet niewiele znaczące, zawsze, jeżeli nie zaraz, to kiedyś, skłania innych ludzi do własnych domysłów. Wolał ich unikać.

Podczas dwóch służbowych wyjazdów do Warszawy ustalił dokładny adres Kropiwnickiego. To nie było trudne. W okolicach ulicy Św. Wincentego nie trzeba chodzić do Dzielnicowej Rady Narodowej. Wystarczy spytać wystających przed bramami nastolatków, gdzie ktoś ma jakiś warsztat. Na Bródnie ludzie się ciągle jeszcze ze sobą znają, a w każdym razie większość mieszkańców tej dzielnicy wie sporo o sobie.

Powietrze oczyściło się zupełnie, gdy młodego inżyniera pociągnęło zagłębienie miedziowe. Przeniósł się tam w lecie 1971 roku, a 1 listopada, Zaduszki, wydawały się akuratańską i dostatecznie odczekaną datą.

Szedł teraz pod górę i myślał, ile wysiłku, dyscypliny wewnętrznej kosztował go ten rok, a nawet czternaście miesięcy czekania. Miał nareszcie tego człowieka w zasięgu swej wiedzy. Miał go niemal pod lufą i rozumiał, że musi poczekać dotąd, aż jedno nieważne pytanie, rzucone inżynierowi od niechcenia, wywietrzeje tamtemu z pamięci. Zatrze się. Bo nie był to nawet epizod w koleżeńskich, codziennych kontaktach, tylko strzęp zdarzenia. Najmniejszy, jaki można sobie wyobrazić. Ale nawet ten cień śladu musiał się rozplątać w czasie.

„Po to, żeby teraz żłobić za sobą ścieżkę, którą byle dureń może swobodnie pójść! — pomyślał z pasją. — Niesłuchanie rozsądnie działałem do czasu, zanim skończyłem z tym łajdakiem. A teraz miotam się jak szczawik, bo zachciało mi się znów żyć, żyć, a Zegarmistrz nie chciał odjeżdżać do lali tak, jak sobie wyobrażałem 28 lat temu. Powinienem siedzieć w tej chwili w biurze. Pójść z Ireną do kina. Ściągnę sobie kogoś w końcu na łeb”.

Wcale się tym jednak nie przestraszył, bo po prostu nie wierzył, żeby ktoś mógł go odnaleźć. Taki człowiek musiałby być szachistą, zajmować się zagadkami matematycznymi i gramami logicznymi, nie robotą policyjną!

Sam był jedynakiem. Rodzice dawno nie żyli. Bliskiej rodziny nie mieli, a dalsza nigdy go nie widziała ani on jej. Ojciec przywędrował przed wojną do Warszawy z poleskiej wsi. Wziął się na odwagę, bo był niezłym bednarzem. Ożenił się z dziewczyną z Pragi, z ekspedientką ze spożywczego sklepiku. Ojciec zrobił dobry wybór, a o dziewczynie mówiono, że mogłaby celować wyżej, gdyby narzeczony nie był tak diabelnie przystojny. Swoją wyprawę ojciec przekazał synowi w spadku. Matka do końca życia nie porzuciła handlu. Mogła dzięki temu posłać syna do gimnazjum. Postanowili z ojcem nie mieć więcej dzieci, żeby nie okradać z wykształcenia tego

jednego.

„Wojna wszystko pokreśliła — myślał wędrując ciągle pod górę. — Ale zdążyłem zdać maturę. Gdyby nie matka, nie skończyłbym szkoły. To dziś mój jedyny, coraz słabszy zresztą, atut. Plus praktyka biurowa. Zawał ojca po łapance na Ząbkowskiej wykończył matkę. Gdyby żyła.... Gdyby ona żyła, ja nie mógłbym żyć jako Jerzy Kowalik. Wszystko musiałoby się potoczyć innym torem. Zabawne. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym wrócić do swego nazwiska. Tylko Baśka zna Franka, ale ona jedna nie знаła nigdy żadnego mego nazwiska. Ciekawe, nie zapytała o to. Kim w gruncie rzeczy jestem, to wiedziałaby tylko matka. Gdyby ktoś nagle wrzasnął mi za plecami — Kazek Olenderczyk! — odwróciłbym się? Nie. Z Jerzym Kowalikiem czuję się najlepiej. Tak dobrze, że nawet gdybym mógł, nie wróciłbym już do Kazka Olenderczyka. Olenderczyka po prostu nie ma, tak samo, jak Franka. Na dobrą sprawę po śmierci tego łajdaka jestem dla wszystkich tylko Jerzym Kowalikiem. Baśka? — odpowiedział głos ostrzeżenia. — Tak, ona. Mogłem nie wyjść wtedy z puszczy. Ale wyszedłem. Poszukałem jej wczoraj w Krakowie. Ale ona — wiem — nie powie nigdy, niczego, nikomu. Co by zresztą mogła powiedzieć? Że w czasie wojny znała chłopca imieniem Franek? I co dalej? Nie wie o mnie .nic poza tym. To jej wystarczało kiedyś i dziś. Nawet na torturach nie wymówiłaby mego imienia. Nie chciała go nawet powiedzieć głośno tam, gdy zaszedłem ją znienacka koło samochodu, w puszczy”.

Zatrzymał się na wyniosłości, przy wolno stojącym domu, odsuniętym od drogi, zbudowanym w góralskim stylu, chociaż to była luksusowa willa, z garażem i ogrodem.

„Teresa się wypierzyła — zauważył w duchu. — Wylazła z męzowskich kłopotów. Taki dom, na Bystrem!”

Zapadł zmierzch. Oparł się o sztachety płotu, tyłem do oświetlonych okien.

„Właściwie chciałem tylko zobaczyć, gdzie ona teraz mieszka i jak żyje. Już wiesz?” — zadrwił z siebie.

Dawne mieszkanie Teresy na Krupówkach było stare i skromne, ale wolałby znaleźć ją tam. Odwrócił się bokiem i

spojrzał znów w okna. Ktoś przeszedł się po pokoju, dobrze odcinał się na tle oświetlonej szyby, gdy patrzyło się z mroku.

„Pewnie jest dużo ludzi w domu. O tej godzinie na pewno nie jest sama. To niedobra pora na odwiedziny. Takie odwiedziny. Najpierw zatelefonuję. Dlaczego nie telefonowałem? Chciało mi się rozprostować kości, wyjść na powietrze. Może nie ma telefonu? Eee, przyjrzyj się tej willi. Garażyk — bezbłędny. Srebrne świerki w narożnikach domu. Ma telefon”.

Oderwał się od sztachet i zaczął wolno schodzić z powrotem w dół, do Zakopanego.

Pamiętał jeszcze i wiedział, że nigdy nie zapomni tego dnia w 1945 roku, w Bystrzycy Kłodzkiej. Też był zmierzch, jak teraz. Miasteczko częściowo wyludnione, inne domy zamknięte na wszystkie możliwe zamki, zaparte u drzwi komodami. Chciał przenocować. Przechodził z posesji na posesję, skacząc przez płoty ze sztachet, trochę wyższe niż ten na Bystrem, o który przed chwilą opierał plecy. Nigdzie nie mógł się dostukać. Nie miał chęci spędzić nocy w PUR-ze albo na ławce, w komisariacie milicji. Brał pod uwagę taką możliwość, ale jako ostatnią. Miał zamiar przespać się w porządnym łóżku, w betach, pod pierzyną. Był zmęczony, siedł tego dnia 30 kilometrów z plecakiem.

W ogródku, podobnym do tych, które minął, wyrósł przed nim zupełnie ciemny dom, a raczej willa. Klamka ku jego zdziwieniu ustąpiła pod ręką, drzwi zaskrzypiały. Znalazł się w przedpokoju, długim, jak mu się wydawało, podobnym do hallu. Zaczął macać palcami po ścianach w poszukiwaniu kontaktu. Trwało to parę sekund. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy światło zalało parter. Opuszczone domy były zazwyczaj opieczętowane, a przynajmniej wyłączone z sieci.

— Dlaczego pan zapala światło w cudzym domu?

Tak, tak wtedy powiedziała, a on podskoczył, jakby ktoś celował do niego z pistoletu, i sam złapał się za kieszeń.

— Niech pan to zostawi. Boję się bardziej od pana.

— Dlaczego nie zamknie pani drzwi?

— W jaki sposób? Zamki są wyrwane.

Obejrzał się. Rzeczywiście ktoś musiał się dobierać do tego

domu przy pomocy siekiery.

— Ale przecież idzie noc — wyjąkał.

— Wiem to bez pana. Idzie nie pierwsza noc.

Miała niski, ciepły głos. Pomyślał, że jest przeziębiona albo ma chrypę.

— Przeziębila się pani? — zatroszczył się niespodziewanie dla siebie.

— Nie. Dlaczego? — zdziwiła się.

— Ma pani chroniczną chrypę?

Spojrzała na niego z rozbawieniem. Zmieszał się.

— Bo ma pani taki... taki niezwyčajny głos... ładny.

Wybuchnęła niskim, piersiowym śmiechem.

— A mam. Wiem o tym. Już mi to mówili. Stale mówią. Ale ja sama tego nie słyszę. Wie pan?

Oglądał posadzkę pod nogami, żeby ukryć rosnące zakłopotanie.

„Mówili jej! Oni. Ihu? Zarozumiała bestyjka”.

— Nie ma tu nikogo? — zapytał, żeby coś powiedzieć.

— Jest. Pewnie. Ale ma służbę. W milicji. Dwóch milicjantów na całe miasto. Noc w noc wychodzi. On zajmuje dół, a ja górę.

— To pani mąż?

— Jaki tam mąż! — obruszyła się. — Przyszedł tu, jak ja, i jest.

— Dlaczego nie zadba o zamki?

— Panie, on musi dbać o głowy osadników. Już mamy kilkunastu. Sam od tego już nie ma głowy. Zamki!

Zeszła niżej ze schodów i wtedy ją lepiej zobaczył. Była starsza od niego co najmniej o cztery, pięć lat. Miała czarne, proste brwi, bardzo ciemne oczy, a włosy — brązowe, miejscami rudawe i błyszczące jak kasztan. To było zdumiewające zestawienie przy zupełnie bladej cerze. Nie była wysoka, ale miała długie nogi w stosunku do sylwetki i naturalną pulchność ciała, która nie ma nic wspólnego z otyłością. Przyciągała, promieniowała ciepłem, kobiecością, jak piecyk.

— Nazywam się Teresa — powiedziała. — Pan pewnie chce przenocować. Nie jest pan chyba bandytą, chociaż i to możliwe,

ale niech pan idzie na górę. Przynajmniej przez tę noc nie będę umierać ze strachu. Po kiego diabła ja się tu przykajdałam — zirytowała się nagle — lazałam aż z Paryża, żeby noc w noc dostawać tu na zmianę febry ze szczękościskiem. Mogłam zostać po drodze, w Berlinie, a ja nic, tylko do kraju. W Brukseli żyłoby mi się na kobiercu... Niech pan uważa, tu jest próg... inaczej rozłoży się pan jak ja, za pierwszym razem.

Potknął się mimo ostrzeżenia, roześmieli się oboje, ona cichutko swoim niskim głosem. Zdał sobie sprawę, że go urzeka jego dźwięk.

— Co, co pani robiła w Paryżu? — wybąkał.

— A co? Przecież nie pojechałam po stroje do Guerlaina. Wywieźli mnie. Pracowałam w Zagłębiu Ruhry. Uch, jeszcze jak pracowałam! Jak ich diabli wzięli, wsiadłam do jepra z amerykańskim dryblasem i pojechałam odbić sobie kopalnię. — Roześmiała się. — Chciałam zobaczyć Paryż. Już nigdy nie trafi mi się tak: fart. Obejrzałam i zachciało mi się do domu. A tu masz, nie ma żadnego domu. Nawet wspomnienia o nim. Ja z Warszawy, a pan? — nie czekała na jego odpowiedź. — Wylądowałam tutaj. Którejś nocy szlag mnie trafi, chociaż mój milicjant stale proponuje mi karabin. Cha, cha, wyobraża pan sobie mnie z karabinem? Ja się jeszcze bardziej boję zostać z karabinem niż bez. Zanim bym wystrzeliła z takiej rury, nie ma wątpliwości, byłby ze mnie zimny trup. Ten drugi — jak logika podpowiada — musiałby być szybszy.

— Dziś nie będzie się pani bała — mruknął.

— A pan, co? Też przy broni? Dziękuję za taki interes. Niech się pan pilnuje mojego milicjanta. Jeśli zgadnie, że pan ma broń, nie chciałabym być w pańskiej skórce.

— E, tam. Wcale nie powiedziałem, że mam broń.

W pokoju stały dwa, zestawione ze sobą, ogromne małżeńskie łóżka i leżała na nich góra pierzyn. Spał tej nocy w pierzynach, jak mu się marzyło, obok dziewczyny, Teresy. Spał, jak zabity, jak umarły. Rano powiedziała, że znów musiała czuć, bo zaraz się zorientowała, że człowiek z takim snem to dla niej żadna opieka w otwartym domu. Znów była sama i miała jeszcze jego na głowie.

Został z nią całe pięć miesięcy. Najlepsze w życiu. Mieszkali pod tą górą pierzyn. Zreperował jej drzwi, żeby się nie musiała bać, gdy odejdzie. Bo musiał odejść, chociaż nie chciał. Nie chciał za nic w świecie, ale ona się — na szczęście — tego nie domyślała.

„Kiedy spotkałem ją drugi raz? — myślał idąc zanurzającą się w mroku zakopiańską drogą. — W Warszawie, w 48 roku. Na Marszałkowskiej. Wszyscy spotykali się wtedy na Marszałkowskiej, od Nowego Jorku, Londynu i Paryża do Lublina i Białegostoku. Wszyscy tam ciągnęli i objiali się o siebie w tym wąwozie Europy, nazwanym kiedyś Marszałkowską. Biegła za mną, chociaż uciekłem jej wtedy z Bystrzycy jak tchórz, jak smarkacz. Ale w przeciwnym razie nigdy nie byłbym w stanie tego zrobić. Byłaby moją żoną”.

Stali naprzeciwko siebie, na chodniku, między wypalonymi domami Marszałkowskiej.

— Coś ty zrobił? Wtedy. Po coś to zrobił? — domagała się odpowiedzi, po swojemu, niecierpliwie, wprost. — Chodź do kawiarni. Tam spokojniej porozmawiamy. Co robisz? Co się z tobą działo przez cały czas?

Odpowiedział jej po kolei na te pytania, jak mógł, nie — jak by chciał. Jak wtedy, gdy zobaczył ją na schodach w rozwalonym domu, w Bystrzycy, tak z warszawskiej kawiarni poszedł za nią zaraz, dokąd chciała. Miał świadomość fizycznej z nią wspólnoty. Nic nie stąpionej czasem ani dostatecznym rozeznaniem własnych ciał. Zabrała go do kołchozowego pokoiku w polekarskim, niegdyś eleganckim, mieszkaniu. Było bardziej podobne do jarmarku, placu targowego niż domowego zacisza. Przeżył z nią w tym tramwaju jeszcze dwa, najlepsze, tygodnie życia. Nie zatrzymywała go tym razem, już wiedziała, że odejdzie. Pożegnali się któregoś dnia. Powiedziała mu dopiero wtedy, że wychodzi za mąż. Trafia jej się kariera. Pieniądze i nazwisko. A to się liczyło i była pewna, że za kilka lub kilkanaście lat znów będzie się liczyć.

„Miała rację — pomyślał trzeźwo. — Miała wtedy cholerną rację. W jaki sposób jednak potrafiła wytłumaczyć wówczas swojej karierze, że na dwa tygodnie ginie dla świata? Kariera

też nie bywa naiwna. Wręcz przeciwnie.”

Odwiedził ją jeszcze w dwa lata później. Mieszkała już z mężem w Zakopanem, na Krupówkach. Jej mąż miał kłopoty. W pięćdziesiątych latach egzystencja bez posady była skomplikowanym zajęciem, a on nie mógł dostać żadnej pracy. Ukryli się w Zakopanem. Tam byli mniej widoczni. Tam można było zachować prawo do wygodnego mieszkania, unikając pytań o miejsce pracy. Mnóstwo ludzi praktykowało w tym górskim miasteczku nieróbstwo z konieczności, skutki gruźlicy. Po wojnie Zakopane pękało od chorych, kwitnąco wyglądających ludzi, do których można się było przyznać i między nimi utonąć. Zmieszać się z tym szczególnym, zamkniętym i zrozumiałym tylko dla samego siebie świecie chorych na płuca.

Teresa przygasała, jej oczy i włosy straciły blask, mowa żywość i bezpośredniość. Kariera kosztowała. Nazwisko, które przybrała, okazało się za dobre. Nie pomagały znajomości ani pieniądze. Teresa już wiedziała, że chociaż powoli, ale coraz skuteczniej będzie izolowana od społeczeństwa. Doskwierało jej to, lubiła być z ludźmi i między ludźmi. Zwykłymi ludźmi.

Wyszedł od niej przygnębiony, coś niepowtarzalnego odeszło z wyobraźni. Teresa ze schodów rozwalonej na rozcież willi w Bystrzycy, z kołchozu na Marszałkowskiej. Teresa, która zawsze brała życie za rogi, była odważna, umiała się śmiać i przede wszystkim — kochać.

„Nie chciałym poznawać jej męża — pomyślał teraz. -- W żadnym wypadku. Chociaż on znów jest „dobry”, a ona pewnie wróciła do równowagi. Przettrzymała trudny okres i wygrała. Teresa”.

Usłyszał równy szum potoku, wszedł do schroniska, trzęsło się od wrzasku big-bitu. Szybko i możliwie dobrze zamknął drzwi do pokoju. Rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął.

Rozdział VIII

Kapitan Korda stał w okrągłaku, w PKO, w kolejce do kasy numer trzy i przyglądał się Marzence Kwaśniewskiej, z męża Pawlickiej, córce „Brodatego”. Tej młodej i ładnej kobiecie, przyjemnie zadbanej, siedzącej za stołem kasowym, na pewno bardziej spodobałby się chociażby Gabler. Ale w sprawach z tamtych lat, wojennych, kapitan umiał się poruszać. Dla Gablera i innych chłopców to były niemal księżycowe historie. A na pewno nie mieli do nich żadnego wycucia, bo żadna więź emocjonalna nie kazała im działać w akurat jedyny trafny sposób. Psychologia ludzi z wojennym życiorysem była dla nich doskonale obca, a zagrania starych, partyzanckich wygów, demonstracje, gesty i pozy zupełnie operowe, z wielkim wysiłkiem rozszyfrowywane.

Korda zamyślił się właśnie nad tym i znalazł się prawie przed kasą, a tego sobie nie życzył. Wysunął się z kolejki. Poszedł do dyrekcji. Pani Pawlicka zjawiała się po kwadransie.

— Przepraszam, ale musiałam sprawdzić stan kasy. Zawsze przy zastępstwie...

— Kapitan Korda z Komendy Głównej MO — przedstawił się, wyciągając legitymację. — To zrozumiałe — uspokoił ją — że nie mogła pani przyjść natychmiast. Mam do pani kilka pytań. Zgadza się pani na rozmowę?

Speszyła się.

— Nie wiem, o co panu chodzi, ale nie mam żadnych powodów, żeby się nie zgadzać.

— No, to niech pani usiądzie — przybrał ton ojca. Dziewczyna mogłaby być jego córką. — Chodzi mi o pani ojca — powiedział już wprost, bo była dobrze przygotowana, ujęta i był pewny, że już się nie wycofa, nie stanie mu dęba.

— O „Brodatego” — uśmiechnęła się, ale zauważył, że się wyprostowała i natychmiast zdystansowała się do niego. — Jeszcze kogoś może to obchodzić? Interesować? Dziś! W 1971 roku.

— Oho! — przerwał jej zręcznie — pani mi chce zrobić wykład polityczny.

— Nie. Gdzieżbym śmiała. Ojciec nie żyje.

— Wiem. Ale czyjeś inne życie — możliwe — zależy od tego, co mi pani powie — zableffował, ale tylko w połowie. Sam nie wiedział, co jeszcze może się kryć w sprawie zegarmistrza.

— Ci ludzie są niemożliwi do zniesienia dla normalnego człowieka! — wykrzyknęła.

— Kto? — zdziwił się kapitan jej nieoczekiwanym wybuchem.

— No ci wszyscy, z lasów. Po tylu latach jeszcze to ciągną — mówiła z ogniem. — Ciągłe się w tym kisa, gadają o tym bez końca, zapijają to po knajpach, jak się spotkają. Czy ja tego nie znam? Były z tego nieszczęścia, ale to niemożliwe, że jeszcze są. Chociaż...

Kapitan przyglądał jej się z zaskoczeniem. Wyglądała na miłą, przylepłą laleczkę, mimo to trzeźwą i bardzo zachłanną na życie. Ale nie pierwszy raz ktoś taki, z powojennego pokolenia, dziwnego pokolenia, udającego, że nic nie widzi, niczego nie rozumie, a pojmującego wszystko, sprawiał mu niespodziankę.

— A tak — zgodził się z nią — poniekąd ma pani rację.

Natychmiast zrobiła się podobna do balonika, z którego ktoś jednym ukłuciem wypuścił powietrze. Minęło wewnętrzne zjeżenie i nawet przychylnie spojrzała na kapitana.

— Przecież pan też z tych... dlaczego pan przyznaje mi rację?

— A skąd pani wie, że z tych?

— To widać — rzuciła ze znawstwem. — Czy ja ich nie znałam? Własnego ojca...

— I dlatego nie mogę przyznać pani racji?

— No, tak. To proste.

„Niezupełnie — stwierdził kapitan w myślach. — To chyba tylko kwestia oleju we łbie, ale niech mnie Bóg broni, żebym się z tym przeświadczeniem wydał przed tą inteligentną dziewczyną”.

— No, niech pan już jedzie, jeżeliśmy to zaczęli — przypomniała.

— Dobrze — powiedział sucho, bo jednak nie miał zamiaru oddać jej prowadzenia w dialogu pokoleń. — Wie pani coś o bitwie w parku Donerów?

— Jeszcze by nie! Musiałam tego słuchać przez dwadzieścia lat swego życia. Co najmniej. Musiałam pocieszać ojca razem z matką, ciągle przykładając plastry na jego wyimaginowane plamy na honorze.

Rozmowa, ta dziewczyna — stawały się coraz bardziej interesujące. Same dla siebie i bez sprawy, która interesowała kapitana przede wszystkim.

— I to dlatego, że dostał wtedy kataru — rzuciła od niechcenia, jakby to stwierdzenie było zupełnie zwykłe.

Gdyby nie okoliczności śledztwa, kapitan wybuchnąłby śmiechem, ale i tak nie wiedział, co powiedzieć, więc uznał, że najlepiej pomilczeć.

— Przeziębził się. Rozumie pan? Nie mógł ich poprowadzić, tych swoich chłopaków. Kichał jak z mózdzierza, a do dworu trzeba było podejść cicho. Puścił ich samych i tego sobie do śmierci nie darował. Jakby swoją obecnością był w stanie czemuś przeszkodzić.

— A dlaczego, pani zdaniem, nie zdołałby przeszkodzić?

— Bo to była zasadzka. Jasne. Leżałby tylko w rządku, na tamtym cmentarzu, razem z nimi, nie w Warszawie. A ja bym nie miała ojca. Ja wołałam mieć ojca, rozumie pan — powiedziała wyzywająco.

„Rozumiem, rozumiem — pomyślał kapitan. — Nie wiadomo tylko, co on wołał. Tego nie bierzesz pod uwagę. Może czasem, dziewczyno, lepiej umrzeć wcześniej niż później. Może ciężko żyć ze swoim mołem. Kto ma prawo to osądzać”.

— On był oficerem — dodała — przedwojennym. I miał swoje zasady. Uważał, że wygubił chłopaków, bo złapał grypę i matka położyła go zaraz do łóżka. Matka mówi, że miał czterdzieści stopni gorączki i ledwo trzymał się tego wieczoru na nogach. Taki był mój ojciec — stwierdziła już bez żadnego, ani ukrytego, ani jawnego, szyderstwa.

„A przecież nie chcesz się przyznać, że jesteś z tego dumna — stwierdził kapitan, przyglądając się bacznie dziewczynie. — Ciągle się maskujecie, bawicie się w chowanego”.

— To ważne, niech pani uważa — przechylił się do niej przez stół. — Skąd pani wie, że to była zasadzka?

— Ojciec tak twierdził — powiedziała bez żadnego wahania.
— Czy miał na to jakieś dowody? Ujawnił je? Mówił wam o nich?

— Nie potrzebował dowodów. To było wtedy jednoznaczne. W czasie wojny — nie?

„Niestety nie—westchnął kapitan Korda w duchu.— I między innymi stąd wynikało sporo nieszczęść. Jeszcze się gdzieś czają po szparach jak insekty”.

— Komu ojciec przekazał wówczas dowództwo? — zapytał.

— Świerkowi. I o tym Świerku też się nasłuchałam. Gdyby żył, byłby pewnie geniuszem i ojciec na dokładkę uważał, że zabił przyszęłego Prusa albo Sienkiewicza, Świerk pisał. Pewnie kleił partyzanckie opowieści, wierszyki. Wszystko jedno zresztą, szkoda tego Świerka. Jak było, tak było. Może i miał talent. Podobno był idealistą i chłopcy go szanowali. Wszyscy.

— Ilu tych chłopców poszło wtedy do majątku?

— Siedemnastu i ani jeden nie wyszedł żywy.

— Na pewno?

— Są groby. Zapis w parafii. Może pan sprawdzić.

A nawet dla ścisłości to zginęło osiemnastu ludzi z naszej okolicy. Tej samej nocy.

— Gdzie leży ten osiemnasty?

— Niądzie. Zniknął.

— Należał też do oddziału ojca?

— Nie. To był chłopak z folwarku.

— Jak się nazywał? — kapitan pytał teraz szybko, już nie prowadził z nią rozmowy i dziewczyna to zauważyła.

— Ojciec nigdy nie mówił o nim z nazwiska ani z imienia. Tylko syn Wawrzona. Podobno matka tego chłopca przyszła na pogrzeb, przekonana, że syn dostał się w strzelaninę, ale nie było go między zabitymi.

— Wrócił kiedyś? Po wojnie?

— Tego nie wiem. Może ktoś jeszcze żyje z dawnych ludzi folwarcznych albo pracuje w pegeerze. Tam łatwiej się pan czegoś dowie.

— Czy ojciec widywał się z kimś ze swoich towarzyszy broni po wojnie? W ostatnich latach?

— Z kim miał się widywać, jak wszystkich stracił? — zirytowała się ni stąd, ni zowąd dziewczyna. — Ale był zbowidowcem i jeździł na różne uroczystości rocznicowe. Zawsze wracał z nich rozbity. Przez kilka dni „żył tam”, jak mówiła matka. Ale to miało.

— „Brodaty” dowodził akowskim oddziałkiem? Do jakiego zgrupowania należał? — spytał Korda dla skonkretyzowania faktów.

Dziewczyną uśmiechnęła się sceptycznie.

— Tak naprawdę? — zastanowiła się. — Ojciec miał w ogóle kłopoty. Zawsze mówił, że już w czasie wojny czuł, czym to wszystko pachnie i co się szykuje, czym zakończą się te różne wojska. Wydaje mi się, że on do końca wymigiwał się, jak mógł, od politycznych deklaracji. Chyba mu tarn z góry grozili, był oficerem. Wiem, że wtedy posyłał chłopaków do domów i zaprzestawał szarpania niemieckich posterunków. Nie lubił o tym za dużo mówić. O tym jednym — nie lubił. Wiem, że pomagali mu chętnie bechowcy i alowcy i zaraz po wojnie to oni wypchnęli ojca na burmistrza naszego miasteczka, chociaż się bronił. Burmistrzował cztery lata, potem przyszedł na to miejsce peperowiec. Ojciec nigdy nie należał do partii, ale miał szacunek u ludzi. I nigdy nie miał nieprzyjemności za swoje partyzanckie czasy. Akowcy go nie lubili i w zbowidzie zawsze od siebie izolowali. Mój ojciec, proszę pana, był w sumie smutną postacią. Chyba rozdartą, nie umiał znaleźć swego miejsca. Niektórzy powiadają, że był dziwakiem, ale ja tak nie uważam. Tak mówili tylko ci, którzy nie mogli mu darować, że w 1944 roku wziął na siebie burmistrzowanie. W czasie wojny był związany z AK, a później zaraz dopomógł nowej władzy. Szkodziło mu to wszystko razem u jednych i drugich. Zgorzkniał, ale dla nas, dla mnie i dla matki, był zawsze dobry.

„Hm? Znów urywa mi się ślad — pomyślał kapitan niechętnie. — Nie mam nadal tego człowieka, który mógłby zabić zegarmistrza z motywów zemsty, zdrady. Bo ja wiem? Nikt nie został, nie ocalał z pogromu. Stwierdzają to zgodnie ludzie, z którymi rozmawiałem. Według ciebie liczba ofiar pomnaża się jeszcze o jedną. Jedną? A co z tym jednym?”

— Czy ten chłopak z folwarku chodził czasem z oddziałem ojca?

— Chyba nie. Ojciec nigdy się nie oskarżał o jego śmierć. To jest — poprawiła się — nie uważał, że odpowiada też za jego zniknięcie.

— Sporo ludzi ginęło w czasie wojny w nie wyjaśnionych dotąd okolicznościach — zauważył kapitan Korda. — A co ojciec myślał o tej zbieżności, o zniknięciu chłopca właśnie w dniu bitwy z jego oddziałkiem?

— Nigdy się nad tym głośno nie zastanawiał. Nie — powiedziała z przekonaniem. — Ten chłopak nie interesował go jak tamci, z których zrobił żołnierzy. Chyba nie znał sam jego imienia ani nazwiska. Chyba dowiedział się o zniknięciu chłopca na pogrzebie. Wawrzonowa rozpacziała. Wspominał o tym. I chyba wtedy pierwszy i jedyny raz widział Wawrzonową. Zapamiętał ten epizod z pogrzebu, bo matka chłopca z folwarku przerwała uroczystość. Upierała się, że jej chłopak musi tam być, między zabitymi. Strasznie krzyczała. Otwierali nawet dla niej trumny. Okropne, ponure i niesamowite. Dlaczego, po co pan się musi w tym grzebać?

„Dlatego, że stamtąd ciągle jeszcze wypełzają cienie i rozchodzi się trupi smród — odpowiedział kapitan tylko do siebie. — Dlatego. Bo nie ma dla żywych innych powodów do rozkopywania grobów. Nikt tego nie robi dla samej przyjemności nękania własnej pamięci. Ona jest i tak dostatecznie uparta”.

— I przed śmiercią ojciec też nic więcej nie powiedział? — zagadnął jeszcze raz.

— Nie. A, tak. Owszem. Powiedział, że spotka się nareszcie z chłopakami i dowie się, jak to było naprawdę.

„Szkoda, że nie będzie mi już mógł udzielić tej informacji — zadrwił sobie w duchu kapitan Korda. — Wielka szkoda. Sam stracę na to mnóstwo czasu. To są najgorsze sprawy, z tamtych lat. Cuchną zawsze na milę. — Uśmiechnął się niedostrzegalnie dla młodej kobiety. — Nie mam niestety do pomocy ducha Hopkirka. Nie wiadomo poza tym, czy duch oficera zgodziłby się na pełnienie takiej funkcji. Przedwojenny! Kapitanie, dość

żartów”.

W komendzie zawołał Gablera.

— Sprawdź, czy w pegeerze został ktoś z rodziny Wawrzona? Jeżeli nie, trzeba szukać kogoś z tej rodziny. Kogoś, kto będzie wiedział, czy syn Wawrzona odnalazł się po wojnie. Czekaj! Wawrzon to jest tylko imię, nie mam nazwiska. Nazwisko tego Wawrzona będzie nam też potrzebne.

— Takie imię starczy — mruknął Gabler. — I Reymont nie wymyśliłby lepszego. Przedpotopowe.

„Rzeczywiście — pomyślał kapitan. — Nie wpadło mi to do głowy. Młodzi mają słuch na współczesność. Żaden rolnik, teraz, nie nada synowi imienia Wawrzon. Chyba, żeby sam był przedpotopowy”.

— A w ogóle? Masz coś nowego z Bródna? — zapytał bez nadziei na jakąś nowinę.

— Nie. I nie będzie. Ten człowiek był zupełnie samotny. Zabójca nie zostawił żadnych śladów. Nikt go nie widział. To była noc Zaduszek. Pomęczeni ludzie siedzieli w domach. Wcześniej poszli spać. Nieźle sobie, wybrał.

— To zastanawiające, że Kropiwnicki nie utrzymywał żadnego kontaktu z Donerami. Próbuje ustalić przez Wiedeń, czy rodzina Dębowskich mieszka tam lub mieszkała?

— Donerowie są w Wiedniu znaną rodziną — zauważył Gabler. — Kropiwnicki sam zrzekł się wszelkich możliwych korzyści, wypływających z posiadania takich krewnych. A przecież w czasie wojny pilnował im majątku.

— Do czasu — zauważył kapitan z zamyśleniem. — Do tej cholernej strzelaniny w parku. Co się tam stało przedtem? Bo przecież to spowodowało, że wyłączył się z życia. Błąkał się po wojnie po całej Polsce. Wreszcie zapadł na jakimś Bródnie i zaczął reperować zegary. Nie chciał już nawet gadać z Donerami.

— Ani przejechać się do Wiednia — roześmiał się Gabler.

— Fakt. Niejeden dla takiej przejażdżki przyznałby się nawet do krewnego, który jest złodziejem kieszonkowym. A ten — nie chciał barona. Dlaczego? Tego już nam nie powie. Tego się nie dowiemy.

— Może dotrzemy do Dębowskiego i ten puści farbę.

Kapitan pokręcił głową.

— Nie. Nie ludź się. Ludzie stamtąd nie puszczaają farby. Nie mają żadnego powodu, żeby to robić, a wszystkie, żeby tego nie robić. Po to, między innymi, porzucili kraj. Nie, bracie, będzie dobrze, jak znajdziesz Dębowskich i tyle nam wystarczy. Chodzi o dziewczynkę. Teraz tylko to dziecko mogłoby nam pomóc, jeżeli coś wiedziała i pamięta. Aha, jakie informacje napływają z Domów Dziecka?

— Na razie nic. Brakuje powojennych kartotek, poginęły papiery w przewodzkach, wędrówkach zakładów wychowawczych.

— Nie zapomnij o przyklasztornych sierocińcach! Słyszysz?

Gabler już w drzwiach machnął ręką. Sam wiedział, gdzie szukać śladów pobytu dziecka. Kapitan się chyba starzał, bo robił się nudny.

Rozdział IX

— Niemożliwe, to ty?! — mówił niski, kobiecy głos. — Jurek Kowalik! „Powiedz, stary, gdzieś ty był?” — zaśmiała się po swojemu.

— Znów się przeziębiłaś? — zapytał.

— Aha! Jeszcze pamiętasz? Tak mnie wtedy zapytałeś. W Bystrzycy. Ale już wierzysz, że nie mam chronicznego kataru, co? Rzadko się przeziębiam. Mam żelazne zdrowie.

— Wiem.

— Kiedy do nas przyjedziesz?

— Do ciebie.

W słuchawce zapanowała na chwilę cisza, ale bardzo krótka.

— Więc dobrze, do mnie.

— Aha.

— Gdzie jesteś? Na dole? To możesz przyjść zaraz?

— Mogę.

Położył słuchawkę, przyjrzał się swojej ręce. Drżała. Ten głos po tylu latach wprawiał w wibrację całe jego ciało. Pokręcił nad

sobą głową, wzruszył ramionami.

Teresa przytyła, ale nie zatraciła swoich delikatnych, zaokrąglonych kształtów. Farbowała włosy, zgubiły przez to kasztanowy połysk. Starzała się, to było widoczne, chociaż heroicznie walczyła z biologią. Dobrze się ubierała, nie próbowała cofnąć czasu młodzieżową modą.

„Teraz widać, że jest starsza ode mnie — pomyślał mężczyzna. — Przecież ona dobiega pięćdziesiątki! Nie do wiary. Moja matka w tym wieku była doszczętnie zniszczona. A ona jest nadal atrakcyjna. Diabelnie kobieca, jak kiedyś, jak zawsze. W jaki sposób to robi?”

Wiedział jednak, że kobiecości nie można w sobie wyrobić ani pielęgnować, jak twarzy lub figury. Kobiecość Teresy była odbiciem jej osobowości, darem płci, promieniującym, nadającym swe impulsy, zniewalającym otoczenie. Siłę tego daru sprawdzał, po tylu latach, jeszcze raz na sobie. Drżenie nie opuszczało jego ciała, chociaż w ciągu sekund, jakie minęły od przywitania, zdał sobie sprawę ze wszystkiego. Z jej wejścia w tę smugę cienia, której przejście — bardzo szybkie — otwiera ostatnią fazę życia kobiety. I — dla niej — już nieważną. Bez męskich spojrzeń, pożądania, ulegania kaprysom, cierpliwego wysłuchiwania potoku nic nie znaczących słów, a raczej znaczących wszystko, bo grę płci.

„Zanim to się jednak stanie — stwierdził spokojnie — zanim ona przejdzie przez swój próg, chciałbym jeszcze zasnąć obok niej. Nie, zasypiać i budzić się”.

— Jurek! — zawołała domyślnie i jej oczy zaświeciły, potrafiły zapalić się dawnym blaskiem. — Ja ci się jeszcze podobam!

I w tym nadal była sobą, w swej bezczelnej, jedynej na świecie otwartości. Nigdy się nie peszyła ani nie błędziła w sprawach miłości.

— Tak. To jasne — odpowiedział prosto. — Mogłabyś wyobrazić sobie, że jest inaczej?

— Po co ty znów wróciłeś, co? — odezwała się pierwsza i zrobiła to bez gniewu, serdecznie. — Słuchaj? — Zastanowiła się w sposób, który widział u niej pierwszy raz. Obserwował ją

dawniej, uważał, że nie miała nigdy skłonności do refleksji. — Dlaczego ty całe życie wędrowałeś? No? Dziś mi na to pytanie odpowiesz.

„Niestety, Teresko, i dziś ci nie odpowiem. A szkoda. Z tobą mógłbym mówić. O wszystkim. Ale jest za późno. O kilka dni za późno. Tylko i aż”.

— Sam zastanowił się, dlaczego dawniej, kiedy indziej nie domagała się od niego żadnych odpowiedzi. Nie stawiała pytań. Nie żądała, żeby opowiadał jej swój życiorys, jak wszystkie kobiety. Może gdyby to zrobiła, kilka spraw potoczyłoby się kiedyś inaczej.

„Nie kłam — powiedział sobie teraz. — Cokolwiek by zrobiła, to by nic nie zmieniło. A ona jest mądra. Instynktownie. Wiedziała, że powinna milczeć. Udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku”.

— Gadaj, Jurek, słyszysz? — rzuciła stanowczo. — Zawsze ci ustępowałam. Wracalesz do mnie, ale nigdy nie zostałeś. Dlaczego? I dzisiaj — znów wracasz. Nie próbuj mi tylko opowiadać, że to wizyta z okazji twego pobytu w Zakopanem!

„Byłaś warta tego wracania. I jesteś. Bez żadnej wątpliwości. Miałem rację, że wracałem.”

— To twój warunek? — spróbował zażartować.

Spojrzała na niego poważnie.

— Tak. Jedyne i ostatnie.

Ogarnęło go oszołomienie. Niemal śnił. Składała mu coś w rodzaju oferty po tylu latach. Chciała rzucić to wszystko — obejrzał się błędnie wokół siebie — żyła w luksusie. W kraju, w którym luksus był wybrykiem. Nie mieścił się w zbiorowej, zaakceptowanej umowie społecznej.

Uśmiechnęła się. Zrozumiała jego niemałą wycenę materialnych wartości swego życia.

— Ja sobie zawsze gwizdałam na takie rzeczy. Mnie się tylko pewnego, najgłupszego dnia w moim życiu wydało, że karierą, pieniędzmi zatkam tę straszliwą pustkę po tobie, zakleję ranę. Rozumiesz? Że jak nie można mieć tego, co się lubi, to będzie się lubić to, co lubią inni. Przede wszystkim.

— Nie wyszło ci?, — pokiwał głową. — Mnie też. Ale ja... ja w

tym nie miałem udziału.

— Co ty pleciesz! — obruszyła się. — Nie miałeś udziału w tym swoim idiotycznym koczowaniu? Co cię gnało? Nie chciałam się nad tym zastanawiać. Nigdy. Przeszliśmy różne rzeczy, wszyscy, i może dlatego właśnie nie chciałam. Ale teraz — powiesz. Teraz — wszystko już minęło. Przeszłość. Jej błędy, głupstwa, nieporozumienia, cały ten bigos ćwierćwiecza. Myślałeś, że nie wiem, nie widzę, jaki jesteś inny? Dziwny.

— Teresa, może i przyszedłem nie do ciebie, a po ciebie. Może nie byłem tego pewny, boję się głupoty w dojrzałym wieku. Ale moglibyśmy zacząć tylko tak, jak skończyliśmy. Mogę ci tylko obiecać, że już nigdy nie odejdę, ale też nie mam ci nic do powiedzenia o tym, co było czy nie było. Są ludzie niespokojni, nie umieją od razu znaleźć swego miejsca — i tyle.

— A teraz chciałbyś z kimś osiąść. Może ze mną? — jej głos stwardniał. Nie znał w nim takiego brzmienia. — Nie. Każda zabawa — porzuciła drwinę — czekaj, nie tak, a po prostu każde życie, musi być w miarę uczciwe. Jeżeli miałabym wziąć na siebie twoje, musiałabym je znać.

— Znasz je — próbował się bronić.

— Swoje życie znasz tylko ty — spojrzała mu wprost w oczy.

„Mój Boże i na tym się zakończy — przestraszył się. — Byłem sam. Musiałem. I będę, chociaż już nie chcę.”

Podeszła do biurka i wzięła z niego ramkę z fotografią. Podala mu ją bez słowa. Patrzył i zasychało mu w gardle.

— Masz syna? — wyjąkał.

— Tak. Ma siedem lat. Myślisz, że jestem za stara na takie dziecko? Możliwe. Ale ja jeszcze mogłabym rodzić. Życia nie mierzy się latami. Kto wie o tym lepiej niż ty. Za co miałabym oddawać go Ksaweremu? Co? Jak myślisz? Za twoje kłamstwa? Za twoje ptasie, jesienno -wiosenne ciągi. Mogliśmy mieć takiego właśnie, dorosłego chłopaka. Nie chciałeś. Dlaczego teraz chciałbyś, żebym oddawała tego, chociaż to dziecko jest tylko w połowie moje, bo nigdy z Ksawerym, jak z tobą, nie byłam ani przez sekundę jednością.

— Teresa — wyszeptał przestraszony.

— Wy nigdy nic nie wiecie o kobietach, z którymi sypiacie, to

prawda. A może lepiej, nie chcecie wiedzieć. Przestraszyłam cię, co? Mała, dobra, ciepła Tereska! Nie mów mi tylko, że nie wiedziałeś, jak... jak jesteś mi potrzebny.

„Nie wiedziałem. Nie wiedziałem! — krzyknął do niej w myślach. — Bo mnie tak potrzebna była tylko jedna dziewczyna, raz w życiu, Baśka”.

— No i co? — powiedziała zaczepnie. — Powiesz uczciwie, coś ty takiego w życiu zrobił, że tak uciekałeś przed sobą?

Pierwszy raz od Zaduszek w jego mózgu zadźwięczał alarm. Nie powinien był tu przychodzić. Teresa była mądrzejsza, niż myślał. Miała go w rękę, chociażby potrafił ją jeszcze raz zmylić, czego w rzeczywistości nie mógł osiągnąć, bo przedtem, dawniej, też nie zdołał tego zrobić. Przyglądała mu się badawczo. Wydało mu się, przez ułamek sekundy, że zawód, cierpienie odbiło się na jej twarzy, ale prawie jednocześnie nabrał pewności, że to złudzenie. Teresa przedzierzgnęła się przez te lata w damę. Ten... ten Ksawery musiał od niej tego wymagać i osiągnął swoje. W przeciwnym razie zrezygnowałby z niej wcześniej czy później.

„Raczej później — pomyślał zjadliwie, wrogo — ale to by się stało”.

— Już dobrze — powiedziała obojętnie. — Napijesz się kawy, herbaty? Czegoś mocniejszego? Chcesz kieliszek mojej nalewki na tarninie?

— Kawy? Proszę — odparł sztywno. Już nie czuł tego intymnego związku z jej ciałem, które się rodzi nagle, umiera samo i najmądrzejszy człowiek nie posiada żadnej władzy nad tą tajemnicą. Ustało drzenie mięśni, nerwów, był zimny i spokojny.

Pili kawę, Teresa opowiadała mu o zajęciach męża, jakby nie padło między nimi ani jedno słowo za dużo.

— Ksawery jest teraz tłumaczem.

— Dla zagranicznych wycieczek? — spytał grzecznie. Zupełnie go nie interesowało, co i komu tłumaczył ten człowiek.

— Nie. Przy oficjalnych, rządowych wizytach. Trasa prawie każdego objazdu osobistości politycznych prowadzi przez

Zakopane.

— Więc jesteś zadowolona?

— Coś w tym rodzaju — rzuciła lekko.

— Chłopak dobrze ci się chowa? — Automatycznie powtórzył zasłyszane gdzieś słowa.

„Aha, Michał — przypomniał sobie — Michał tak mówi o swoim synu”. Przestraszył się niemal, że za parę dni znajdzie się przy biurku, na wprost Michała.

— W Zakopanem! Mój kochany, tu jest powietrze. Dzieci tu kwitną. Nawet ze względu na niego nigdy nie wróciłabym do Warszawy. Nie przenieśliśmy się do Krakowa. Miasta są teraz zanieczyszczone spalinami. Zresztą nie mamy żadnej potrzeby. Zakopane to druga mała Warszawa. Tu wszyscy ważni i tylko przekonani o tym, że są ważni, muszą raz do roku przyjechać. Długo zostajesz?

— Nie. Jutro wyjeżdżam.

Coś ciepłego zamigotało w jej oczach, coś jak przypomnienie starej serdeczności.

— Jurek... tej rozmowy nie było. Słyszysz? Jeżeli myślisz, że ja sobie coś o tobie wyobrażam, to się mylisz.

— Nic nie myślę — stwierdził opanowanym głosem. — Wiem tylko, że z nie wyjaśnionych do końca przyczyn jeszcze raz straciłem swoją szansę.

Pozwoliła mu zostać przy ostatnim słowie.

Na dworze mżyło. Śnieg przeszedł w deszcz, jak w listopadzie. Pakując drobiazgi osobiste do walizki, przyznał sam sobie, że czas skończyć z majakami. Koniec jest zawsze logiczną konsekwencją początku i nie da się tego zmienić. Musiał — tego był absolutnie pewny — rozstrzygnąć to ostatnie: dlaczego Zegarmistrz nie bał się nocnych gości, nie przestraszył się mary przeszłości, nie chciał walczyć o swoje życie. Każdy łajdak i tchórz płaszczy się, skamle, zaklina.

„Jolka, — tak — powiedział sobie zimno, z determinacją. — Pójdiesz w paszczę lwa. Nie dość ci było ostrzeżeń? Dość. Ale żebym miał sam wywinąć orła, tym razem porozmawiam serio z tą dziewczyną. Żeby to nawet miała być moja ostatnia rozmowa. Nie wyczyściłem wtedy pistoletu — przypomniał

sobie — głupstwo. Wyczyszczyć”.

Zaciągnął z większą — niż była potrzeba — siłą paski na walizce. Nic go już nie łączyło ze światem dobrych ludzi. Stracił resztę złudzeń, że można przez 28 lat tropić człowieka, aby go zabić, w zwykłym normalnym czasie, nawet jeżeli gdzieś daleko, w innym czasie, zostały jakieś racje — i czuć się dobrze w ludzkim stadzie.

„Otwarcie oczu to zabieg bolesny, ale trzeba go kiedyś na sobie przeprowadzić. Nie wymigasz się. I... mam to wszystko gdzieś.”

Rozdział X

Kapitan Korda przeglądał materiały, które nadeszły z zagranicy. Z informacji wynikało, że Dębowski przebywał w Austrii w latach 1945—47. Źródła wiedeńskie utrzymywały, że baron Doner rozstał się z tym światem na raka w 1962 roku. Jego żona, Zofia, chętnie udzieliła informacji polskim organom śledczym. Niestety, nawet nie słyszała o dziewczynce imieniem Jola, którą Dębowski — jakoby — przez pewien czas wychowywali. Wspomniała przy okazji o swoim krewnym, Kropiwnickim, który pod koniec wojny według relacji Dybowskiego został zaaresztowany przez gestapo, ale być może zdołał się ocalić. Gestapo zażądało w swoim czasie od jej męża opinii o Kropiwnickim. Wówczas nie wiedzieli jeszcze dlaczego. Doner na wszelki wypadek wydał znakomitą rekomendację krewnemu żony. Późniejszy list Dębowskiego wyświetlił im sytuację majątku w Polsce. Do niej, do Wiednia, kuzyn po wojnie już się nie odezwał. Z tego wysnuła wniosek, że protekcja męża niewiele mu pomogła. Gdyby jednak gdziekolwiek żył — jej zdaniem — wiedziałaby coś może o dziewczynce, którą chował dawny administrator majątku męża.

Pani Zofia Donerowa była pełna dobrej woli, to nie ulegało dla kapitana Kordy wątpliwości. Wierzyła, że ludzie jeszcze nadal mogą się wzajemnie odnaleźć, w czym miała obiektywną

rację, bo takie wypadki zdarzały się co pewien czas, chociaż coraz rzadziej.

Zofia Donerowa, mówiła prawdę i tyle, ile wiedziała. Było na przykład oczywiste, że nie miała pojęcia o prawdziwym opiece nad dzieckiem. Dębowski okazał się dość powściągliwy w swoich relacjach z krajanami. Powiedzieli tyle, ile musieli. Nie można było ukryć aresztowania Kropiwnickiego, ale można było nie ujawniać, że chował dziecko, którego sami Dębowski pozbyli się gdzieś przed wyjazdem.

„Zawsze i wszędzie wchodzi w grę pieniądze — myślał kapitan Korda odkładając papiery. — Dębowski najwyraźniej nie chciał, żeby pani Donerowa wpadła na pomysł zajęcia się małą. Taki odruch jest prawdopodobny u każdego człowieka. Dębowski sami mieli syna. Liczyli, być może, na hojność, wdzięczność swej dawnej chlebodawczyni. Tak, to byłby jeden aspekt sprawy. Drugi jest znacznie ważniejszy. Administratorowi pod koniec wojny szło szczególnie na rękę zniknięcie Kropiwnickiego. Mógł ograbić majątek do reszty, a zwłaszcza wywieźć bez obawy jakiegokolwiek kontroli to, co nagromadził. Administrator wchodzi w grę w sprawie zegarmistrza. Musiał wiedzieć o jego kontaktach z lasem. Mały donosik rozwiązywał takie sprawy wręcz idealnie. A że przy tym zginęło siedemnastu... osiemnastu chłopców, plus dwóch Niemców, to razem dwudziestu, tak daleko wyobraźnia donosicieli przeważnie nie sięga. Wiem to, niestety, z doświadczenia.

Nauczycielka wspomniała, że administrator szukał małej zaraz po bitwie we dworze. Ruszyło go w tym wypadku sumienie? — zastanowił się kapitan. — Możliwe. Nikt nie chce mieć na swoim koncie zabójstwa dziecka. Nawet zawodowy złoczyńca. Od razu znalazł małą w kredensie. No, znał jej zwyczaje. Pracował z Kropiwnickim. Widywał małą codziennie, od jej przybycia do dworu. Pewnie biegał po domu, nigdzie nie było zwłok dziecka, przypomniał mu się kredens. Dobrze. Z tym można skończyć. Jedźmy dalej.

Wiedział czy nie wiedział, że gestapo zwolniło Kropiwnickiego? Weźmy wariant — wiedział. Mógł się obawiać

powrotu krewnej Donerowej. Należało to ukryć przed rodziną z Wiednia. W takim wypadku lepiej było nie zabierać ze sobą dziecka do Wiednia, bo może by przybrany dziadek tam za nim pojechał.

Wariant — nie. wiedział — oświetla jeszcze inaczej sylwetkę Dębowskiego. Po prostu nie warto było wlec dziecka za sobą. Brać sobie kłopot na głowę. Wydawać pieniądze na wychowanie. Karmić”.

Z informacji Zofii Donerowej wynikało jeszcze, że Dębowski w 47 roku wyjechali z Wiednia do Ameryki Południowej.

„Liczył na większe szanse dorobienia się w Ameryce Łacińskiej niż w zniszczonej wojną Europie — spekulował dalej kapitan. — To zrozumiałe. Miał z czym zaczynać. Być może kapitał, jakim rozporządzał, nie wystarczał na zrujnowaną Europę. W Ameryce gwarantował niezły start. Z takim rozumowaniem Debowskiego, hipotetycznie, na razie, można się rozprawić. Z tego wszystkiego jednak wynikałoby, że dziecko wychowało się w kraju.

Gdzie? Nie oddałby dziewczynki swoim krewnym, nawet gdyby ich miał. Zacierał po niej ślady z osobistych względów. Musiał ją powierzyć państwowemu albo charytatywnemu zakładowi. Trudno będzie ją odnaleźć, jeżeli uczynił to anonimowo. W wypadku stowarzyszeń kościelnych, jeżeli zrobił to z zastrzeżeniem tajemnicy. Trudno się będzie dowiedzieć, co naopowiadał o dziecku. A jeżeli podał inne okoliczności i miejsce odnalezienia małej? — zdenerwował się kapitan. — Pod jakim imieniem ją zapisał? Tutaj matactwo byłoby trudniejsze, miała ósmy rok. Nie dałaby już odebrać sobie imienia. Chociaż, kto wie? Przeszła za dużo. Z rąk do rąk na przestrzeni dwóch lat. Aresztowanie matki, więzienie, transport, wyrzucenie z pociągu, samotność w nocy, w obcym terenie, bitwa we dworze. Kredens, w którym się ukryła, był postrzelany. Jak reagowało siedmioletnie dziecko w dusznym zamknięciu, wśród trzasku pękającej, zasypującej ją porcelany, łatwo sobie wyobrazić. Była później chora. Na koniec Dom Dziecka. Samotność, anonimowość. Zniknięcie matki,

zniknięcie drugiego ważnego w jej biografii człowieka — przybranego dziadka, odejście wreszcie Dębowskiego. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy trafili do jakiegokolwiek zakładu psychiatrycznego.

Do dziś trudno pojąć, ile ludzie, nie, małe dzieci wytrzymały. Trudno zrozumieć, że te same dzieci w dziesięć lat później stawały do najcięższej pracy w historii tego kraju. Zbudowania go od nowa. Z niczego. Bez majątków, złota, pieniędzy, poparcia możnych. Tylko z rękami i głowami. Na dobrą sprawę ich wytrzymałość nerwowa, psychiczna nie powinna unieść takiego ciężaru po tym wszystkim, co się z nimi działo. Uniosła. To dopiero jest albo był prawdziwy cud. Nie trzeba cudów szukać w niebie”.

W sąsiednim pokoju zrobił się ruch, między biurkami przelatywało tornado. Tak wchodził tylko Gabler, gdy miał coś ważnego w ręku, gdy złapał jakąś informację, która mogła zadecydować o powodzeniu śledztwa.

Kapitan nie pomylił się, drzwi do jego pokoju nie zostały po ludzku otwarte, wyskoczyły niemal z zawiasów.

— Stary, słuchaj, chyba mamy tę małą!

— Gdzie mieszka? — spytał kapitan obojętnie. To był jego system wychowawczy. Wiedział, że' niesłychanie irytuje tym Gablera, ale natychmiast i bezbłędnie osadzał, w ten sposób przedwczesną euforię chłopców.

— Zaraz mieszka! — oburzył się, też jak zawsze, porucznik.

— No więc?

— Nie oddał jej nam, kapujesz. I tak sobie myślałem. Od początku. Taki facet, co nawiewał w 45 roku z kraju, nie lubił komunistów. Po co miałby nam przysparzać jeszcze jedną obywatelkę.

„Hm? Tak — pomyślał kapitan. — Rozumowanie trafne. Mógł przypuszczać, w jaki sposób dziewczynka zostanie wychowana. Istotnie”.

— Rozumiesz — gorączkował się Gabler — dlatego wcale nie szedłem kluczem Domów Dziecka.

— A ja ci przecież kazałem... — zirytował się poważnie Korda.

— A ja ci przyniosłem! — postawił mu się Gabler.

— Najpierw pokaż co — zreflektował się kapitan.

— Oddał ją do Klasztoru Niepokalanek. Patrz — Gabler podsunął kapitanowi odpis dokumentu przyjęcia dziecka imieniem Jola, nieznanego nazwiska. Lat — prawdopodobnie — osiem. Nie ustalonego miejsca zamieszkania i urodzenia. — Nigdzie nie napisane, że była sierotą —mówił porucznik. — Jasne, Dębowski nie mógł tego stwierdzić. Czytaj dalej. Dziewczynka została przyjęta przez klasztor 15 października 1945 roku. Podpis! No? Krzysztof Dębowski.

Gabler opadł na krzesło.

— Rzeczywiście, to już jest coś — przyznał kapitan.

— Klasztor został w latach pięćdziesiątych rozwiązany. To jest odpis z archiwum kurii biskupiej. Tam siostry założyły własną dokumentację. Jedna z zakonnicek, lekarka, specjalność ftyzjatra, przeszła do lecznictwa otwartego. Pracowała w przychodni rejonowej jako rentgenolog. Zachowała tylko prawo do noszenia sukni zakonnej. Ona umieściła małą na stacji w Lublinie, u swoich krewnych. Dziewczyna mieszkała tam do matury. Była wyjątkowo zdolna i dlatego zakonnica nie chciała jej stracić z oczu. Ta zakonnica pomagała też małej do skończenia szkoły średniej. A dalej — Jola — poradziła sobie sama. Pewnego dnia, po maturze, spakowała swoje manatki i opuściła stację. Nie uprzedzając opiekunów i nie zostawiając żadnej wiadomości, dokąd idzie. Dobre, co?

— Hm? Raczej dziwne. Niewdzięczność u tych dzieci, wojennych, to rzadkość — stwierdził cierpko kapitan.

— Czekaj, czekaj, ona się pożegnała. Po swojemu i tylko z zakonnica. W dniu ucieczki przysłała po prostu do poradni. Ale nic nie powiedziała siostrze Marii, że wyjeżdża. Podziękowała jej za dach nad głową, ubranie, książki, za to, że nigdy nie była głodna. Zakonnica zdziwiła się nawet tą wylewnością. Dziecko było małomówne, zamknięte w sobie, te cechy charakteru zostały dziewczynie. Uznała jednak, że na każdego przychodzi taki moment, musi się otworzyć. Wygadać. Nieważne, w jakiej chwili to się staje i gdzie. Okoliczności usprawiedliwiały zresztą nagłą serdeczność dziewczyny. Akurat zdała maturę, a w takim momencie człowiek zaczyna nowe życie. Mała jednak nie

zjawiała się więcej u zakonnicy. Ze stacji dali znać, że zabrała wszystkie swoje rzeczy. Lekarka zrozumiała, że tamta niespodziewana rozmowa była po prostu pożegnaniem.

— Nie zdziwiło tej... siostry Marii... odejście dziecka? — zniecierpliwził się kapitan. — Przecież w tym się coś kryje. Wyobrażasz sobie, żeby młody człowiek jako tako bezpieczny dzięki przyzwoitym ludziom, mając za sobą na dodatek podobne przejścia, co ta dziewczyna, ni stąd, ni zowąd wyrzeka się bezpieczeństwa? Pomocy? Możliwości dalszego kształcenia tylko dla much w nosie? Może miała jakiegoś chłopaka? Wyprowadził ją z domu? Nie mogę znaleźć żadnej innej logicznej przyczyny tego postępu.

— Nie, według zakonnicy dziewczyna stroniła od przygód. Miała szalone ambicje, jak na dziecko tak doświadczone przez los. Chciała się dalej kształcić. Była zacięta i uparta w osiągnięciu swoich celów. Wszyscy to zgodnie potwierdzają. Jej opiekunowie, zakonnica, koledzy i koleżanki ze szkoły.

— Nie rozumiem wobec tego reakcji zakonnicy — zirytował się kapitan. — Nie szukała dziecka? Sporo przecież w nią włożyła. Emocjonalnie — myślę — również.

Gabler przyjrzał się szefowi w taki sposób, jakby znana wszystkim podwładnym inteligencja kapitana nagle zawiodła.

— Nie rozumiesz, że one mają inny sposób patrzenia na świat — zauważył możliwie oględnie inaczej oceniają ludzkie postępy, ich motywacje niż ty i ja. Im nie wolno przywiązywać się do jednego człowieka, mieć ojców, dzieci, matki, braci i krewnych w naszym rozumieniu tego słowa.

— Nie trzeszcz mi nad głową — skrzywił się Korda. Myślał intensywnie.

„Coś musiało być, coś się musiało stać, co spowodowało jej odejście. W Lublinie jest dobry uniwersytet, nie musiała nigdzie szukać lepszej uczelni, jeżeli miała zamiar studiować. Psiakrew, niczego nie rozumiem”. Zirytował się na dobre.

— Ludzie bez przeszłości, którzy nie wiedzą, kim są, skąd się wzięli, reagują też inaczej na wiele spraw niż ty i ja — odezwał się obrażony już Gabler. Przyniósł szefowi nareszcie nowy, coś obiecujący ślad, a ten się tylko wyzłośliwia. — Takie dzieci mają

zachwianą czy zmaconą równowagę uczuciową — wybuchnął wreszcie porucznik. — Czego tu jeszcze szukać? Ile czasu i sił traciliśmy tysiące razy na szukaniu uciekinierów z Domów Dziecka. Zachowujesz się tak, jakbyś sam dziesiątki razy nie zadawał tym dzieciom pytania, dlaczego ciągle wieją, wędrują, błakają się, chociaż mają ciepłe łóżko i piec.

— Ojej, nie ucz mnie — wrzasnął kapitan. — Nie gadaj mi banałów psychologicznych. Nie przypominaj mi, co robiłem winnych wypadkach, dobrze? Każdy jest zresztą odrębny. I ten także ma swoje własne uwarunkowania, których właśnie nie znam. Zrób mi tę przyjemność i siedź przez chwilę cicho.

Porucznik odwrócił się tyłem do kapitana Kordy, żeby zaznaczyć swój brak zainteresowania dla jego wysiłków i własną urazę.

„Przestraszyła się czymś? Spotkała kogoś? — myślał kapitan. — Kogo? Ktoś ją przestraszył? Kto? O co chodzi?”

— Był tam ktoś u tych ludzi na stacji? — zapytał wreszcie, jakby go bolały zęby.

— A jak ty sobie wyobrażasz? — zgniewał się szczerze porucznik. — Komisariat w Lublinie sprawdzał dane. Rozmawiali z zakonnicą i z dawnymi uczniami z gimnazjum, do którego chodziła dziewczyna. Uważasz, że masz do czynienia z nowicjuszami? Utknęli po prostu na meldunku, ale to też tylko kwestia czasu. Człowiek nie szpilka. W biurze ewidencji nie ma zapisu, dokąd się dziewczyna udała. Za parę dni ustalą i przyniosą ci w zębach historyjkę jej podróży. Za parę dni będziesz ją miał.

„Nie jestem tego taki pewny” — myślał kapitan ze wzrastającym rozdrażnieniem.

— Jeżeli tak wszystko już wiesz — odezwał się zaczepnie — to może mi powiesz, czy tego dnia albo krótko przedtem, zanim dziewczyna zniknęła z Lublina, odwiedzał ją ktoś obcy? Ktoś, czyjego adresu i nazwiska wcale nie masz i nieprędko będziesz miał? — mówił to i bacznie przyglądał się porucznikowi.

Rozczarowanie odbiło się w wyglądzie całej, tryskającej wprost zdrowiem, zadowoleniem z życia i dobrze wykonanego zadania, osobie Gablera.

— Tego nie wiem — przyznał prawie pokornie.

— To jedź sam do Lublina i dowiedz się! — huknął kapitan tak, że nożyk do rozcinania papieru podskoczył na biurku. — I to prędko. Bo możesz już nigdy nie mieć okazji do rozmowy z tym nieszczęsnym dzieckiem, a zaraz potem ze mną!

Gabler pomyślał jednak jeszcze zupełnie przytomnie, że to „dziecko” ma akurat trzydzieści cztery lata.

Rozdział XI

Wysunął dużą szufladę sekretarzyka i postawił ją na podłodze, tuż przy nogach, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Nie miał już czasu umieścić szuflady na miejscu. Sekretarzyk był wypaczony ze starości, listwy szuflady zahaczały o zadziory łuszczącego się forniru wewnątrz mebla. Zwykle miał kłopot z zasunięciem szuflady i ciągle obiecywał sobie, że odda sekretarzyk do naprawy.

„Psiakrew, tego nie przewidziałem. Licho wie dlaczego. Co jej powiedzieć?”

Irena miała drugie klucze od jego mieszkania. Lubiała zaglądać tu pod jego nieobecność, zrobić porządek. Uważała, że zamknięte mieszkania brudzą się bardziej niż zamieszkałe. Nie interesował się jawną sprzecznością tego przekonania. Jak zawsze oddał jej klucze, automatycznie, a może dlatego, że nie chciał bez powodu zmieniać utartego między nimi zwyczaju.

Zanim zdążył jednak pomyśleć, że tym razem postąpił głupio, bo od pewnego czasu niczego nie wolno mu robić jak dawniej, stała w progu.

— Jerzy?! — zdumienie odbiło się na jej twarzy. — Boże, jak ja się przestraszyłam. Masz pomysły. Otwieram drzwi i słyszę, że coś chrobocze w pustym mieszkaniu. Czekaj, muszę usiąść.

Podsunał jej prędko krzesło. Zrobił minę małego chłopca, który dopiero co wybił szybę sąsiadom.

— Ale... co ty tu robisz? Miałeś siedzieć w Jaszowcu. Na trzeci dzień jesteś z powrotem? Oszalałeś?!

— Słyszysz, jak duje? Znudzilo mi się. Zobacz, co się dzieje

na dworze. Tam można się było urwać.

Spoglądała na niego z napiętą uwagą, chociaż ukrywała to starannie.

— Demolujesz mieszkanie? — spytała. Powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem.

— Ach, to — dawała mu sama dobrą okazję do zasunięcia szuflady. Podniósł ją niespiesznie, przymierzył do otworu. W ten sposób zasłonił otwarte wnętrze mebla. Przez kilka sekund obawiał się, że Irena odkryje szufladkę. Siedziała ńa wprost sekretarzyka, światło z okien penetrowało jego wnętrze. — Wypaczyła mi się na dobre ta szuflada — mówił mocując się z nierównościami starego drzewa. Irena stanęła obok niego, czuł jej ramię przy własnym.

— Nie siłuj się, siłą nic nie zrobisz — zwróciła mu uwagę z niezadowolaniem. — Patrz, do reszty zedrzesz fornir wokół szuflady. To jest spróchniały fornir, łatwo się kruszy. Stolarz nie dobierze już takiego koloru. Teraz trudno o dobry materiał.

Ramiona drżały mu od wysiłku i z obawy przed bystrością Ireny.

„Na koniec przyszło na mnie i to. Będę się bał. Do końca życia będę się czegoś bał, chociaż nie ma żadnego powodu do strachu”.

Szuflada przestała nareszcie stawiać opór, z trzaskiem, gładko wśliznęła się na miejsce. Irena pochyliła się, badając nowe uszkodzenia forniru.

— Ee, można to było zrobić delikatniej. Mam stolarza — oświadczyła z zadowoleniem — jutro odwiozę sekretarzyk do niego.

Nie mógł zaprotestować. Stolarz znajdzie szufladkę. Nie miał na to najmniejszej ochoty, w ten sposób kończyła mu się skrytka na broń.

„Będę musiał poszukać innej — pomyślał tylko. — Po prostu poszukam”.

Zastanawiał się od dłuższej chwili, jak odesłać Irenę z powrotem do domu. Trzeba jej zaraz przeszkodzić, w przeciwnym razie zabierze się do parzenia kawy, szykowania kolacji albo czegoś podobnego. Jakby odgadła połowę jego

myśli.

— No cóż, skoro znów jesteś, idę po zakupy. Nie ma niczego w lodówce. Dlaczego do mnie nie zatelefonowałaś?

— Właśnie miałem zamiar to zrobić. Uprzedziłaś mnie — przecinał możliwość dalszego utyskiwania, wyliczania mu godzin, dzielenia ich na kwadranse. Potrafiła być drobiazgową.

— Chciałem ci powiedzieć, że umówiłem się na kolację z Michałem. Czasem człowiek musi spotkać się z kolegami — głądził w taki sposób, jakby Michał ciągnął go na tę kolację na postrońku. — Nie mogłem się wymówić. Rzadko spotykam się z ludźmi. W biurze mają o to do mnie pretensję. Wiesz... nic się nie mówi, ale się myśli. Ja nigdy nie mam czasu.

— Byłeś dziś w biurze? — zdziwiła się szczerze.

— Wpadłem. Na dwie godziny. Michał ma do mnie jakąś sprawę. Nie nalegał, ale zauważyłem, że bardzo mu zależy na tej rozmowie.

— Jurek, nie mieszaj się tylko w jakieś rozgrywki biurowe — ostrzegła — teraz każdy może się wykończyć na personalnych wygrzyzkach. Największy.

— Wiem.

— A dlaczego mu tak spieszo? Nie domyśliłeś się, czego chce od ciebie?

— Nie. Nie mam pojęcia.

Była zaniepokojona, zrobiło mu się nieprzyjemnie, że musi ją oszukiwać.

— Wyjdę po zakupy — rzuciła z rezygnacją.

— Po co? Posiedź jeszcze. Muszę i tak iść na miasto. Kupię sobie coś po drodze. Pójdziemy razem.

Widział, że jak zawsze miała chęć z nim posiedzieć. Lubili sobie pogadać i od tego zaczęła się ich przyjaźń. Mogli rozmawiać godzinami i to był jeden z elementów, który później utrwalił ich związek. Pierwszy raz kręcił, szukał wybiegów, chciał ją świadomie oszukać, żeby odzyskać klucze, i jednocześnie ogarniała go niechęć do siebie. Irena była najuczciwszym człowiekiem pod słońcem, nie znała się na kręctwach i nikogo nigdy o nic nie posądziała. Podejrzliwość nie leżała w jej charakterze.

— Poczekaj, przebiore się — powiedział, żeby nie tkwić przy niej beczynn timer i nie brnąć w łgarstwa, które narastają w takich okolicznościach jak lawina.

„Jeżeli ciągnąć tę mistyfikację, to do końca i skutecznie — myślał, zdejmując koszulę. — Idę na kolację do knajpy. Zawsze w takich razach stawiam się pod krawatem”.

Wkładał marynarkę, mocując się z rękawami, była mocno dopasowana, ale tylko w takich garniturach dobrze wyglądał. Szybko przerzucił drobiazgi z wiatrówki do wewnętrznych kieszeni ubrania. Irena uśmiechnęła się na jego widok. Lubiła, gdy dobrze wyglądał. Celowo wybrał garnitur, w którym było mu do twarzy. Rozmyślnie wykorzystywał wszystkie atuty, które ją zazwyczaj rozbrajały, dobrze do niego usposabiały.

— To jest wyjątkowo udany garnitur — zauważyła. — A nie chciałeś tego materiału. Ile się nagadałam.

— Teraz nie warto szyć garniturów. Jest dużo dobrych ubrań po sklepach, a ja mam typową figurę i mało pieniędzy.

Klucze leżały na stole, drugie spoczywały w jego kieszeni. Trzeba było coś zrobić, żeby o nich zapomniała. Wyskoczył do przedpokoju, przyniósł i podał jej palto.

— Jesteś dzisiaj miły — zauważyła, odwracając się tyłem do stołu.

Wziął ją pod rękę, starym, przyjacielskim gestem przycisnął jej ramię, kierując się w stronę wyjścia.

— Dlaczego miły? Po prostu nie widzieliśmy się parę dni. Nigdy nie zapominam o tobie. — Drzwi za ich plecami zatrzaśnięły się delikatnie, pociągnął Irenę w kierunku schodów.

— Zamknij zasuwę — przypomniała. — Och, zostawiłam klucze. Stolarz! Ale już nie warto wracać. Jutro wezmę.

Zgodził się z nią chętnie.

— Gdzie idziesz? Do Ratuszowej? — zapytała z roztargnieniem, zajęta projektem naprawy komódki.

Sama podsunęła mu nazwę restauracji. Nigdy nie sprawdzała, gdzie chodził, mógł jej powiedzieć, co chciał. Od tej strony był zupełnie bezpieczny. Zatrzymała się na skrzyżowaniu, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Ja tu skręcę. Zajdę do stolarza. Przy okazji. O której

przyjść jutro do ciebie?

— Może zatelefonuję, co? — zawahał się.

„Jak mi to wszystko dobrze idzie — myślał — podziwiać. Minałem się z powołaniem. Powinienem zaangażować się do teatru albo do cyrku. Po linie spaceruje się w cyrku”

Doszedł do Ratuszowej, minął restaurację, złapał na postoju taksówkę. Miał niewiele czasu, pociąg do Olsztyna odchodził za czterdzieści pięć minut. Wyrwał szufladkę, wyciągnął pistolet. Wprowadził nabój do lufy i zrobił to z nawyku, bez żadnego zamysłu. Nie miał już głowy do mocowania się z szufladą. Nie porządkował pokoju. Musiał jeszcze kupić bilet. Przy kasie mógł zastać kolejkę. Tłumy na stacjach albo zupełnie spokojne, puste dworce to, jak znał z doświadczenia, zazwyczaj nieobliczalne przypadki.

Kręcił się po peronie i zastanawiał się, co Irena zrobi jutro, ponieważ nie będzie miał żadnego sposobu, żeby do niej zatelefonować.

„Dlaczego ja się tak śpieszę? — pomyślał rozsądniej. Za parę tygodni mógłbym i ten wyjazd upozorować. Irena może narobić alarmu. Nie. Jest ambitna. Ambicja nigdy nie pozwalała jej szukać mnie w biurze ani po znajomych, nawet gdy raz czy dwa gdzieś zabałagałem. Irena nie lubi się nikomu narzucać. Nawet człowiekowi, z którym żyje. Ale lepiej, żeby się nie martwiła, co się ze mną znów dzieje. Jeszcze mogę coś zrobić. Mogę do niej stąd zatelefonować. Pewnie już jest w domu. I co jej powiem? Wszystko jedno, cokolwiek”.

Biegiem, przez tunel, wrócił na halę dworcową. Nakręcał numer nie mając dalej pojęcia, co powie Ironie. Usłyszał jej opanowany, spokojny głos.

— To ja — powiedział, patrząc na posuwającą się skokami wskazówkę dworcowego zegara.

— Dobrze się bawicie — zauważyła z humorem. — Ojej, co tam za hałas? Co się dzisiaj dzieje w tej Ratuszowej?

— Nie wiem. Dużo ludzi — nie mógł połapać myśli, cała jego uwaga była skupiona na dworcowym zegarze. — Irenko... nie będę mógł jutro zadzwonić.

— Dlaczego? — jej głos zabrzmiał urazą i zdziwieniem.

— Wpadła mi tu taka jedna sprawa. — Wskazówka zegara znów skoczyła o minutę naprzód.

— Jurek, ja nie wiem, ale z nami jest coś nie tak. Mam niedobre przeczucia.

„O Boże, mów prędzej — ponaglił ją w myślach. — Nie zaczynaj mnie przestrzegać”.

— Słyszysz? Jaki hałas — zniecierpliwiała się, ogarniała ją irytacja. — Czego chce od ciebie ten Michał?!

— Nie mogę ci tego teraz tłumaczyć. Z knajpy. Pojutrze. Dobrze?

— Ale ja zostawiłam u ciebie klucze. Nie mam kluczy. Umówiłam już stolarza.

— Odwołaj go na razie.

„Nie pojedę. Irena weszła na stolarza. O sprawach domowych może mówić godzinę”.

— Dobrze! — rzuciła z szaloną złością. — Odwołam. Nie będę się w ogóle zajmować twoimi meblami, twoim domem, twoimi ubraniami. Zachowujesz się od pewnego czasu, jakbyś zwariował.

„Tak. Masz rację” — stwierdził w duchu zupełnie spokojnie.

— ...jeżeli masz mnie dość, to powiedz! — krzyczała Irena.

— Ale chyba nie teraz! — krzyknął także i zdał sobie sprawę, że nerwy go zawodzą. Nastawia Irenę przeciwko sobie, chociaż nie jest mu to do niczego potrzebne. A nawet przeciwnie, potrzebuje właśnie jej równowagi i spokoju. — Przepraszam, ale przecież nie o to mi chodziło — powiedział prędko, z prośbą w głosie. — Raz mi coś nie wyszło, mam swoje kłopoty, a ty bierzesz to do siebie. Zlituj się. — Pociąg odchodził równo za trzy minuty. Ogarniała go rezygnacja.

— Już dobrze — odezwała się matowym, przygnębionym głosem — zadzwoń, jak będziesz wolny, chociaż zawsze dotąd miałeś dla mnie czas. Będę czekała. Słyszysz? Jurek? — zaniepokoiła się.

— Jestem, tak. Ten hałas. Na razie.

Rzucił słuchawkę, wypadł z nieszczelnej, otwartej kabiny i pognał w kierunku peronu. Zawiadowca podnosił lizak, dostrzegł biegnącego i na sekundę wstrzymał ruch ręki.

Wystarczyło. Zamykając drzwi wagonu, wychylił głowę i krzyknął zawiadowcy „dziękuję”. Kolejarz uśmiechnął się i kiwnął głową.

Poszedł do przedziału i klapnął na kanapkę.

„Irena ma rację, zwariowałem. A jeżeli jeszcze nie, jestem na dobrej drodze do bzika. Czy ja wzięłem adres tej dziewczyny? — zajrzał do portfela. — Jest. Jeżeli znów się gdzieś nie wyniosła. Dlaczego ona tak wędruje! A ja? Ja! Miałem powody. A ona? Może też ma. Jakie? Właśnie. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Człowiekowi wiele rzeczy przychodzi do głowy później. Nie wiadomo, na jakiej zasadzie, ale tak jest. Przeważnie najpierw działam, później myślę. Ile ona będzie miała teraz lat? — zastanowił się, zaczął obliczać. — Po trzydziestce. To już nie dziewczyna, to kobieta”.

Pierwszy raz zobaczył to znalezione dziecko w wielkiej kuchni domu Donerów. Stała na stołeczku, żeby dosięgnąć wzrokiem ponad płytę kuchennego pieca. Jakiś mężczyzna usiłował podpalić ogień w tym molochu, który karmił kiedyś armię ludzi, a był zupełnie nieprzydatny dla starszego człowieka z dzieckiem. Takie kuchnie pożerały hektary lasów, a Zegarmistrz miał wówczas na podorędziu wiązkę nędznych szczap i brykietowy, kontyngentowy przydział. Taki piec wymagał drzewnych bali albo wielkich brył kamiennego węgla.

— Nie idzie, wnuczko — odezwał się mężczyzna.

— Ee, dziadek, źle to robisz. Jadźka go zaraz podpala.

— On nie chce jeść brykietów.

— Chce, chce, tylko Jadźka leje naftę.

— Naftę? Powiadasz? Aa, niegodziwa, ja jej zakazałem. Podpali dwór Donerom i co my później powiemy?

— Dziadek! Nalej nafty. Ja wiem, gdzie Jadźka chowa naftę. Pokazać ci?

— Hm? Nafty, mówisz. No... dobrze. Pokaż.

Mała zeskoczyła ze stołeczka i uczepliła się usmolonej ręki Zegarmistrza.

Stali już wtedy w progu, miał trzech chłopców za plecami, ścisnął automat w garści. Widział, jak oczy dziecka rozszerzają się nienaturalnie, wlepione tylko w otwór lufy. Tak. Opuścił

automat. Zrobiło mu się dziwnie, niewyraźnie i głupio. Czekał, kiedy mała narobi krzyku. Nie pisnęła, ścisnęła tylko mocniej usmoloną rękę mężczyzny i tak nią pokierowała, że stary człowiek też dostrzegł leśnych na progu wielkiej izby. Pamiętał, że znów wolniutko, aby nie przestraszyć dziewczynki, podniósł automat na wysokość piersi Zegarmistrza.

— Niech pan się nie boi — powiedział wówczas opiekun dziecka — tu nikogo nie ma. Ja i mała. A ona — pogłaskała dziewczynkę po buzi, zostawiając czarne smugi na jej policzku — ma dopiero pięć latek.

— Jesteśmy głodni — odezwał się wtedy.

— My też — zauważył spokojnie mężczyzna — ale nie umiemy rozpaść tego pieca. Jadźka nam się rozchorowała. Zamknęliście dobrze drzwi? — zapytał od niechcenia.

— Tak. Na sztabę. Dlaczego pan się sam nie zamknął? Ciemno już.

— Czekałem jeszcze na Jadźkę. Zwykle zamykam o dziewiątej. Może panowie coś zrobią z tym piecem? Weszli zbrojnie, ze szczękiem żelaza, brodaci, mokrzy, zanosząc deski kuchni gliną.

„Też była jesień — przypomniał sobie. — Tak. Zwykle ku jesieni ciągnęliśmy do ludzi. Deszcze były gorsze niż mróz. Te mokre szmaty na ciele”.

— Jola? Gdzie jest nafta? — Mała puściła rękę mężczyzny i pofrunęła za skrzynię z brykietami. Ciężką, długą skrzynię, jakie zwykle w tych czasach ustawiało się w kuchniach. Z triumfem podała dziadkowi butelkę z naftą, patrzyła, jaki efekt wywrze na nim jej spryt. Uśmiechną się ukradkiem.

— Panowie się pewnie lepiej umieją z tym obchodzić niż ja — postawił butelkę obok pieca. — Proszę.. A ja położę dziecko. Dziecko jest zmęczone. — Nachylił się i wziął małą na rękę.

— A ja... ja jestem głodna — protestowała mała. — Jestem głodna!

— Cicho — mówił odchodzący w głąb mieszkania pie-szczotliwy głos — dziadek da chlebka z masłem, do łóżka, a herbatkę rano? Zgoda? No? Zgoda?

— Grubo masła — dopominała się mała. — Bardzo grubo,

tak? Bo inaczej nie pójde spać. Wcale nie pójde.

„Zegarmistrz sam naszykował jej później ten chleb z masłem – wywoływał stare obrazy, które chętnie pojawiały się przed nim w takt stukania kół olsztyńskiego ekspresu. – Kładąc masło na kromki mówił, że dziecko musi nadrobić stracone kalorie. Ciagle nie może się najeść. Nie chciał, żeby z nami zostawała w kuchni. Bał się, że może komuś wypaplać o naszych nocnych, pierwszych w tym dworze odwiedzinach. I to był szczęśliwy wybór. Odkryliśmy wtedy wyjątkowo dobrą metę. Służyła nam dwa lata. Aż do... – odpędził tamto wspomnienie, żeby nie krzyknąć. Wolał myśleć o terażniejszości. – Znalazłem tę dziewczynkę po wojnie, w Lublinie. Rany boskie, co ja się naszukałem tego dziecka. Byłem pewny, że zaprowadzi mnie do Zegarmistrza i nie mogłem trafić na jej ślad. Ile miała wtedy lat? Zaraz. Siedemnaście. Zrobiła akurat maturę. To był 53 rok. Osiem lat jej szukałem. Ale kto mógł przypuszczać, że przeszła w ręce zakonnice. Byłem pewny, że Kropiwnicki ją odnalazł i chowa. Ludzie w Zamościu, zaraz po wojnie, uparcie twierdzili, że Kropiwnicki wyszedł z gestapo, chociaż nikt tego na własne oczy nie widział. Kiedy trafiłem na ślad małej, byłem pewny, że mam nareszcie jego”.

Pamiętał jeszcze swoje rozczarowanie, zawód, niemal rozpacz. I ten dzień, gdy przyszedł do dziewczyny na stancję w Lublinie. Obawa. Widziała go raz, jedyny, wtedy gdy odwróciła się od pieca i zeskoczyła ze stołeczka. Ale wówczas, pamiętał to dobrze, bała się tylko automatu. Musiała spotkać się już z tym przedmiotem w niedobrych okolicznościach. Był w radzieckiej pelerynie i kapturze zaciągniętym na głowę. Na dobrą sprawę nie widziała z jego twarzy żadnego fragmentu poza oczami. Zarost pokrywał mu brodę i policzki I... miała pięć lat, a on – dwadzieścia. A jednak – bał się. Bał się i musiał do niej iść. Była jedynym ogniwem, drogą prowadzącą do Zegarmistrza. Zaskoczyła go najpierw uroda i zdrowie dziewczyny. Ktoś musiał o nią dbać, tak nie wyrastają dzieci źle żywione, nie myte, pozbawione opiekuńczej ręki. Jej wygląd stał się z miejsca jego nadzieją. Niemal równała się z nim wzrostem.

Okazała się nieprzystępna i małomówna.

„Wroga? — pomyślał teraz. — Chyba tak. Dlaczego nie zastanowiło mnie to wtedy? Zmylił mnie chyba jej życiorys. Nie miała powodu, żeby żywić sympatię dla ludzi”.

Przedstawił jej się jako znajomy Donerów. Tak powiedział:

— Donerowie z Wiednia poszukują kuzyna. Zwrócili się do mnie listownie o pomoc.

— Jak pan mnie znalazł? — zapytała prędko.

„To pytanie zadała mi najpierw — przypomniał sobie. — Interesowało ją tylko, w jaki sposób ją odszukałem. Przez milicję. Pierwsza z brzegu odpowiedź, jaka mi przyszła do głowy, okazała się szczęśliwa. Już o nic więcej się nie dopytywała. Ale stała się ponura”.

— Ja nie widziałam nigdy więcej dziadka — powiedziała samorzutnie. — Nigdy. Niemcy go zabili w 1944 roku. Pod koniec wojny. Zostałam sama. A miałabym chociaż dziadka. Po co pan do mnie przyszedł? — prawie krzyknęła. — Ja nie chcę tego pamiętać. Ja nie chcę do tego wracać. Ja — nie obchodziłam nikogo! Nikogo oprócz niego. Później. Słyszysz pan? Dziadek mnie kochał i dziadka mi też zabrali. Niech pan sobie idzie. On nie żyje. Nie żyje! Tyle lat czekali, ci jacyś ludzie z Wiednia, żeby teraz pana do mnie przysłać? — podejrzliwość zadźwięczała w jej głosie, a jego obleciał chłód.

— Przecież ja szukałem pani.

— Aha, ale dziadek nigdy mi nie mówił, że ma kogoś w Wiedniu — dodała. Albo celowo kłamała, albo go badała. Znała nazwisko Donerów. Żyła dwa lata w majątku, dworscy ciągle je wspominali, przy różnych okazjach. Dzieciństwo zapisuje się w człowieku, jakby ktoś prowadził rylcem po korze mózgowej. Znał to z własnego doświadczenia.

— Pani pewnie nie pamięta wszystkiego, co dziadek mówił — zauważył — przecież pani musiała być mała.

— Wszystko pamięć... — zatrzymała się — a może nie pamiętam. Nie wiem. Pomieszało mi się tyle różnych fragmentów.

„Dlaczego zaczęła zaraz twierdzić, że nie pamięta? Zgodziła się ze mną? Co pamiętała? Czego nie chciała powiedzieć? Znała

jego adres? Wiedziała, że on żyje? Nie. Tego nie wiedziała, tak samo jak ja. Jestem pewny. Ale coś w niej było... coś było dziwnego. Tylko że ja sam nie chciałem wchodzić w żadne szczegóły. Nie mogła mnie zaprowadzić do Zegarmistrza, przestała się liczyć. Bałem się też, że się z czymś wydam, zdradzę. Domyśli się, że już raz ją widziałem, kiedyś. A tego nie powinna się była domyślić. Pod żadnym pozorem. Miałem pozostać dla niej wysłannikiem Donerów. Na zawsze”.

Pociąg zarzucił na zakręcie. Stare obrazy zniknęły sprzed oczu. Spojrzał w szybę.

„Wyjechała z Lublina i to zaraz po mojej wizycie. Sporo trudu kosztowało mnie ustalenie nowego miejsca jej pobytu i wszystkich kolejnych. Ale doszedłem do nich. Są w mojej kartotece. Całe lata myślałem, że po prostu wyjechała z Lublina. Ale teraz podejrzewam, że uciekła. Pilnowałem jej życia jak zazdrosny kochanek. Nie wiedziała o tym i nie wie, ale zawsze miałem nadzieję, że jeżeli stary gdzieś jest, wróci, znajdzie ją także. Widocznie nie umiał szukać innych ludzi. Dziecko, jak do niego przyszło, tak odeszło. — Poprawił się na siedzeniu. — Tym razem rozmowa z nią nie pójdzie mi łatwo. Będę miał przed sobą dorosłą kobietę. Z fachem. Z dobrym zawodem, który daje kobiecie pewność siebie. Już nie może być zastrachaną kolejami swego losu dziewczyną. Wyszła za- mąż. Może ma własne dzieci”.

Nie cofnąłby się jednak przed tym spotkaniem. Tamto, przeszłość musiała się nareszcie skończyć. Raz i na zawsze. Przez 28 lat myślał, że zakończy ją strzał. Okazało się to nie takie proste. Okazało się zgubne, wciągające coraz głębiej, jak bagno pochłaniające zwałony pień.

W ciągu reszty nocy trochę drzemał, to na przemian czuwał. Wracała mu świadomość, aby za chwilę znów pogрузić się w przeszłości. Z tych majaków przechodził w krótkie, nerwowe sny. Przyjechał do Olsztyna przed świtem, parę godzin przespał na ławce w poczekalni. Ogolił się w wucecie restauracji dworcowej. Był w lepszym nastroju, pewny, że tutaj jego wędrówka się skończy. Zdecydowany wydusić ze znajdy wszystko, cokolwiek wiedziała o swoich dwóch latach pobytu w

majątku Donerów. Zmusi ją do tego, jeżeli znajdzie taka potrzeba, nawet pod pistoletem. Naciskając dzwonek do mieszkania był opanowany, nie czuł najmniejszej emocji. Zastukały szybkie, lekkie kroki. Dorastająca dziewczynka stała w drzwiach i patrzyła na niego ciekawie.

— Doktor Bojarska? — powtórzyła. — Państwo Bojarscy nie mieszkają tu już od roku.

— A gdzie?... gdzie się przeprowadzili? — wyjąkał zaskoczony otwierając się przed nim próżnią.

— Do Warszawy. Pan docent został przeniesiony służbowo. Pani doktor pracuje w Szpitalu Bielańskim. Jeżeli pan chce dowiedzieć się ich adresu, proszę iść do naszego Szpitala Miejskiego. Wie pan, gdzie to jest? — Kiwnął machinalnie głową. — To dobrze. Oni dadzą panu adres doktor Bojarskiej.

Nawet nie zauważył, że stoi już przed zamkniętymi drzwiami, sam, na schodach.

„Nie pójdę do żadnego szpitala — pomyślał ze zmęczeniem. — Po co? Znajdę ją kiedyś na Bielanych. Teraz wrócę po prostu do domu. Z Warszawy nigdzie mi już nie ucieknie. Dziś czy jutro, jakie to może mieć znaczenie? Irena będzie niespokojna. Jestem zmęczony. Bardzo. Warszawa. Dopięła swego ta znaleziona przy torze kolejowym dziewczynka. Już się z Warszawy nie ruszy. Wszyscy lekarze ciągną do Warszawy. Mam mnóstwo czasu. Resztę życia. Byłem niemal chory od... od tej nocy w Zaduszki. Ale już mi to przechodzi. Zaraz zadzwonię do Ireny. Wcześniej, niż oczekuje. Pewnie się kobieta martwi. Przede wszystkim muszę się pozbyć pistoletu. Raz na zawsze. Najwyższy czas. Broń przyrasta do ręki. Nie mara go już gdzie trzymać. Irena zabierze komódkę do stolarza. Jeżeli raz coś postanowiła, nie ma siły, żeby ją od tego odwieść. Broń nie może się poniewierać po mieszkaniu. Dobra, stara parabeika, wysłużyła się, wykonała swoje zadanie do końca, ale czas na nią. Na mnie też”.

Po powrocie do domu, prosto z pociągu, jeszcze w palcie, usiadł przy telefonie i wykrecił numer Ireny.

— Jestem. Widzisz, załatwiłem wszystko wcześniej. Słuchaj, masz swoją metrykę? Nie? Zrób sobie odpis. Po co? No, już

chyba pora. Dokąd będziemy się tak odwiedzać. Ja mam wszystkie potrzebne papiery. Zawsze miałem — roześmiał się, bo o to musiał dbać szczególnie starannie. — Aha, przyjdź zaraz po klucze. Stolarz! — Odkładając słuchawkę słyszał jeszcze jej śmiech.

Wyciągnął pistolet z kieszeni. Obrócił go w rękę, rozejrzał się po pokoju. Łatwiej posiadać broń, niż się jej pozbyć. Najlepszym wyjściem wydawała mu się rzeka, ale w okolicach miasta była płytka i w lecie wysychała niemal do dna, tworząc mielizny i łachy. Trzeba by odejść kilometr albo dwa za miasto, w górny bieg. I zrobić to jak najprędzej. W tej chwili czuł się zbyt zmęczony. Rozmawiał z Ireną o ślubie zupełnie łatwo, zdawał sobie jednak sprawę ze znaczenia takiej decyzji. Wrzucił pistolet do szafy, za walizę, którą wyciągał raz do roku, podczas wakacji. A teraz — szła zima.

Rozdział XII

— Czyżbyśmy panom jeszcze czegoś nie powiedzieli? — wysoki, suchy jak tyka mężczyzna całą swoją postawą zaznaczał niezadowolenie, jakie właśnie odczuwał. Trzymał się prosto, wysoko nosił głowę. — Czemu zawdzięczam zaszczyt waszej ponownej wizyty? Tu już ktoś od was był. Oczywiście nie z Warszawy.

„Ja też nie miałem na nią ochoty — stwierdził Gabler w duchu. — Niestety pewien kapitan, rzadko z nas zadowolony, wysłał mnie w tę podróż. Szkoda, że się na niego nie nadziałeś, tylko na mnie. No cóż, damy ci radę sami”.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał chór dziecięcych głosów. Darło się tam i biegało chyba całe przedszkole. Mężczyzna uśmiechnął się.

— Tak. Prowadzimy teraz z żoną przedszkole. Mam akurat ośmioro dzieci — powiedział to z pewną dumą. — Nie biorę więcej. Brak warunków. Dzieci muszą mieć przestrzeń do zabawy. W tym wieku chcą biegać — za- bębnił palcami w blat stołu. — Codziennie ktoś do nas przychodzi i prosi, żeby mu

wziąć dziecko pod opiekę. Przykro odmawiać. Przydaje mi się moja praktyka pedagogiczna. Wojsko, proszę pana, to najlepsza szkoła wychowania. Jestem pułkownikiem, byłem, oczywiście byłem. Chociaż jesteśmy z żoną już starzy umiem zaprowadzić mores wśród moich podopiecznych. Rodzice po upływie pół roku nie poznają swoich pociech. To mi wyrobiło w Lublinie dobrą opinię. Wie pan, ludzie dziś nie mają tyle czasu dla dzieci, co kiedyś. Cierpliwości. Ja mam jedno i drugie. Tyle lat emerytury. Ale trzymam się.

„Jeżeli mu zaraz nie przerwę — przestraszył się porucznik Gabler w duchu — dowiem się historii życia pułkownika. Niewątpliwie ciekawej, ale nie zbliżającej mnie ani o krok do celu. Jola też musiała przejść tę jego wojskową szkołę. Czy dobrą, to się okaże”.

— Proszę pana — wtrącił szybko — przepraszamy za drugie najście, ale zaszły pewne okoliczności, które zmuszają nas do zadania państwu jeszcze kilku pytań.

— Mam zawołać żonę? Jest zajęta przy dzieciach.

— Nie. W tej chwili to chyba niepotrzebne — powiedział Gabler spokojnie. — Czy przed odejściem Joli od państwa był tu ktoś, kogo państwo przedtem nie widzieli? Po prostu ktoś, kto jej nigdy tutaj nie odwiedzał?

— Ktoś obcy? Tak? — pułkownik zastanowił się, ale w tej sprawie najwidoczniej zabrakło mu żony. Wstał, sztywny, wyprostowany, otworzył sąsiednie drzwi.

Porucznik zobaczył górkę kłębiących się na sobie — nie między sobą — maluchów w kolorowych rajstopach. Wyglądało to niesłychanie komicznie. Widać było przeważnie same wypięte tyłeczki i głowy.

— Marta — powiedział pułkownik równym, nie zmieniającym swego zabarwienia głosem. Na jego dźwięk górka maluchów rozprysnęła się na boki, jakby od środka rozsadziła ją petarda. Każde z dzieci usiłowało przybrać przyzwoitą, siedzącą pozycję, ale kręciły się i wpadały na siebie, nie mogąc od razu znaleźć wolnego miejsca. Gablera załaskotało w gardle. Pułkownik miał rzeczywiście posłuch wśród swojego nocniczkowego wojska.

— Widzi pan — zwrócił się dawny pułkownik do nowego porucznika. — Moja żona jest zbyt łagodna dla dzieci. Ma miękki charakter. Ale to dobrze. Uzupełniamy się wzajemnie.

Ten człowiek żył swoim przedszkolem. To było widoczne dla każdego obserwatora. Komenderując dziecinnym oddziałkiem, stwarzał sobie namiastkę dawnego życia na miarę sił, wieku, zdrowia i możliwości. Byłoby w tym coś humorystycznego, gdyby nie traktował swego zajęcia tak śmiertelnie serio.

— Antek — ostrzegł pułkownik bardzo poważnie zadziornego, czteroletniego chłopca — przestań obrywać Stasiowi szelki! Zgubi spodnie. — Potrafił widzieć, załatwiać kilka spraw naraz. Zaczynał się Gablerowi podobać. — Marta — mówił nieomal jednocześnie do żony — czy ktoś przychodził do Joli przed jej wyjazdem, kogo ja bym nie znał? — Delikatna, zmęczona kobieta, kiedyś blondynka, już dobrze siwa i całkowicie przez męża zamjoryzowana, dawno ułożona i pogodzona ze swoim losem, podniosła głowę znad filiżanek, które uważnie napełniała mlekiem. Na jej twarzy odbił się wysiłek pamięci.

— Musi pan wiedzieć, że ja dawniej brałam starsze dzieci na czas nauki w gimnazjum — objaśniał pułkownik Gablera. — Teraz wołam maluchy. Młodzież w okresie dojrzewania wymaga ogromnej uwagi, zdolności taktycznych i obserwacyjnych. Nie potrafię robić czegoś źle, nieodpowiedzialnie, a wytrzymałość już nie ta, co dawniej. Maluchy to teraz akurat dla mnie.

— Tak — powiedziała nagle kobieta — wydaje mi się, że ktoś tu był.

Porucznik Gabler przeniósł na nią swoją uwagę, pułkownik stałymi dygresjami przeszkadzał mu się skupić, ale nie chciał powstrzymywać jego gadatliwości. Może dlatego, że pułkownikowi brakowało audytorium, które kiedyś grało niepoślednią rolę w jego życiu. Karmiło jego ambicję czy poczucie własnej wartości.

— I ja o tym nic nie wiem — zabrzmiał równy głos pułkownika. — Nie powiedziałaś mi? Wiesz, jak nie lubię wizyt nieznanomych smarkaczy.

— Wiem. Zapomniałam — głos kobiety zadźwięczał z kolei

rezygnacją. Mogła przypuszczać, że będzie miała nieprzyjemności od męża po odejściu nieproszonego gościa, a jednak powiedziała prawdę. Rzeczywiście umiał wychowywać ludzi ten starszy, sztywny jak tyka pan.

— Ja kontrolowałem bardzo dokładnie znajomości moich wychowanków, proszę pana — pułkownik poczuł się dotknięty niesubordynacją żony i najwyraźniej pragnął się wytłumaczyć przed porucznikiem. — Ludzie przywozili mi swoje dzieci z Warszawy, z Poznania, z Krakowa, z całej Polski. Wierzyli nam. Przyjmowałem tak zwane trudne dzieci, wszystkie powychodziły na ludzi. Eech, nie ma w ogóle trudnych dzieci, są trudni rodzice.

„I z tym bym się zgodził” — pomyślał porucznik.

Żona pułkownika odstawiała dzbanek z mlekiem i weszła do pokoju, gdzie siedzieli.

— Tak, proszę pana, był tu jakiś mężczyzna. Ale bardzo krótko i dlatego nie zwróciłam na niego, uwagi.

— Nie pojawił się więcej?

— Nie. Po co? Przecież Jola wyjechała.

„To nic — pomyślał Gabler. — Mógł o tym nie wiedzieć”.

— Ile miał lat? — zapytał głośno.

— Dwadzieścia siedem, osiem, może mniej, trudno mi dziś powiedzieć. Był bardzo przystojny. Wysoki. Nie wiem, jak go określić, aha, męski. W jakiś sposób podobny do mego męża. — Uśmiechnęła się. — Może dlatego nie znalazłam w tej wizycie niczego, co mogłoby nas zaniepokoić. Pewnie dlatego nie wspomniałam o niej mężowi. Nie wiem. To było dość dawno.

— Pytała pani dziewczynę, kto to był?

— Naturalnie. Zawsze pytaliśmy. Dla porządku. I dlatego, żeby dzieci nie czuły się zbyt swobodne. A poza tym musieliśmy wiedzieć, z kum się przyjaźnią. To należało do naszych obowiązków. Jola powiedziała, że to był brat koleżanki. Nie dopytywałam się której. Takie wizyty były naturalne i najczęstsze. Jola w ogóle nie miała jednego chłopca, z którym by stale chodziła. Ona była pyszna... może nawet zarozumiała. Trudno było z tym walczyć. I nawet nie chciałam tego w niej tępić. To było — według mnie — lepsze, niż gdyby miała

kompleks mniejszej wartości jako dziecko nieznanym rodziców. Więcej jej puszczałam, niż innym naszym dzieciom. A w ogóle, to mam zawsze tyle spraw na głowie. Kuchnia. Trudno kogoś dostać do pomocy. Zakupy. Wtedy miałam trzech stołowników. Oprócz nas — uśmiechnęła się — młodzi jedzą, aż im się uszy trzęsą. Brudzą ubrania, drą, stale pranie i cerowanie. Te maluchy — spojrzęła w drzwi — ojej, przepraszam, pozalawają się gorącym mlekiem... nie można ich ani na chwilę zostawić. — Wróciła z dzbankiem w rękę.

— Może mi pani opisać tego mężczyznę?

— Na ile pamięć pozwoli.. Trochę niższy od mego męża. Ale barczysty. Dobrze zbudowany. Mocna twarz, wyrazista, chyba szatyn albo ciemny blondyn.

— Nie miał jakichś znaków szczególnych, czegoś, co by go wyróżniało w tłumie?

— Nie... urodę.

— To mało — mruknął Gabler — chociaż zawsze coś.

— Szybko chodził — dodała, pragnąc wywiązać się jak najlepiej z zadania, które przed nią postawiono. — Bardzo energiczny, młody człowiek.

„Teraz jest starym koniem, nie wiadomo, czy jeszcze energicznym” — pozwolił sobie Gabler na milczącą złośliwość.

— Czy Jola kiedyś, później odezwała się do państwa? Pisała?

— Tak. Naturalnie.

— Ma pani te listy?

— Chowam listy wszystkich naszych wychowanków. To nasze życie. Co mamy więcej, proszę pana? Straciliśmy na wojnie dwóch synów.

— Marta — zwrócił żonie spokojnie uwagę pułkownik.

— Tak, tak — rzuciła z rezygnacją. Położyła stertę listów na stole. — O, tu. To dwa listy Joli.

„Dwa listy? — zdziwił się po cichu Gabler. — Za tyle lat opieki? Skąpa jest ta dziewczyna”.

— W tym liście Jola pisała nam, że skończyła medycynę... a w tym, że wyszła za mąż — wyjaśniła obcego, żona pułkownika.

„Dwa zwrotne punkty życia — myślał porucznik. — Nic innego nie uznała za ważne, ciekawe, wymagające pisania,

zawiadamiania. Twarda dziewczyna”.

— Bojarska — przeczytał głośno. — Ma pani koperty?

— Koperty? Nie. Chowałam tylko listy. Widzi pan, jakie to stosy papieru. Zebrało nam się sporo podziękowań, wspomnień, tu są nawet bardzo serdeczne listy. Ale gdzie to trzymać? Ciasno.

„Ani jeden, ani drugi list nie jest oznaczony datą — zauważył.

— Nie ujawniła miejscowości, z której pisała. Zapewne też — wówczas mieszkała”.

— Pamięta pani, skąd były nadane te listy?

— Nie. Widocznie nie chciała — zauważyła kobieta ze zmęczeniem — widocznie nie chciała pisać, gdzie jest.

— Ale ja pamiętam — odezwał się nagle pułkownik. — Mam zwyczaj wszystko pamiętać i... sprawdzać. Stary zwyczaj, dobry, proszę pana. Jeden stempel pochodził z Warszawy. List był nadany w Warszawie. Drugi — olsztyński.

„Jak oni tu, kochani koledzy, przeprowadzali to śledztwo w sprawie dziewczyny?! — zirytował się z kolei Gabler. — Właściwie wszystko już wiemy. Związek Zawodowy Służby Zdrowia ustali w ciągu kwadransa miejsce pobytu lekarza. Ministerstwo Zdrowia. Eech, cholera, kapitan powie mi jeszcze parę słów”.

— Kaziu — odezwała się żona pułkownika ze zdumieniem, które z pewnością nie opuszczało jej przez całe życie — nie miałam pojęcia, że zwróciłeś uwagę na stemple i... pamiętasz.

— Co w tym dziwnego? — pułkownik uniósł brwi. — To było nieszczęśliwe dziecko. Nie chciałem stracić jej zupełnie z oczu. Mogła czegoś jeszcze od nas potrzebować.

— Toby przyszła do nas sama — powiedziała kobieta z urazą — ona nas nie potrzebowała. Nigdy — zacięła usta.

— Czasem tak się tylko wydaje — zauważył mężczyzna spokojnie. — Powiadomiła nas o dyplomie, o ślubie. Dyplom to było dla nas ważne. Dla mnie. To oznaczało, że nie straciłem czasu. Zrobiła coś w życiu — zamyślił się — a że nie chciała tu wracać... W końcu płacono nam tylko za opiekę nad nią, a myśmy wykonali pracę, najlepiej, jak umieliśmy.

— Jak możesz tak mówić! — oburzyła się jego żona.

— A mogę, mogę. To jest obiektywna prawda. Takie jest życie.

— Ale ja... ja pracuję dla tych dzieci. Lubię je... przywiązuję się.

— Moja kochana — przeciągnął pułkownik sceptycznie — Jola była najtrudniejszym dzieckiem, jakie chowaliśmy. I nic dziwnego. Znalazłabyś się w jej skórze. No, nie chciałbym tego zobaczyć. Na początku, pamiętasz, krzyczała po nocach. Zrywała się. Biegaliśmy z walerianą. Musi pan wiedzieć — zwrócił się do Gablera, który był teraz więcej świadkiem małżeńskiego dialogu niż aktywnym jego uczestnikiem i dogadzało mu to — musi pan wiedzieć, że czasem nawet ja wątpiłem, czy uda mi się ustabilizować jakoś jej system nerwowy. Wyrównać.

— Czy ona krzyczała coś konkretnego? — wtrącił szybko porucznik, w obawie, że małżonkowie znów odbiorą mu głos.

— Nie, to były tylko straszne krzyki. Najwyżej jedno słowo — mammo.

— A nie — sprzeciwiła się nagle żona. — Nie. Krzyczała czasem: dziadku, dziadku, zegar!

— A rzeczywiście, tak — przyznał pułkownik z konfuzją. — Zegar. Zupełnie nie wiadomo dlaczego zegar. Zapomniałem. Tyle było tych dzieci. Albo skleroza — dodał rozbrajająco szczerze, skoro już został przyłapany przez żonę na tej drobnej niedokładności pamięci.

— Pytałam ją nawet, czy boi się zegara — wtrąciła żona. — Dzieci boją się czasem myszy, pajaków. Jeżeli opowiada im się za dużo bajek, mają lęki przed Babą Jagą, krasnoludkami. Sama to sprawdziłam. Zegar tyka, myślałam, że w dzieciństwie przestraszyła się jakiegoś dużego, głośno tykającego zegara. Ale twierdziła z jakimś zaciętym uporem, że nie boi się żadnego zegara. Lubi zegary, bo dziadek też lubił zegary. To było także wytłumaczenie, proszę pana. Z najgorszych lat zostały jej w pamięci tylko dwie osoby — matka i dziadek. Przybrany dziadek. Matka jest matką i nie kojarzy się dziecku z niczym więcej. Nie musi. Dziadek wiązał jej się z zegarami. W snach takie rzeczy wypływają na wierzch.

„Znów te zegary — pomyślał Gabler. — Chyba kapitan będzie zadowolony. Ale ja na jego miejscu dostałbym zegarowego kręćka. Niech diabli porwą to śledztwo. Wolę przyzwoite motywy zbrodni. Zegary. Mimo to muszę wsiadać w samochód jak najprędzej i zapruwać do Warszawy. Ta dziewczyna chyba będzie nam miała coś do powiedzenia. Mógłbym dać teraz za to głowę. Kapitan ma rację, że obawia się o jej bezpieczeństwo. Drań, zbyt często ma rację”.

— Państwo mi nieskończenie dużo pomogli — odezwał się szczerze.

— Tak? Cieszymy się—powiedział pułkownik sztywno.

— Proszę pana... proszę pana — odważyła się kobieta i szło jej to z trudem — czy Joli... coś grozi? Czy Jola coś... coś popełniła? Nam byłoby bardzo ciężko, gdyby ona zeszła na złą drogę. To było wybitnie zdolne dziecko. I ambitne. Jej rodzice byłiby z niej dumni. Ja często myślałam o jej rodzicach, mieć taką córkę i nigdy jej nie zobaczyć, nie móc się nią nacieszyć, proszę pana, nie może istnieć większe szyderstwo losu. Okrucieństwo. Myśmy ją przecież chowali, chociaż za pieniądze, jak mówi mój mąż. — Nie mogła darować mężowi oschłości, chyba całe życie — nie mogła. W innych okolicznościach również.

— Marta — w głosie męża zabrzmiało niezadowolenie — o takie rzeczy nikt rozsądny nie pyta. Cóż pan może ci odpowiedzieć? Nic.

Porucznik Gabler przeniósł spojrzenie z pułkownika na jego żonę. Śpieszyło mu się, ale ta kobieta budziła sympatię, jeżeli nie współczucie.

— Proszę pani, nie trzeba się obawiać. Nawet gdyby doktor Bojarskiej groziło jakieś niebezpieczeństwo, my jesteśmy od tego, żeby zapewnić jej nareszcie spokój. Prawda?

— Ale takie życie, jak ona miała... takie życie jest zawsze niebezpieczne. Nie wiadomo, co się w nim może kryć. Tego nikt z nas nie wie. A ludzie — są pamiętliwi, proszę pana. Ludzie — nie zapominają. Ja coś o tym wiem.

„Masz rację. I w jednym, i w drugim. Dlatego ja się muszę teraz śpieszyć”.

W samochodzie uporządkował dane i fakty, rozrzucone chaotycznie w rozmowie męża i żony. Zrobił sobie notatki.

— Powiedziałem ci, że za dwa dni będziesz miał tę dziewczynę — zawiadomił kapitana Korde od progu — i mamy ją.

— No, twoje szczęście — stwierdził sucho kapitan. — Mamy także wiadomość, że Wawrzon z majątku Donerów, fornał, nazywał się Kowalik. Jego syn miał na imię Jerzy.

— Wrócił? Pojawił się po wojnie? — zaciekał się porucznik.

— Nie.

— Jego rodzice żyją?

— Nie. Ale jest siostra i brat. Oboje mają gospodarki na Dolnym Śląsku.

— Słuchaj, ta mała, doktor Bojarska, musi coś wiedzieć o twoich zegarach. Tak sądzę.

— Tak myślałem — rzucił Korda w zadumie. — Tak myślałem, Zygmunt. Ale myśleć można nieskończenie wiele. Jedna dziesiąta z twego myślenia okazuje się trafna. Niestety.

„Nie zawsze. W twoim wypadku nie zawsze — Gabler myślał to z odrobiną zazdrości, do której jednak nigdy by się nie przyznał. — Ty masz nosa. Sama inteligencja, zdolności, wykształcenie, fachowość niekoniecznie wystarczają, chociaż nauka twierdzi, że powinny”.

Rozdział XIII

Szedł równym, rajdowym krokiem. Ze starego nawyku sprawdzał z zegarkiem w rękę, ile kilometrów robi na godzinę. A może chodziło mu o potwierdzenie wobec samego siebie, że potrafi maszerować tak samo dobrze, jak kiedyś. Sprawiało mu przyjemność, gdy zegarek zapewniał go nadal o własnej sprawności.

Dobrze maszerowało mu się w wilgotnym powietrzu listopada, brzegiem rzeki. Do tego stopnia dobrze, że nie pamiętał wcale o celu wędrówki. Płuca nabierały tlenu, skóra na twarzy elastyczności i świeżości. Postanowił częściej

wychodzić za miasto, nie tylko latem albo na wiosnę. Szarzało, zmierzch listopadowy nadchodził gwałtownie i trochę się tym zaniepokoił, ale to wreszcie nie miało żadnego znaczenia. Chodzić nocą czy dniem. Znał świetnie te okolice, na pamięć. Wychodził z biura o trzeciej, nie mógłby się wybrać wcześniej, chyba że w niedzielę. Ale w święto, przed południem, zanim spadł śnieg, ludzie kręcili się nad rzeką, zwłaszcza młodzież. Starsi ciągnęli do kościołów, pieszo albo furmankami. Roboczy dzień był najlepszy, liczył się ze zmierzchem. Łoziny nad wodą wolno, ale skutecznie pogrążały się w mroku, przestał je dostrzegać. Wyróżniał jeszcze większe krzaki, drzewa.

„Dojdę do drewnianego mostku, przy którym łowiłem w tym roku ryby. Zupełnie wystarczy. Woda jest tam zawsze wartka, głęboka”.

Wydawało mu się, że mostek zamajaczył jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim, w ciemności trudno było wymierzyć odległość. Zszedł w łoziny, ziemia tu była grząska, wycofał się, bo wyczuwalna pod nogami ścieżka jeszcze nie prowadziła do mostku.

„Następna. Tamta jest szersza. Bardziej wydeptana — gramolił się na górę po niewielkiej skarpie. Mostek nagle wyskoczył z ciemności. — Jest. Dwa duże dęby. Po ciemku diabeł nakrywa teren ogonem. Ile razy błądziłem nocą po łąkach, których mapę mógłbym wyrysować palcem w powietrzu. Jeszcze wtedy... Jak to było dawno”.

Beczkwate sklepienie mostku zadudniło pod butami, próżnia pod nim oddawała pogłos, wilgotne powietrze dobrze przewodziło dźwięk. Gdyby nie gęste łoziny, w których grzązł każdy hałas, byłoby słyhać kroki człowieka daleko na polach.

Wyszedł na środek mostku i oparł się o starą, dobrze już zmurszałą balustradę. Więcej poszukał jej łokciami w ciemności, niż widział. Rzeka pluskała pod nim delikatnie, nie dostrzegał lustra wody, ale słyszał, jak płynie, żyje.

Wsunął rękę do kieszeni, wymacał parabelkę. Zacisnął palce na rękojęści. To nie było wcale łatwe — rzucić ją do wody. Nie miał niczego z dawnych lat, tylko ten pistolet. Ostatni ślad przeszłości. Nie pozwolił sobie na myślenie, głośny plusk

obwTieścił celność rzutu. Rozejrzał się naokoło. Był sam między niskim listopadowym niebem a ziemią i wodą. Zupełnie sam. Zszedł ostrożnie z mostku, rozgarnął łożyny i wdrapał się na twardszy grunt, udeptany, biegnący skrajem pola. Przyspieszył kroku. Buty miał cięższe, nabrały mokrej, nadrzecznej gliny. Ruszył ostro, wprost na światła miasteczka.

„Gdybym tam dłużej postął i zaczął się rozwodzić nad sobą, nad tym, co było i czego nie było, a co później, z biegiem lat wydaje nam się, że istaniało, do rana nie wyrzuciłbym pistoletu”.

Czuł się lżejszy o dwa dziesiątki lat, z hakiem. Od kiedy powziął decyzję ożenku, słuchał planów i rojeń Ireny, w niezauważalny, a przecież rzeczywisty sposób pozbył się obsesji ostatnich dni. Myślał teraz, że musiał wydawać się śmieszny tym wszystkim ludziom, których odwiedzał. Cudze zmartwychwstania przeważnie tylko wpędzają bliźnich w zakłopotanie. Irena zupełnie nieoczekiwanie stała się dla niego ratunkiem, kotwicą. Nie był już nawet pewny, czy rzeczywiście chce mówić z tą dziewczyną, doktor Bojarską. Coś go zaczęło ostrzegać przed spotkaniem z nią. I to była chyba obawa przed prawdą. Przez tyle lat hodował własną, na swój użytek. Nagle zaczął odczuwać niechęć do jakichkolwiek poprawek. Bał się zburzenia jeszcze raz życia, jakie właśnie zaczął budować.

Irena gospodarowała w domu, przyjemna woń rozchodziła się z gazowego piecyka.

— Gdzie ty chodzisz — narzekała z głębi kuchni, ale wcale nie wyszła, żeby się z nim przywitać. Była zajęta najważniejszymi babskimi sprawami. Przy piekarniku nie istniała dla świata, irytowała się, gdy próbował w takich razach zwrócić jej uwagę na siebie.

— Byłem na spacerze. Zrobiłem cztery kilometry w czterdzieści pięć minut. Nieźle, co?

— Dzisiaj jest wilgoć. Z takich spacerów może się wywikłać tylko grypa.

— A nie masz racji. Nigdy nie maszeruje się tak dobrze, jak w mokrym powietrzu. Właśnie to odkryłem.

Wypłukał buty nad wanną, pod prysznicem, spłynęło z nich

czarne błoto. Irena zachłysnęła się zgrozą.

— Co ty robisz z wanną? Z butami!

— Wannie nic nie będzie, a buty bez kąpieli musiałbym wyrzucić — powiedział beztrąsko.

— Wychodziłeś na pola?

— A jak by? Przecież mówiłem ci, że zrobiłem spory marsz.

— Ty masz niedobrze w głowie — stwierdziła bez gniewu.

— To dobrze! — roześmiał się. — Ci, co mają wszystko już zupełnie w porządku, do niczego się nie nadają. Chciałabyś spędzić resztę życia z takim?

— Nie.

— No! Co tam pieczesz? .

— Kaczkę.

— Aha, wierci w nosie. Długo jeszcze?

— Długo.

— Nie bądź złośliwa. Nie karz mnie za wannę. Siedzisz w kuchni co najmniej od dwóch godzin. Kaczka — na mój niuch — dochodzi.

Włożył ranne pantofle i wszedł do pokoju. Na stoliku, pod gazetą leżało pudełko. Przeszył go paraliżujący prąd. Amunicja.

„Jakim sposobem ja ją tutaj zostawiłem? — pomyślał i zaczął ogarniać go bezwład. — Chciałem ją zabrać razem z parabelką. Niemożliwe. I całą drogę nie pamiętałem o pudełku. Zgłupiałem. Nie jest ze mną dobrze. — Irena mówiła coś do niego z głębi kuchni. Z trudem oderwał wzrok od pudełka. — Widziała? Jeżeli widziała, zapyta. Ona nie jest w stanie niczego ukryć. A zresztą dlaczego miałyby udawać, że nie znalazła naboju. Zwyczajne pytanie. Różnorodna amunicja poniewiera się po domach. Ostatecznie była wojna”.

— Jerzy... — odezwała się Irena wchodząc do pokoju. Urwała i spojrzała na jego twarz. — Niedobrze ci? — Była przestraszona.

— Nie — powiedział z trudem, przez zaciśnięte szczęki. — Nie. Dlaczego?

— Ależ tak! Zbladłeś. Spaceruj! Jakieś marsze. Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, ile masz lat? — wyrzuciła to z rozpaczą.

— Ciągłe myślisz, że jesteś chłopcem. Udajesz morowca. To...

to okropne.

„Rzeczywiście, ma rację. Nie mogę się pogodzić z czasem. Nie chcę się pogodzić. Muszę być śmieszny. Widzi to. Widziała. Nigdy mi tego nie powiedziała. Też miała rację. Głupio się teraz czuję.”

— Byłeś kiedyś u lekarza?

Nie odpowiadał. Nie słyszał, co mówiła. Pudełko utkwilo w jego mózgu jak gwóźdź.

— Pytam, czy byłeś ostatnio u lekarza!

— Nie — z trudem narzucił sobie uwagę. — Nie byłem u lekarza ćwierć wieku — powiedział z ironią. — Nie miałem czasu na takie rzeczy.

— Znów bredzisz — huknęła. — Co ty masz znów takiego do roboty. Biuro. W lecie kajaku Całe wieczory wolne. Jutro pójdziesz do lekarza.

„Zapytaj raczej, co miałem takiego do roboty. — odezwał się do niej w myślach i zrobił to z niezrozumiałym dla siebie okrucieństwem. — Szlag by cię trafił na miejscu, gdybyś się dowiedziała. Rany boskie, jak ja się mogę żenić. Ciągnąć ją za sobą w coś takiego. Jadać jej pieczone kaczki. Pozwalać, żeby wietrzyła moje szafy. Milcz! Klamka zapadła. A teraz jej nie zawiedziesz”.

— Jurek! Ty jesteś coraz bledszy — ogarnęła ją panika. Skoczyła do telefonu.

— Zostaw... słyszysz, zostaw — powiedział słabo — to przejdzie. Nie rób głupstw. To są ... głupstwa. Usiądę.

— Masz gdzieś jakieś krople?

Potrząsał przecząco głową.

— Nie... nie... nigdy nie byłem chory.

— Przyniosę ci chociaż wody!

Starość. Organizm dawał mu ostrzeżenie. Krew zaczynała powoli wracać od nóg do głowy. Przyjemne ciepło sięgało brody, policzków, czoła. Zrobiło mu się prawie dobrze. Wyciągnął rękę i schował pudełko do kieszeni. Irena stała przed nim ze szklanką wody.

— Już niepotrzebna — uśmiechnął się żałośnie.

„Zaraz pojedziesz do Warszawy. — To postanowienie

przyszło spoza niego i składał je wbrew sobie. — Zanim wezmą mnie diabli, powinienem się dowiedzieć”.

Pudełko uwierało w kieszeni. Wrzucił je do szufladki w nocnej szafce. Przestał się denerwować. Wzruszył ramionami.

„O co mi chodziło? Dzieci wyciągają rodzicom naboje z szuflad i bawią się nimi w wojsko. Zrobiłem z kilku starych pocisków histeryczną awanturę. Kiedyś... jakiegoś dnia i tak opowiem jej swoją historię. Takie są konsekwencje związania życia z drugim człowiekiem”.

Wiedział, że milczenie przeleje się w nim w jakiejś jednej sekundzie przez brzegi i niczym już nie zatrzyma tego potoku. Będzie mówił, bo na tajemnicach buduje się tylko Kobry, życie — trudniej.

Rozdział XIV

Ten pokój, otoczenie, dobrze usposabiała kapitana. Czyniły tę rozmowę łatwiejszą. Gabinety lekarskie są miejscami zupełnie neutralnymi, nie posiadającymi wyrazu, co wyklucza z góry jakikolwiek osobisty ton, który mógłby się wkraść między ludzi. Doktor Bojarska ordynowała w domu, po zajęciach szpitalnych, czego młodzi lekarze z reguły unikają. Nawyk prywatnej praktyki ostał się w starym pokoleniu medyków. Widocznie mogła liczyć na pacjentów, docent Bojarski zapewniał jej pozycję w świecie lekarskim. Białe, antyseptyczne wnętrza, profesjonalny fartuch nadawały jej anonimowości, bardzo potrzebnej kapitanowi, ponieważ ciągle nie wiedział, jak ta kobieta zareaguje na to, co będzie musiał jej powiedzieć w pewnej chwili, jeżeli okaże się uparta. Nie lubił zadawać ludziom ciosów bez potrzeby. Właśnie temu pobitemu przez los dziecku, które potrafiło skutecznie odbić trafienia losu.

— Słucham? — zapytała grzecznie, bezosobowo, nie podnosząc głowy znad biurka. — Pan jest u mnie pierwszy raz?

Odpowiedź nie nadeszła, więc spojrzała na kapitana trochę niecierpliwie.

Położył na biurku legitymację.

— Aha.

Śledził ją uważnie, ale niewiele mógł wyczytać z jej twarzy. Lekarz musi być opanowany. Sięgnęła jednak zaraz po papierosa i odsunęła się od biurka, przybierając bardziej swobodną pozę, zaznaczając w ten sposób, że takiej rozmowy nie może traktować urzędowo, tym więcej zawodowo. Zmrużyła trochę oczy, sposobiąc się do jeszcze jednej rozgrywki w swym życiu. Co do tego już się nie mylił, rozmawiał, miał przed sobą, obserwował tysiące ludzi w swej praktyce. Wiedział na ogół, co myśleli lub mogli myśleć.

— Interesuje pana ktoś z moich pacjentów? — zapytała.

Nie wytrzymała milczenia i kapitan musiał zadać sobie pytanie, dlaczego. Nie chciała dopuścić, aby on mógł sobie wyobrazić, że bierze pod uwagę własną osobę?

— Nie — powiedział całkowicie obojętnie. — To stare sprawy. Pani może, nie musi coś o nich wiedzieć. Była pani dzieckiem.

Niezadowolenie odbiło się w jej oczach.

— Nie lubię wracać do dzieciństwa. Nigdy nie byłam dzieckiem. Skoro pan już tu jest, musi pan to wiedzieć.

Kiwnął głową.

— No, więc? — zdziwiła się wystarczająco szczerze. — Jeżeli do dziś nic nie wiem o sobie, co mogłabym wyjaśnić panu, chociaż dziś mam już nazwisko i tytuł naukowy?

— To może wystarczyć — zauważył kapitan Korda. — Jest pani tym człowiekiem, którego sama pani z siebie zrobiła. I tylko sobie to pani zawdzięcza.

— Nie przesadzajmy — zwróciła mu uwagę z niedostrzegalną ironią. — Byli tacy, którzy mają udział w tym, że nie poszłam zupełnie na dno.

— I właśnie o tych mi chodzi — wpadł jej kapitan w słowa. Była z siebie niezadowolona. Za dużo mówiła. Po prostu nie znała metod śledztwa i taktyki obronnej, jeżeli jej potrzebowała.

— Straciłam ze wszystkimi kontakt — zauważyła. — Studia, praca, specjalizacja, mąż, dzieci, dom — to wystarczy, prawda? Młyn, na nic nie ma czasu.

— Nie, proszę pani — powiedział uprzejmie — nie rozumiemy się. Mnie chodzi tylko o 1944 rok. Dokładnie o tę noc, gdy w parku Donerów rozegrała się wojenna tragedia, jakich zresztą wiele.

Niedostrzegalna różowość zabarwiła jej policzki.

— Siedziałam wtedy w kredensie, proszę pana — rzuciła zbyt gwałtownie. — Zabrakło mi powietrza i straciłam przytomność. I — miałam siedem lat.

— Biorę to wszystko pod uwagę — wyjaśnił łagodnie — ale wtedy gestapo zabrało człowieka, który uratował pani życie.

— Szukałam go — przerwała mu wrogo — tak, jak umiałam i jak mogło to zrobić małe dziecko. Nie miałam żadnych szans na to, żeby cokolwiek ustalić. Właściwie nikt nie rozumiał, czego się domagałam. Gestapo wzięło człowieka. Dla wszystkich było jasne, że zginął. Na dodatek to był dla upartego, histeryzującego dziecka zupełnie obcy człowiek. Dopytywałam się o szpilkę w stogu siana. Nikt nie mógł i nawet nie chciał jej dla mnie szukać.

— Czy później, kiedykolwiek trafiła pani na ślad pana Kropiwnickiego? Dowiedziała się pani, co działo się z nim po aresztowaniu?

— Nie. Później, gdy już studiowałam w Warszawie, mimo pewności, że moim losem jest nie mieć nikogo bliskiego i radzić sobie samej — nie wiem, w jakiejś chwili przypomnienia, może załamania i wbrew przekonaniu — poszłam jeszcze raz do Biura Ewidencji Ludności. Jak pan sam rozumie i jak ja rozumiałam — bez rezultatu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam? Potem było mi jeszcze gorzej. Dziś zresztą wiem, że to były rzeczywiście dziecinne pretensje. Po prostu nie chciałam pogodzić się z tym, że i on zginął. Chciałam kogoś mieć... tylko dla siebie. Nie chciałam przyjąć do wiadomości jego śmierci. W tym sensie zakonnice miały rację.

— Mam zatem rozumieć, że pani nie wie, co spowodowało tragedię w parku Donerów?

— Nie, proszę pana, poza tym, co każdy dorosły już człowiek może dziś na ten temat myśleć.

— A pani? Co pani myśli?

Znów złapał ją za słowo. Zaczynał ją drażnić.

— Straszny przypadek — powiedziała spokojnie.

— A donos? — zapytał równie spokojnie.

— Sam pan dobrze wie, tak dobrze, jak ja, że wtedy wszystko było możliwe — odparła z przykrością, wbrew sobie. — Po co mi pan to jednak podpowiada? Donosy, takie rzeczy, to wasza sprawa — rzuciła już jawnie obraźliwie.

Kapitan nie obraził się jednak, ale musiał zrobić to, czego właśnie nie chciał robić i nadal nie miał na to ochoty. Nie zależało mu, jak innym, tylko na dawaniu ludziom nauczek. I po prostu obawiał się, co ona robi, co się z nią może stać, gdy dosięgnie ją jeszcze jeden cios, pochodzący z przeszłości. Spojrzał na nią jak na przedmiot badania. Była niewątpliwie silnym człowiekiem, kobietą, jeżeli umiała z tego wszystkiego wyleźć, wywalczyć sobie miejsce w życiu. Nie grzebać, nie jątrzyć spraw nie do rozwiązania, przyjąć faktyczny stan swego istnienia na ziemi, w określonym kraju, miejscu, czasie. Bez żadnych dodatkowych uściśleń.

— Pan Kropiwnicki wyszedł z gestapo, proszę pani.

Odłożyła papierosa, wpatrzyła się w twarz kapitana tak, jakby chciała wydrzeć z niego duszę.

— Gdzie... gdzie on jest? — zapytała z trudem.

— Niestety już nie żyje, nie wzięła pani pod uwagę jego wieku.

— Nie byłby jeszcze taki stary — rzuciła gorączkowo. — To nieprawda. Mógłby żyć — upierała się i było w tym, wracało coś z historii dawnej, małej dziewczynki.

„Powoli. Wolniej — zwrócił sobie uwagę kapitan. — Spróbuj jej to jakoś wydozować. Zabijesz jeszcze tę dziewczuchę... to dziecko... Co za pieski, cholerny zawód”.

— Gdzie on umarł? Gdzie jest jego grób? — zerwała się, okrążyła biurko i stanęła nad kapitanem.

To mu się wcale nie podobało. Zmyliła go. Jej opanowanie było nadal i tylko pozorem.

— Proszę usiąść — powiedział surowo, zbierając całą siłę woli, żeby ją tak potraktować. To nieszczęsne dziecko. — Umarł w kraju, w Warszawie.

— I ja? I ja bym nic o tym nie wiedziała? Przecież mówiłam panu, studiowałam w Warszawie i jeszcze raz wtedy... zrobiłam próbę... Teraz znów wróciłam do Warszawy — urwała i spojrzała przytomniej na kapitana — pan sobie robi ze mnie okrutne żarty. Po co... po co pan tu przyszedł?

— Niestety musiałem, proszę pani, chociaż wolałbym się tu nigdy nie zjawiać. — Nie mógł powstrzymać się od sarkazmu. Był zły na tę kobietę, na to absurdalne zabójstwo, na to, że z reguły dziwaczne rebusy trafiały do niego. — Odszukanie pani było moim obowiązkiem — stwierdził oficjalnie — ponieważ pan Kropiwnicki został zamordowany. Dokładnie trzy tygodnie temu. Pierwszego listopada. A żeby pani nie robiła sobie już żadnych wyrzutów, dodam, że w Warszawie był zameldowany od końca lat pięćdziesiątych.

Jej oczy rozszerzyły się jak u kota wchodzącego w ciemność. Nie zbladła ani nie zemdląła, jak mógł się obawiać. Po prostu powiedziała:

— To ja. Ja go zabiłam. Dwa razy. Ja, której on uratował życie.

Zanim zdążył sobie uprzytomnić, że nikogo nie zabija się dwa razy, jej oświadczenie rąbnęło w niego, jakby połowy swego życia nie spędził w milicji, ponieważ takie rozwiązanie również było możliwe i też brał je w rachubę, chociaż niechętnie i wbrew sobie.

— Ustalmy fakty, proszę pani — powiedział szorstko. Nawet jeżeli raz czy dwa w życiu udało się komuś wyprowadzić go z równowagi, nie cieszył się tym długo. Właśnie teraz z tego powodu odczuł niezadowolenie z siebie, co go zmobilizowało, a także oznaczało dla tej kobiety nieprzyjemne śledztwo. Zupełnie wyrzucił z pamięci jej życiorys, tak należało postąpić od początku.

— Do czego potrzebne są teraz fakty — wzruszyła ramionami — gdybym coś zrobiła wcześniej... gdybym była bardziej uparta i gdybym nigdy nie uwierzyła w jego śmierć, wtedy, zaraz po wojnie, gdybym temu człowiekowi, który kiedyś był u mnie, powiedziała, co wiem, może... może uratowałabym dziadkowi życie.

Pierwszy raz powiedziała „dziadek”. Pozostał więc dla niej zawsze jednakowo bliski i niezapomniany.

— Kto był u pani i kiedy? — zaczął kapitan Korda wyjmując notes, chociaż dawno już nie potrzebował żadnych zapisków. Chciał ją zmobilizować, zmusić jej pamięć do wysiłku, skłonić do ścisłości wypowiedzi, ograniczenia się do istotnych w śledztwie faktów. Osiągnął cel. Już chciała mu pomóc, a to było warunkiem dojścia do prawdy— dla niego.

— Kiedy? — powtórzyła. — Zdałam akurat maturę. Mieszkałam u ciotki Marty w Lublinie. Kto? Właśnie... w tym sęk.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja tego człowieka już raz gdzieś widziałam, chociaż on zachowywał pozory, że jestem dla niego zupełnie obcą dziewczyną.

— Gdzie pani go widziała?

— Właśnie nie jestem tego całkowicie pewna. Nie mogę być pewna, bo poznałam tylko jego oczy. Czy można poznać człowieka po oczach?

— Można — powiedział kapitan z przekonaniem, chociaż daleki był od takiej pewności.

— Jeżeli to był on... to wtedy też widziałam tylko jego oczy. Nad automatem. Celował w nas z pistoletu maszynowego. We rłnie i w dziadka, w kuchni, u Donerów. Ale proszę pana, ja miałam wtedy pięć lat. Czy mogę polegać na sobie? Ja... ja na niczym nie mogę polegać... w ogóle.

— Czy dała pani poznać po sobie temu człowiekowi, że pani mu nie wierzy? Że pani go sobie przypomina?

— Nie. Ja nie mogłam tego zrobić. Bałam się. Przez lata bałam się ciągle, że ktoś stamtąd, z majątku, znajdzie mnie.

— Dlaczego? — zdumiał się kapitan Korda.

— Bo to ja zatrzymałam zegar — powiedziała z trudem i teraz zbladła.

— Może pani chce przerwać na chwilę rozmowę? — zaproponował kapitan.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Nie trzeba sobie folgować. Sprawiedliwość zawsze,

wcześniej czy później, przychodzi do człowieka. To straszne, że dziadek zapłacił za mnie drugi raz. Nie, proszę pana, ja jestem w gruncie rzeczy twarda, nie zemdleję, nie umrę, nie zabiję się.

Kapitan kiwnął głową, bo godził się z jej własnym sądem.

— Jaki zegar pani zatrzymała i w jakim celu?

— Na wieży. To był sygnał. Partyzanci zawsze przychodzili do dziadka o jedenastej wieczorem. Czasem po żywność, czasem na legowisko, na wypoczynek, na cztery, pięć dni. Zawsze czekali za murem parku parę minut. Jeżeli wskazówki zegara stały nieruchomo, na jedenastej, wchodzili wprost do domu. Gdy zegar szedł normalnie, musieliby się wycofać, nie przekraczać nawet ogrodzenia parkowego. Zegar na wieży był wygodny, widoczny z daleka. Nie trzeba było zbyt blisko podchodzić do parku, co zmniejszało ryzyko.

Oszolomienie ogarnęło kapitana. Ten człowiek, co przyszedł na Bródno w nocy 1 listopada, po 28 latach, nie stracił przez taki kawał czasu nic ze swej zaciekłości. Nic nie stępiło w nim przeżyć tamtej nocy, skoro ryzykował ujęciem, pozostając tyle godzin w miejscu zbrodni tylko po to, żeby zatrzymać symboliczny zegar. Nie jeden, kilkadziesiąt! Ten rodzaj zemsty budził nawet w kapitanie zimny dreszcz. Znał bestialstwa dla bestialstw, gwałty dokonywane już na martwych ofiarach. Nie umiał jednak nigdy rozgryźć, zrozumieć zemsty wypreparowanej z emocji i dlatego strasznej, wyrozumowanej, zimnej, nieubłaganej, działającej, jakby ręka wykonawcy była tylko sterowanym przez komputer narzędziem. Żadnego wybuchu, ślepego gniewu, nawet okrucieństwa, które człowiek — mimo wszystko — jest w stanie zrozumieć.

— Nie, nie pojmuję — odezwał się głośno — jakżeż pani mogła wejść na wieżę? Siedmioletnie dziecko. Samo. Mechanizm zegarowy jest dla większych dzieci zagadką.

— Proszę pana — uśmiechnęła się smutno — ja nie musiałam nigdzie chodzić. Dziadek nudził się w majątku. Gospodarka nic go nie obchodziła. Trzymało go tam raz dane słowo. Teraz ja to wszystko wiem, rozumiem i tyle jeszcze innych rzeczy. Dziadek zrobił sobie instalację, wystarczyło tylko opuścić małą dźwignię, bardzo dobrze ukrytą pod parapetem okna, w

korytarzyku prowadzącym na schodki do wieży. To była pasjonująca tajemnica. Tajemnica dźwigni. Przy jej odkrywaniu zabiłam siedemnastu ludzi i dziadka. Razem osiemnastu.

„Dziewiętnastu. Coś się jeszcze stało z Jerzym Kowalikiem tej nocy” — poprawił ją kapitan w myślach.

— I pan chciałby — podjęła z okrucieństwem wobec siebie — żebym przyznała się temu człowiekowi, który mnie znalazł w Lublinie, że mi kogoś przypomina? Kogoś stamtąd!

— Zaraz, po kolei — przerwał jej kapitan Korda. — Ułóżmy to wszystko w jakiejś kolejności faktów. Czy pan Kropiwnicki nauczył panią obchodzić się z mechanizmem zatrzymującym zegar na wieży?

— Skąd, proszę pana. Byłam po prostu zbyt pojętna. Wścibska. Zapomina pan, że przebywałam sama w takim wielkim domu tylko z jednym człowiekiem. Z człowiekiem, który był dla mnie jedyną gwarancją bezpieczeństwa, jakąś pewnością, ratunkiem. Chodziłam za nim jak cień. Nie umiał pozbyć się mnie ani na chwilę. I... nie chciał. On rozumiał, co się we mnie działo. On w i e- działo. Jakie sztuczki urządzał, żeby mnie czymś zająć, gdy musiał dać partyzantom umówiony sygnał. Nie przechytrzył mnie. Podpatrzyłam go. Wszystko umiałam podpatrzeć. Może... musiałam. Jak inaczej mogłabym przeżyć? Przetrwać? Nie dać się nieludzkiemu światu, chociaż byłam taka mała? Instynkt życia w człowieku to potworna siła, równie zabójcza, jak twórcza. Przyczepiłam się do tego człowieka jak polip, jak pijawka, a on... zezwalał na to. Chciał mnie uspokoić, wynagrodzić mi moją samotność, moją krzywdę. Chciał, żebym zapomniała.

Czy pan wie, co to jest, gdy rodzona matka porywa nagle dziecko jak toból i rzuca je w przepaść? To była dla mnie przepaść. Nie rozumiałam, że wylatuję z wagonu i spadam po skarpie kolejowej. Nie rozumiałam, dlaczego mnie wyrzucono. Nic mi nie powiedziała. Nie zdążyła. Pociąg zatrzymał się na kilka sekund, a właściwie, jak dziś wraca do mnie ten moment, wydaje mi się, że tylko zwolnił. Przez tę szparę między deskami można było przepchnąć dziecko. Dziś wiem, że ona nie mogła

skoczyć za mną. Ale dopiero dziś. Dziś — sama mam dzieci. Gdyby przede mną los postawił taki wybór, ja skazałabym swoje dzieci na śmierć. Nie ratowałabym ich za tę cenę. Co ona musiała wtedy myśleć? Moja matka? Wiem, że ja reprezentuję egoistyczny punkt widzenia. Część mego ciała odeszłaby razem ze mną. Ona część swego ciała wyrwała ze siebie. Oddzieliła się ode mnie i to, o czym mówię, nie jest możliwe do zrozumienia dla mężczyzny. Ona się umiała oddzielić ode mnie sama, nie dokonała tego śmierć, wyższy imperatyw, przeciwko któremu człowiek nic nie może zrobić. Ona była bohaterką, a mnie ledwo majaczą się kontury jej twarzy.

Koziółkowałam po skarpie i nienawidziłam jej. Moja nienawiść była ogromna jak świat, chociaż sama byłam jak ludzki okruch. Upadłam twarzą do mokrej ziemi. To mnie otrzeźwiło. Zerwałam się na nogi i zaczęłam biec za pociągami. Wyciągałam ręce, krzyczałam „zabierz mnie”, „zabierz mnie z powrotem”. Widocznie słabo krzyczałam, gardło miałam ściśnięte krzywdą i to było moje i jej szczęście. Żaden konwojent nie wyjrzał, nie zobaczył mnie ani nie usłyszał. A potem nadeszła noc, krzyczałam już bez słów, krzyczałam otwartym gardłem, jak robią to niemowlęta, ze złości, do utraty tchu. Dusiałam się, dławiłam, ale się nie zatchnęłam, bo nie chciałam umrzeć. Przestałam krzyżeć, ponieważ krzyk, który mnie zawsze dotąd ratował, tym razem nic nie pomagał. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam biec drogą, przy torze, obok lasu. Biegłam, dopóki serce pozwoliło i znów zatrzymałam się, bo nie chciałam, żeby mi pękło, nie chciałam umrzeć. Usiadłam na jakimś pieńku, złapałam się kurczowo krzaka. Kalczył mi palce, pamiętam, ale ścisiskałam go, żeby nie spaść z pieńka, nie stracić przytomności, nie zasnąć, żeby widzieć, co się naokoło mnie dzieje. Nie było we mnie już ani krzty siły do obrony, do walki.

Ten człowiek, dziadek, zdjął mnie z pieńka, wziął na ręce i zaniósł do dworu. Był dla mnie więcej niż matką. Matka rzuciła mnie w przepaść, poraniła o kamienie, zostawiła na dworze, samą, w ciemnościach. Zanim wydorostałam, zanim pojęłam, nie miałam matki. Wyrzuciłam nawet jej wspomnienie z

siebie... — Zająknęła się. — Pan mnie słucha? — powiedziała ze zdziwieniem. — A przecież, przecież to moje życie. To nie należy do pańskiej sprawy. Przepraszam pana. Ale opowiedam to pierwszy raz w życiu. Dziadkowi, wtedy, nie umiałam jeszcze niczego wyznać. Brakowało mi słów. Nie potrafiłam przełożyć myśli na mowę, złożyć ich w zdania. Mężowi, dzieciom nie mogę tego opowiadać. Nie — potrząsnęła głową. — Moi najbliżsi powinni zachować łaskę spokojnego snu. A inni ludzie? Inni nie byli na tyle ważni. Siostra Maria, może ona jedna, ale ona żyła w swoim świecie. Nie rozumiała ludzi spoza murów klasztoru. A może... za bardzo rozumiała. To było tam zabronione. Z tymi skłonnościami walczyła. Ze swoją słabością. Wtedy nie można zrobić w sobie dość miejsca dla cudzych słabości.

Nie. Nie szła mu praca. W tej sprawie było dla kapitana absolutnie niemożliwe oddzielenie życia tej kobiety od świadka czy uczestnika zdarzeń, który mógł pomóc śledztwu. I tylko tyle liczył się dla śledczego.

„Chyba nie powinienem był tu przychodzić — pomyślał z rezygnacją. — Tym razem nie. Tamten czas — mimo wszystko — zbyt mocno we mnie siedzi. Jadę tym pociągami, biegnę i krzyczę, lecę z nasypu kolejowego razem z nią i nic nie mogę na to poradzić. Trzeba było przysłać Gablera. Tak, ale Zygmunt załatwiłby ją w trzech słowach. Dostałaby szoku”.

— Dlaczego zatrzymała pani ten parszywy zegar akurat tego dnia i o tej godzinie, a nie kiedy indziej, w pierwszej lepszej chwili? — zapytał z pretensją do siebie i do niej.

— Jak to dlaczego? — zdumiało się w niej jeszcze tamto dziecko. — Ja się nim nigdy przedtem nie bawiłam, ot, tak sobie. Wiedziałam, że to bardzo ważna sprawa. Byłam dzieckiem wojny. Ja siedziałam akurat przy oknie i patrzyłam na park. Był zupełnie ciemny, ale te drzewa, które lubiłam — wyróżniałam. I nagle coś między nimi zaczęło się ruszać. Wydawało mi się, że parkiem przemykają jakieś postacie. Wiedziałam, co to oznacza. Do wizyt uzbrojonych ludzi byłam już przyzwyczajona. Lubiałam je, a dziadek jak na złość zapodział się gdzieś w takiej ważnej chwili, gdy oni do nas szli.

Jeszcze przed minutą siedział w swoim ulubionym fotelu, przy piecu. Za moimi plecami. Tam zawsze majstrował przy zegarach. Bardzo niespokojna, zeskoczyłam z parapetu. Nawet raz zawołałam „dziadku”, ale słyszałam już w parku szelesty, stąpania, szmery, nawet coś, jakby dźwięk metalu. Ogarnął mnie strach, że dziadek zapomniał, nie zdąży zrobić tego, co powinien. Że to musi być koniecznie zrobione, nie miałam wątpliwości. Pobiegłam szybko do korytarza i opuściłam dźwignię. Biegając z powrotem, wpadłam na dziadka. Był blady, trzęsły mu się ręce.

— Ktoś jest w parku — powiedział ze zdenerwowaniem. — Dziecko, ktoś jest w parku!

— To nic, dziadku — powiedziałam z dumą — to nic Nie bój się. Nie bój się, nie bój, ja już wszystko zrobiłam, co trzeba. Za ciebie.

— Co? Co zrobiłaś? — wybełkotał i myślałam, że ten człowiek padnie, że trafi go apopleksja. Chciał biec tam, do tego korytarzyka, ale chwiał się dziwnie, jakby jego nogi zakleszczyły się o ziemię, a korpus miał się zaraz oderwać i runąć do przodu. Odepchnął mnie tak, że poleciałam ze dwa metry i uderzyłam głową o ścianę. Sadził jakieś susy, jak kangur, ale tamten dom miał olbrzymi hall. W ogrodzie w tej samej chwili rozpętało się piekło. Strzały, szczekanie psów, o, to ja dobrze znałam. Olbrzymi cień mężczyzny w hełmie stanął na tle szyby, wybił ją automatem i serią z karabinu strącił karbidówkę ze stołu. Po ciemku, wśród gwizdzących kul biegłam do stołowego. Tam był kredens... więcej już dziadka nie zobaczyłam — dodała ciszej — nigdy.

„Więc wiedział — pomyślał kapitan. — Wiedział, jak to się wszystko stało. Wyszedł dzięki powinowactwu z Donerami. Musiał być silny ten Doner w okupowanym Wiedniu. Zadziałało samo nazwisko. Teraz jest zupełnie jasne, dlaczego nie szukał nikogo z dawnych lat. Dlaczego na koniec życia zapadł w tym drewniaku na Bródnie, zdziwaczał, nie chciał mieć żadnej rodziny, krewnych. Dziecko, które pokochał, przyniosło pod jego dach potworne nieszczęście. Zbrodnię. I — niczego nie rozumiało. Mógł żyć sam, miał fach. Bardzo dobry,

zastępczy fach, który na dodatek lubił. Jedno, co mu zostało z innego lepszego życia to pasja kolekcjonerska”.

Kapitan zauważył, że doktor Bojarska jest zmęczona. Po tylu latach, z wyboru, świadomie oddawała się w jego ręce. Żadna siła nie mogłaby doprowadzić do rozwiązania zagadki zegarmistrza, gdyby ta kobieta tego nie chciała. Gdyby postanowiła bronić siebie do końca. Poza nieżyjącym Kropiwnickim ta tajemnica była wyłącznie jej tajemnicą. Rzeczywiście kochała tego człowieka, chociaż musiała go równie słabo pamiętać, jak matkę.

— Żyłam tyle lat ze świadomością, że wydałam dziadka w ręce gestapo, proszę pana. To po prostu gestapo weszło do ogrodu. Myślałam, że jak zawsze partyzanci, a dziadek zapomniał o naszej dźwigni. Już rozumiałam, że to źle. Że może stać się coś niedobrego. Byłam doświadczonym dzieckiem. I pan mi teraz mówi, że ktoś go odnalazł po tylu latach i zabił. Za co? Przecież to jasne!

— To jeszcze nie jest wcale jasne — zwrócił jej surowo uwagę kapitan. — To jest tylko jedna z możliwości. — Ale nie wierzył w to, co mówił, bo za takim rozwiązaniem przemawiały zegary w drewniaku zegarmistrza.

— Wróćmy do człowieka — przypomniał — który odwiedzał panią w Lublinie. Kto to był według pani?

— Jeden z tamtych, partyzantów — powiedziała już z przekonaniem.

— To się nie godzi z faktami. Wszyscy zginęli.

— A jednak to mógł być tylko on! Czym wytłumaczyłby pan sobie w przeciwnym razie wszystko, co ja sama później zrobiłam? Uciekłam od przyzwoitych ludzi. Męczyłam się na studiach jak potępiona, pilnowałam małych dzieci, myłam okna, dawałam korepetycje i wszędzie szły za mną te oczy. Nawet nie pisałam do ludzi, którzy zrobili ze mnie to, czym jestem. Obawiałam się, że on tamtędy za mną trafi. Tylko dwa razy nie wytrzymałam, ruszyło mnie sumienie. Kiedy zrobiłam dyplom i wyszłam za mąż.

— Ale czego pani się tak bała? — zastanowił się głośno kapitan. — W języku prawa, w duchu prawa istnieje pojęcie

działania w dobrej wierze. Ono ma swoją moc łagodzącą w stosunku do osób pełnoletnich, cóż dopiero mówić o dziecku. W pani wypadku nie było nawet mowy o nieletniej. Pani była po prostu nieświadomym sytuacji, czy strasznego zbiegu okoliczności, dzieckiem. Poza tym ten człowiek szukał Kropiwnickiego, a dziadek, pani zdaniem, nie żył.

— Czego się bałam? — roześmiała się śmiechem, który szarpnął nerwami Kordy. — Zabił pan osiemnastu ludzi? Siedemnastu chłopców, którzy dopiero zaczynali życie? Ukochanego człowieka? Oni za mną szli. To jest irracjonalne. Tego się nie da nikomu wytłumaczyć. I nie potrzeba — dodała ciszej — to jest sprawa, którą człowiek musi rozstrzygać tylko sam ze sobą. I nigdy jej nie rozwiąże.

„Może i dałoby się to komuś wytłumaczyć — powiedział do niej kapitan w myślach. — Może właśnie rozwiązujesz raz na zawsze swoją sprawę, tylko jeszcze teraz o tym nie wiesz. W tej chwili”.

— Zresztą — dorzuciła nie patrząc na swego rozmówcę — zawsze istniała ta jedna szansa na milion, że ktoś to ze mnie wyciągnie. Krzyczałam we śnie, po nocach. Czy pan sobie może wyobrazić, co działo się z dorastającą już dziewczyną, gdy w chwilach takiej straszliwej jasności, którą ludzie dorośli nazywają somowiedzą, przychodziło jej do głowy, jak patrzyłoby na nią społeczeństwo, matki i ojcowie innych synów, którzy polegli na tej wojnie, gdyby sobie uprzytomnili, że rozmawiają, siedzą przy stole, pomagają i lubią kogoś, kto jest sprawcą nieszczęścia takich samych matek i ojców, jak oni. Ciocia Marta straciła na wojnie też dwóch synów. I czy to miałyby dla tych ludzi znaczenie, że ja byłam czy jestem ofiarą tej samej wojny? Bo ja przecież żyję. Ja. To tamtych nie ma i nic już tego nie zmieni. Serca ludzkie i pamięć są i będą zawsze z tamtymi. Ludzie są i będą po ich stronie. To jest słuszne, to jest sprawiedliwe. Moja sprawiedliwość, jak pan sam powiedział, może być tylko sprawiedliwością prawa. Martwego, suchego i obiektywnego. Ale życie, zwykłe życie, nie jest obiektywne, panie kapitanie.

„Nie jest. Masz rację — przyznał jej Korda w duchu. — Ale

już nie powinnaś więcej mówić ani się oskarżać, bo dla mnie istnieje tylko obiektywna sytuacja prawna. I ja jestem po twojej stronie. I jeszcze... powinnaś raz z tym skończyć, bo trzeba zamykać sprawy, które się dokonały. Tak jak wyrok zamyka przewód sądowy, jak odbycie kary zmazuje winę. Odpowiedzialność moralna też ma swoje granice. Bez nich człowiek nie mógłby z niczego wybrnąć. Według mnie, ty swój rachunek spłaciłaś.”

— Niech mi pani spróbuje powiedzieć coś bliższego o tym człowieku z Lublina — zaproponował kapitan tonem wyłączającym osobiste akcenty tej niełatwej dla doktor Bojarskiej rozmowy. Zauważył, że przestawiła się chętnie i szybko na nowy tok dialogu.

— Wydawało mi się, że wtedy w kuchni Donerów jeden z ludzi nazwał go imieniem Franek. Ale to panu nic nie pomoże — ciągnęła, już od dłuższego czasu nie patrząc na kapitana Korde, i dlatego nie widziała wrażeń, jakie to imię na nim wywarło — po prostu dlatego, że oni wówczas używali tylko pseudonimów. Ten pseudonim nie zaprowadzi pana do konkretnego człowieka.

„Tak, to byłoby w istocie trudne — pomyślał Korda - bo Kazimierz Olenderczyk, pseudonim Franek, od 28 lat spoczywa na cmentarzu położonym nie opodal parku, w którym zginął. Chociaż możliwe, że zaprowadzi, nie mogę tego stwierdzić teraz zupełnie kategorycznie. Mogę natomiast stwierdzić co innego. Ta kobieta jest bezpieczna. Myliłem się, sądząc, że może jej coś grozić. Ów hipotetyczny Franek nie będzie jej więcej szukał. Nie ma powodu. Znalazł swego zdraycę, donosiciela, wymierzył mu sprawiedliwość. Sprawiedliwość! Mój Boże, co wynika z prywatnej, osobistej sprawiedliwości, nawet zbiorowej, ale opartej na bezprawiu?”

Mimo to raczej z nawyku niż z potrzeby powiedział.

— Gdyby on się zjawił, gdyby go pani kiedykolwiek i gdziekolwiek rozpoznała, proszę nas natychmiast zawiadomić.

Jej spojrzenie ściemniało niebezpiecznie i kapitan pomyślał, że byłaby piękną dziewczyną, czarniawą, o smagłej cerze i złotawopiwnych oczach, gdyby nie ów ton w jej rysach, właśnie

niebezpieczny, przynoszący i budzący niepokój.

— Może pan być pewien, że zrobię to... tak. Zrobię.

Nie mógłby postawić lepszego stróża obok tego nieznanego mężczyzny, gdyby on tylko zechciał dać jej się kiedykolwiek rozpoznać. Gdyby sprawił to przypadek.

Rozdział XV

Irena zapragnęła na tę uroczystość sukni z Warszawy i zażądała, żeby z nią jechał. To było dla niego zrozumiałe. Nawet przy skromnych środkach, jakimi rozporządzali, chciała mieć na swój ślub tę jedną suknię, którą się pamięta.

Już w hotelu przyszło mu do głowy, że mógłby wykorzystać czas i pojechać na Bielany. Irena miała i tak do załatwienia parę drobnych spraw, które go nużyły i wcale nie interesowały. Pętałby się za nią tylko po mieście, coraz bardziej zły, co musiałyby skończyć się sprzeczką. Irena zaraz mówiła w takich razach, że on nie umie brać udziału we wspólnym życiu, nic go to nie obchodzi. Jego nie interesowały tylko drobiazgi wspólnego życia, czego za nic na świecie nie chciałby jej tłumaczyć, ponieważ ona nie widziała różnicy między drobiazgami, a sprawami ważnymi, skoro były właśnie wspólne. Wolał więc unikać takich sytuacji.

„Diabli wiedzą, dlaczego kobiety nie mogą zdać sobie z tego sprawy? — pomyślał. — Ba, gdyby zechciały, musiałyby wyciągnąć z tego niekorzystny wniosek. W gruncie rzeczy rzadko która kobieta może poświęcić pracy tyle czasu i sił, ile zawód rzeczywiście wymaga. Irena jest jednak dawno pogodzona ze swoją ułomnością. Należy jeszcze do starego pokolenia kobiet, co mi bardzo odpowiada. W niektórych domach można teraz zawiesić w powietrzu siekierę. Wszyscy chcą zrzucić z siebie obowiązki domowe. Niepojęte, jak ludzie mogą wytrzymać w takiej atmosferze”.

Tramwaj zatrzymał się przed szpitalem, prowadził do niego kilkudziesięciometrowy podjazd, dobry przykład marnotrawstwa miejsca. Portier nie chciał go wpuścić na górę, pokonał

tę przeszkodę przy pomocy kopernika. Wdrapał się na czwarte piętro. Doktor Bojarska siedziała w pokoju lekarskim i poznał ją od pierwszego rzutu oka, chociaż minęło następnych osiemnaście lat.

Podniosła się wolno na jego widok. Zdawało mu się, że spowodował w niej swoją wizytą coś podobnego do paraliżu wszystkich władz umysłowych i fizycznych. Nie spodziewał się takiej reakcji i nie umiał jej sobie niczym wytłumaczyć. Przez krótką sekundę miał chęć ucieczki, ale rozsądek podpowiadał mu, że to by pogorszyło tylko sytuację.

„Morderca — myślała kobieta. — Przyszedł, żeby zrobić to samo ze mną. Telefon. — Utkwiła wzrok w tarczy przedmiotu, który stał przy niej na biurku. Wystarczyło wyciągnąć rękę. — Zawołać o pomoc? Na korytarzu są siostry. Usłyszą mnie. Nie mogę teraz, przy nim, brać za słuchawkę. Nie mogę podnosić alarmu w szpitalu. Taka historia mogłaby kosztować mnie wszystko, co z takim trudem zdobyłam. Ile lat walczyłam o miejsce na tym oddziale?”

— Pani irnie nie poznaje? — usłyszała głos, który dźwięczał czasem we śnie.

— Niezupełnie — odpowiedziała i zdziwiła się, że jej własny głos wydobył się z gardła normalnie, bez żadnego specjalnego zabarwienia. Dodało jej to otuchy. — Bardzo duża ilość pacjentów przechodzi przez moje ręce — wyjaśniła. Odzyskiwała spokój. To było absurdalne, strach, nic nie mogło się stać w biały dzień, w szpitalu pełnym ludzi.

„Ten człowiek nie mógł tu przyjść z takim zamiarem. Wybrałby inną porę i miejsce. Więc po co przyszedł?”

— Nigdy nie byłem pani pacjentem. Widzieliśmy się raz w życiu. W Lublinie. I to było bardzo dawno. Przypomina pani sobie?

„Dwa razy w życiu — poprawiła go w myślach. — Widzieliśmy się dwa razy w życiu. A ten jest trzeci”. Uniosła brwi, co miało oznaczać, że próbuje, sobie przypomnieć.

— Ach, przychodzi pan do mnie prywatnie? Tylko widzi pan, ja w szpitalu nie mam czasu na wizyty tego rodzaju. Tutaj się pracuje.

— To nie będzie długo trwało — wtrącił szybko.

Rozważała sobie równie szybko dwa warianty rozegrania sprawy. Mogła odesłać go zaraz do poczekalni dla odwiedzających. W rannych godzinach było tam zupełnie pusto. Mogła się z nim umówić gdziekolwiek poza szpitalem. W jednym i w drugim wypadku zyskiwała swobodę ruchów, czas potrzebny na zawiadomienie milicji. Niesłychane, niepojęte i nie do wiary, ale ten człowiek przyszedł do niej sam, w parę dni po wizycie kapitana z milicji. Coś jej się w tym wszystkim nie zgadzało, było nielogiczne. Jako lekarz posiadała instynktowne wyczucie fałszywej diagnozy, ale nie miała się czasu dłużej nad tym zastanawiać.

„Wypuścić go? — pomyślała. — W żadnym wypadku. Mógłby nie wrócić, zwłaszcza że zauważył wrażenie, jakie na mnie od razu wywarł. Trudno. Muszę szybko decydować. Sama”.

— Dobrze, proszę pana — odezwała się uprzejmie — niech pan wyjdzie na korytarz.. Z lewej strony jest poczekalnia dla odwiedzających. Proszę tam na mnie poczekać. Zaraz przyjdę. Gabinet jest, niestety, zajęty. Za pięć minut zjawi się tu ordynator na radę oddziałową. — Spojrzała na zegarek. Plotła niesłychane głupstwa, nie troszcząc się o ich prawdopodobieństwo, ale nie mogła pozbierać myśli, podać jakiegokolwiek powodu, dla którego byłby natychmiast potrzebny pokój dyżurnego lekarza. Żaden człowiek jednak z zewnątrz nie orientował się w życiu, organizacji i zwyczajach szpitalnych. Mogła mówić byle co. Nieoczekiwanie dla siebie, została sama. Nie myślała, że pójdzie jej to tak łatwo. Ten człowiek opuścił gabinet natychmiast, bez słowa, skinąwszy tylko głową, nie zdradzając żadnych obaw. Złapała z biurka książkę telefoniczną i zaczęła ją gorączkowo kartkować na literze „M”. Nie mogła niczego odczytać, nie widziała tytułów informacyjnych. Wykaz telefonów wydał jej się gąszczem niezrozumiałych, zagmatwanych znaków, ułożonych bez żadnego sensu i planu, których nigdy przedtem nie próbowała rozszyfrować. Trzęsły jej się ręce. Obawiała się, że ktoś nagle wejdzie, wywoła ją do chorego.

„Boże, przecież numer milicji jest zawsze na pierwszej

stronie książki, wybity tłustym drukiem. Osobno. Co ja robię?” Rozłożyła przed sobą książkę i sięgnęła po słuchawkę. Wykręciła numer. Rozległ się pojękliwy sygnał. Niecierpliwie, gwałtownie rzuciła słuchawkę na widełki. „Czy on tam jeszcze jest? — zastanawiała się febrycznie. — Jeżeli poszedł?” Zerwała się od biurka, zostawiając za sobą otwarte drzwi gabinetu, pobiegła wzdłuż korytarza. Zobaczyła go przez oszklone, rozsuwane drzwi poczekalni. Siedział spokojnie przy stoliku. Zauważył ją, musiała coś zrobić, powiedzieć, stanęła w progu poczekalni.

— Jeszcze chwileczkę, proszę pana — uspokoiła go — muszę jeszcze wpaść pod siódmkę do pacjenta.

Nie zareagował wcale na jej słowa. Już spokojnym, coraz wolniejszym krokiem wracała do gabinetu. Spojrzała na otwartą książkę, na telefon. Żółwym krokiem zbliżyła się do biurka.

„Nie. Morderca się tak nie zachowuje — stwierdziła kategorycznie. — Żaden. Po co miałby przychodzić do mnie jeszcze raz, gdyby odnalazł dziadka, skończył swoje sprawy. Nic przecież o mnie, o tamtym, o tym, co się naprawdę stało tego wieczoru w parku, nie wie. Nie może wiedzieć. Gdyby to on zabił dziadka, odwrotnie, nigdy nie pojawiłby się więcej przede mną. Zacieralby ślady. Uciekałby ode mnie jak najdalej. W biały dzień szuka mnie w szpitalu. Muszę się dowiedzieć, czego chce. Sama. I czy to naprawdę był on? Wtedy? Rozpalaliśmy z dziadkiem piec. Pokazałam dziadkowi, gdzie kucharka trzyma naftę. Nie mogę być pewna, i nigdy nie będę, czy to był on. Czy to ja jego wtedy widziałam. Ale mam okazję się upewnić i mogę to zrobić tylko sama”. — Zdecydowanym ruchem odwróciła się od telefonu i wyszła na korytarz.

— Już jestem, proszę pana.

Podniósł głowę i znów te oczy, badawcze, twarde w wyrazie przeszyły ją lękiem dawnego przypomnienia.

— Sporo lat minęło, prawda? — powiedział ni stąd, ni zowąd.

„Od czego — zapytała się siebie w popłochu. — Co masz na myśli?” Milczała.

— Czy pani nigdy, po mojej wizycie w Lublinie, nie trafiła na

ślad pana Kropiwnickiego?

— Ach, więc to pan? — uśmiechnęła się, udając, że dopiero teraz nareszcie wie dokładnie, kogo ma przed sobą. — Nie, proszę pana, nie udało mi się.

— Ale teraz już pani sobie mnie przypomina? — zapragnął się upewnić.

— Owszem. Tak.

— Sprawa, widzi pani — podjął — skomplikowała się.

Pani Donerowa zmarła w Wiedniu — bluffował. — Został po niej majątek. Niewielki zresztą. Żyli z tego, co mieli, co uratowali z Polski, jak pani sama rozumie. Pewną część tego majątku pani Donerowa zapisała kuzynowi, panu Kropiwnickiemu.

— Od tego są sądy — zauważyła lekarka spokojnie. — Postępowanie spadkowe wszczyna sąd. Dziadek zginął. Sąd musi to potwierdzić i dalej wszystko jest już zupełnie proste.

— Tak — zniecierpliwził się — wiem o tym. Ale rodzina próbuje też coś ustalić. Na własną rękę. To zrozumiałe, chodzi o pieniądze. Przejdą na dalszych krewnych w razie, gdyby udało się z całą pewnością stwierdzić śmierć pana Kropiwnickiego.

Patrzyła na mężczyznę siedzącego przed nią z lekarskim skupieniem. „Czy można domagać się spokojnie wiadomości o człowieku, którego się parę tygodni temu zabiło? Niemożliwe”. Lekarz wie jednak, że w ludzkim życiu wszystko jest możliwe. Jeżeli więc tak bywa, to jak wydobyć z niego prawdę? Jak?!

— Ja, proszę pana, nie mogę potwierdzić śmierci pana Kropiwnickiego — powiedziała wolno. — Ja jej po prostu nie widziałam. Pan ciągle przychodzi pod zły adres. Niech pan szuka ludzi, którzy ocaleli wtedy z gestapo, może oni będą wiedzieli o dziadku coś pewniejszego. Ma pan jakieś listy od rodziny Donerów? — spytała nagle i zupełnie nieoczekiwanie dla mężczyzny, ponieważ poprzednią myśl prowadziła w zupełnie inną stronę. Przez mgnienie oka wydawał się zaskoczony żądaniem, ale natychmiast zdziwił się i to zupełnie szczerze.

— Przy sobie? Nie. Nie sądziłem, że mogłyby zainteresować

panią listy nieznanym ludzi.

— A cóż w tym dziwnego? Domaga się pan ode mnie informacji w imieniu jakichś ludzi, których nie znam, nie wiem nawet, czy egzystują lub egzystowali — zauważyła oschle. — Robi pan to już drugi raz. Wraca pan znów po tylu latach. Wie pan, gdzie jestem, co robię, a ja przecież nic nie wiem o panu.

— Czy mam okazać pani dowód osobisty? — zauważył z ironią i sięgnął do kieszeni. Dokumentu jednak nie wyjął, czekał na jej potwierdzenie. Nie przyszło, nie śpieszył się więc z formalnościami. — To nie jest wcale trudne — dodał — ustalić czyjś adres. Idzie się po prostu do Biura Ewidencji.

„A jednak w moim wypadku to było dość trudne — pomyślała. — Kłamiesz. Ja wyjechałam z Lublina bez wymeldowania. Musiałam zadać sobie później sporo trudu, aby wmówić w ludzi, że ostatnim miejscem mego pobytu był klasztor. I można było tego dokonać tylko przy powojennych trudnościach, ludzkim znużeniu, u wszystkich jednakowej chęci uładowania i tak zawikłanej przeszłości. Niejeden urząd bardzo mało mógł ci pomóc. Musiałeś się cholernie starać. Udawał tylko, że chce mi pokazać dowód. Ale ó co on gra? Mogę jeszcze wrócić do sprawy dowodu osobistego. Będę znać jego nazwisko i miejsce zamieszkania. To im wystarczy. Ale mogę go też w ten sposób spłoszyć i nic się nie dowiem z tego, na czym mnie zależy. Wtedy, w Lublinie mruknął mi jakieś nazwisko. Nie interesowało mnie. Byłam śmiertelnie wystraszoną sikorką. Dzieckiem nękanym koszmarami. O nic nie pytałam. Chciałam tylko, żeby sobie prędzej poszedł. Długo nie mogłam złapać koniecznej do normalnego życia równowagi. Chyba do ślubu. To Andrzej wyleczył mnie z lęków. Dzieci. Dzisiaj ten człowiek nie musiał mi się już przedstawiać. Uważał, że zrobił to wtedy, w Lublinie. Niby wszystko w porządku. I nieważne. Można mieć byle jakie dokumenty. Każde, jakie się zechce. Na każdą okazję inne, jeżeli to już jest komuś potrzebne”.

— Niestety, proszę pana — odezwała się tonem kończącym rozmowę — szkoda tracić czasu. Pacjenci na mnie czekają. Nie jestem panu więcej potrzebna, skoro nie mogę wnieść niczego

do misji, którą znów obarczyła pana rodzina Donerów.

— Chwileczkę — tak dobrze znane oczy zabłyśły niebezpiecznie. — Chwileczkę, proszę pani. Za dużo brudnych spraw kryje się za aresztowaniem pana Kropiwnickiego, żebym mógł jeszcze raz odejść z niczym.

Ogarnęło ją lekkie podniecenie, graniczące z obawą, ale nie chciała i nie mogła wycofać się z gry, jaką podjęła. W tle przeszłości, daleko, rysowała się postać człowieka, którego kochała w życiu najbardziej. Tak, jak tylko małe dziecko to potrafi. Dziadek został przez życie okrutnie doświadczony, podobnie jak ona. Strasznie zginął. W znaczeniu szerszym, decydującym o reszcie jej własnego życia, nie musiała się już niczego bać. Jej tajemnicę miał już w ręku wymiar sprawiedliwości, przestała być tajemnicą. W jej życiu nie kryła się już żadna groźba. Było czyste. Za przeszłość, za straszny przypadek nikt jej już nie mógł sądzić. Żaden człowiek, ani ten, ani ktokolwiek inny.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że ja mam coś wspólnego z tragedią dziadka? Dlaczego? Na jakiej podstawie? Dziadka zabiło gestapo — dwa ostatnie słowa wymówiła z naciskiem bacznie śledząc mężczyznę.

— Ja nic nie chciałem powiedzieć. Ja szukam — odezwał się z wysiłkiem. — Pani tam wtedy była,... może pani coś wiedzieć.

Tracił równowagę, wielokrotnie obserwowała to u ludzi chorych i teraz stawiała tylko diagnozę.

— A gdybym panu powiedziała, że wiem? — zaryzykowała.

Przechylił się gwałtownie do przodu, ogarniało go podniecenie.

— Przedtem jednak pan mi powie, skąd pan tak doskonale zna koleje mego losu? Tak dobrze wie, gdzie mnie szukać. To chyba uczciwy warunek, prawda?

Opanował się, stał się czujny, znikła gorączka z jego oczu. Roześmiał się nieomal swobodnie.

— Przecież od czegoś trzeba zaczynać. W 53 roku dostałem list z Wiednia. Musiałem coś tym ludziom odpisać. W tym celu trzeba było pojechać do dawnego majątku Donerów — kłamał — kręciłem się wówczas parę dni w pegeerze. Ludzie, proszę

pani, nie rozplywają się w powietrzu. Wiedzieli, że tamtej nocy we dworze był tylko pan Kropiwnicki z dzieckiem. Znali historię dziecka. Dawny administrator, Dębowski, umieścił panią przecież w klasztorze.

To brzmiało dla niej prawdopodobnie. Nie mogła wiedzieć, że Dębowski nikomu się ze swego kroku nie zwierzał i że siedzący przed nią mężczyzna musiał dokonać nie byle jakiej pracy, aby ją odnaleźć. Nie mogła przypuszczać, że na tę pracę zakończoną strzałem w Dzień Zaduszny poświęcił połowę swego życia.

— Gdyby mi pani powiedziała, co pani wie — nalegał — może szybciej doszlibyśmy do ostatecznego zamknięcia przewodu spadkowego po Donerowej. — Znów coś błędnego zapaliło się w jego oczach, ale mogło jej się tylko tak zdawać.

„Co zrobi, gdy powiem mu prawdę?” — zastanawiała się. Od dłuższego czasu wiedziała, że powie mu to, co powinna mu była powiedzieć wówczas, w Lublinie i czego nie zrobiła z lęku, z głupoty, z poczucia winy.

— W tej sprawie, aresztowania dziadka — powiedziała wolno — nie kryło się nic brudnego. Po prostu straszna omyłka. I jeszcze straszniejszy przypadek. Dziecko, któremu ten człowiek uratował życie, zatrzymało po prostu zegar na wieży. Chciało dać znak partyzantom w ogrodzie. A tam weszło właśnie gestapo. I... — nie dokończyła. Coś potwornego działo się z człowiekiem, który z nią rozmawiał. Zapadał się w sobie, malał, szarzał, ginął.

„Nie — stwierdziła zimno — ja, lekarz, nie będę cię ratować. Zapłać. Prawo domaga się życia za życie. Więc to ty, Franek. Nie omyliłam się. Byłam dzieckiem, które miało pamięć wypaloną ogniem, terrorem i zbrodnią. Takie ślady nie znikają. Z taką pamięcią ciężko żyć, ale taka pamięć do czegoś się przydaje”.

Nagle dotarła do niej prawda, pewność, że ma przed sobą zabójcę. I ta ręka, która kurczowo trzymała się teraz stołu, z osuwającymi się z tej — rzeczywiście ostatniej — deski ratunku, palcami, nacisnęła spust pistoletu. Zabiła dziadka. Najdroższego, jedyne, niezapomnianego. Czy mogłaby,

wyciągnąć swoją rękę i chwycić tego mężczyznę na przykład za gardło? Przeniknął ją dreszcz odrazy, odsunęła się daleko od stołu. Nie chciała siedzieć zbyt blisko niego, bo nie mogła mu niczego wybaczyć ani darować, jakkolwiek poczuwała się do współwiny. Obserwowała go uważnie, po lekarsku, jakby poddawała go klinicznemu badaniu albo dokonywała sekcji zwłok. Ile sekund, minut mogło to trwać? Nie wiedziała, nie wiedzieli oboje. Zauważyła tylko, że on ma znów otwarte oczy, szeroko wpatrzone w nią, jakby oglądał ducha.

— Zrobiło mi się chyba słabo — wyjąkał. — To już drugi raz. Niedawno też... chyba serce. Mam coś nie w porządku z sercem.

— Możliwe — własny głos wydał jej się uderzeniem metalu o szkło.

Podniósł się z trudem, niczego mu nie ułatwiała, ale i nie przeszkadzała. Przez chwilę widziała jego wahanie. Nie był pewny, czy ona pozwoli mu odejść. To było dziwne, jakby wszystko o sobie nawzajem wiedzieli, chociaż niczego, co było naprawdę ważne, nie dotknęli ani jednym słowem. A mimo to — wiedzieli. Doktor Bojarska nie musiała się nad tym zastanawiać, tak jak nie chciał czynić tego mężczyzna.

Kobieta wstała i bez słowa wyszła z poczekalni, zostawiając go chwiejącego się niepewnie obok stolika, przy którym siedzieli i rozmawiali. Nic jej nie obchodził, absolutnie. Co robi i jak sobie poradzi ze sobą. Wyjdzie stąd o własnych siłach czy nie. Nie oglądając się szła korytarzem, weszła do pokoju lekarskiego, zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie ciężko. Sama nie czuła się dobrze. Dziwna bezwładność obejmowała ręce, nogi. Przymknęła oczy, starając się opanować tę mdłość, która ją powoli, bardzo powoli odsuwała od rzeczywistości. Szarpnęła się kilka razy, szeroko otworzyła oczy i sztywno ruszyła do biurka. Widziała tylko telefon i na tym przedmiocie skupiła uwagę, dopomagając sobie w ten sposób w odzyskaniu równowagi. Telefon nawoływał i żądał od niej spełnienia danego słowa. Położyła rękę na słuchawce.

W mechanicznym półobrocie ciała, znalazła się profilem do szyby. Wzrok równie nieświadomie powędrował na podjazd,

przed szpital. On tamtędy szedł. Włókł się w rozpiętym palcie, bez nakrycia głowy, jak pijak. Zdjęła rękę ze słuchawki, oparła się o parapet okna, przykładając czoło do szyby.

„I co? — pomyślała. — Jaką to będzie karą? Więzienie. Nie, niech on z tym idzie. Niech walczy przez resztę życia ze swoją przeszłością, z tym czynem, ze swoim sumieniem. Niech pozna ten smak: Życia. Nie zajdzie daleko. On — nie zajdzie. Nie ma dla niego żadnych okoliczności łagodzących. Zrobił to świadomie. 28 lat! Dojrzały mężczyzna mógł przez 28 lat nosić w sobie taką zemstę. Niech sobie idzie. Niech zapłaci za mnie. Za mnie — też. Za wszystko, co ze mną zrobili”.

Mężczyzna rozglądał się po ulicy, więcej instynktownie niż świadomie skierował kroki w kierunku mostu Śląsko-Dąbrowskiego, w stronę Pragi, na Bródno.

„Gdzie ja muszę pójść — myślał — gdzie ja muszę teraz pójść? Irena?... Nie... Którędy dojść do mostu?”.

Rozdział XVI

Leżał w ubraniu na hotelowym łóżku, nie zdjął nawet butów. Ogarnęła go ogromna ulga, gdy nie zastały tu Ireny. Nie mógłby zamienić z nią ani jednego słowa, nie chciał widzieć nikogo, żadnego znajomego, przyjaciela, wroga, nawet pokojówki hotelowej. Chciał być sam. Sam. SAM. Na wieczność, do końca świata. Nie mieć mózgu, pamięci, oczu, węchu ani dotyku. Ciągłe czuł zapach szpitalnego lizolu i chropowatość desek bródnowskiego drewniaka. Domek stał pusty, zamknięty, rozpadnie się za parę miesięcy i Dzielnicowa Rada będzie miała ten kłopot z głowy. Oczyszczi się plac z próchna, poszerzy o sąsiednie posesje, wyrówna, splantuje teren i przyszykuje miejsce pod dom ze stali i szkła.

„Po mnie już też czas zrobić miejsce — pomyślał. Gwałtownie zapragnął poczuć jeszcze raz w ręku zimny, gładki uchwyt starej parabelki. Tak mocno, jak nigdy w życiu, w żadnych okolicznościach, nawet wówczas, gdy była jego jedyną obroną, jakąś gwarancją przetrwania do końca wojny. Przed

otwartym oknem, gazem cofała się jego wyobraźnia. Za dobrze pływał. Ten jeden ruch wskazującym palcem mógłby go uwolnić od siebie, od przyszłości, teraźniejszości i przeszłości. Pragnął śmierci jak niegdyś dziewczyny, Baški. Śmierć nie chciała przyjść i nie miał jej sobie czym zadać. Utopił parabelkę w głębokiej rzece, żeby już nigdy z tej broni nie wystrzelić.

„Byłem durniem, jestem durniem. Człowiek urodzony do broni powinien z bronią albo od broni umierać. Jestem teraz bezradny jak niemowlę. Kiedyś, o którejś godzinie nadejdzie Irena, a ja nie chcę, żeby cokolwiek dla mnie nadeszło”.

Przewrócił się na łóżku i wbił twarz w poduszkę, aby nie widzieć różowych ścian pokoju, widoczku z Kolumną Zygmunta, wiszącego na wprost jego głowy. Ale razem z wyeliminowaniem wrażeń, pochodzących ze świata zewnętrznego, uderzyła w niego fala przeszłości. Zabójcza fala. Wcisnął głowę jeszcze mocniej w poduszkę, żeby nie krzyknąć.

Stąpał lekkim krokiem po mokrych liściach w alejce parkowej. Koło niego oddychało 17 chłopców, tłumiąc szelesty i łowiąc szelesty czujnym, wyrobionym w stałym kontakcie z naturą, słuchem. Zegar na wieży białął w mroku jak tarcza księżycy. Zatrzymali się pod murem parkowym. Nic nie mąciło ciszy nocy. Obok niego stał Jurek Kowalik. Zabrał się z nimi, gdy przechodzili obok folwarku. Przynosił im czasem wiadomości do lasu, znał ich meliny, informował o niemieckich posunięciach. Świerk nic nie miał przeciwko temu chłopcu. Zegarmistrz lubił go. We dworze można było pojeść i wygrzać się przy piecu.

Zamkniętymi oczami, zagłębionymi w poduszce, widział białą tarczę zegara. Nieruchome wskazówki.

— Wystarczy — odezwał się nagle głośno Świerk — możemy iść.

Na jego własnym, ręcznym zegarku z fosforyzującymi cyframi było pięć po jedenastej. Któryś z chłopców roześmiał się cicho i trącił gałąź. Poleciały z góry grube krople.

— No i czego? — odezwał się Świerk — nie dość ci mokrych szmat na skórze? Dowcipniś!

Byli jak szczeniaki. Byli szczeniętami, które trzymały w

rękach automaty, mieli groźne gęby i zapadłe policzki, w głębi siebie pozostali chłopcami, otrzepującymi innym na plecy deszcz z mokrych gałęzi.

— Jezu — jęknął mężczyzna, leżący na łożku, i skulił się, jakby chciał uniknąć ciosu.

Nie uniknął, wybuch gęstych serii z broni maszynowej przydusił ich do ziemi. Ogień szedł spomiędzy drzew. Nie byli sami w parku. Zaczęli ostrzeliwać się na oślep, próbując poderwać się z ziemi i wycofać z powrotem do parkowego muru.

Pierwszy cień, jaki wspiął się na mur, odpadł z niego jak alpinista od ściany i frunął w dół z rozkrzyżowanymi rękami. W parku rozpętało się piekło walki. W ciągu minut pojęli wszyscy i każdy z osobna, że są otoczeni, zamknięci w parkowym kotle. Popelnili zbiorowy błąd, sądząc, że szanse na ratunek ma tylko pojedynczy człowiek. Na próżno Świerk usiłował przekrzyczeć zgrozę zaskoczenia w ciemnościach, huk wystrzałów, pokonać panikę. Jego głos ginął w rozjazgotanym powietrzu. Na próżno próbował ich zagarnąć, pociągnąć za sobą w mury dworu. Nie widzieli dowódcy w ciemności, nie słyszeli komendy, byli pewni, że w budynku czai się też silna obsada niemiecka. Rozbiegli się wśród drzew, gonieni szczekaniem, gorączkowym ujadaniem trzymanyh na uwięzi owczarków. Jeszcze nie przyszedł na nie czas, gdy trzeba tropić utajone niedobitki rzezi. Co oznaczało jednak to ujadanie — wiedzieli. Psy niecierpliwiły się, podniecone hałasem, bitwą, szykującym się ludzkim mięsem. Ich kolejka przychodziła na samym końcu.

Czuł koło siebie ciągle młodego Kowalika, chociaż nie zdawał sobie sprawy z tego, że chłopak trzyma się go celowo. Kowalik nie miał broni. Ponieważ odwrót przez mur parkowy był całkowicie odcięty, istniało dla niego tylko jedno rozsądne wyjście — dostać się do dworu i wymacać, co się w nim kryje. Za osłoną murów można się było bronić. Do końca. Kowalik ciężko sapał obok niego, ale trzymał się blisko jego ramienia. Biegli obaj jak szaleńcy, nie zważając na flary, które już zaczęły oświetlać park. W potoku opadającego z nieba światła stawali się momentami widoczni tak, jak Adam z Ewą w raj. Wścickły

ogień schmeiserów niemal obrysowywał wtedy w powietrzu kontury ich ciał, walczących z przestrzenią o życie.

We trzech, razem, on z Kowalikiem i Świerk dopadli drzwi domu. Sztaba była odsunięta, stał przy nich ten człowiek — Zegarmistrz. Mimo serii grzęznących w drzewie zdołali założyć sztabę na drzwi. Nie patrzyli, czy Zegarmistrz gdzieś się ukrył, czy padł pod drzwiami, zajęli we dwóch ze Świerkiem stanowiska przy oknach. Kowalik przycupnął obok Świerka.

I wtedy od tyłu, z głębi hallu wyszedł żandarm. W hełmie. W ciemności widać było tylko posuwający się naprzód olbrzymi hełm. Zanim zdążył odwrócić się od okna, wycelował automatem niżej, gdzie musiały znajdować się piersi pod krocącym hełmem, seria żandarma zwała z nóg chłopca, syna fornala. Przeciął żandarma na pół — strzelał jeszcze wtedy, gdy to już nie było potrzebne.

Czarne sylwetki wyskakiwały zza drzew, szły ławą na dom. To były ostatnie chwile. Automat grzał mu ręce, pot zalewał oczy. Nie mógł ani na sekundę oderwać wzroku od zarośli parkowych, i tak mało co widział. Kierował ogień więcej w tę stronę, gdzie dostrzegł ruch niż w wyodrębniony, wyraźny cel. Bardziej instynkt niż słuch ostrzegł go, że został sam.

Świerk leżał na podłodze pod swoim oknem.

Wyjął granat, wyciągnął zawleczkę zębami i rzucił go między drzewa. To musiało ich na chwilę zatrzymać. Skacząc i przysiadając przedostał się do tamtego okna. Świerk miał otwarte oczy, jeszcze patrzyły.

— Strzelaj! — wychrypiał — strzelaj!

Wyrwał drugi granat zza pasa Świerka. Pióropusz ziemi powędrował w niebo i zderzył się w górze z opadającym światłem flary. Oświetlali dom, a to oznaczało, że już go mieli, już go wyluskiwali z ciemności, ostatniego.

— Franek, Franek — wybelkotał z wysiłkiem konający Świerk, partyzancki poeta — przysięgnij, że go zabijesz. Ze... gar... mistrza. Przy... się... gnij.

— Przysięgam — powiedział przez zaciśnięte szczęki. Ręka Świerka powędrowała ku ręce tego, który jeszcze żył, uchwyciła ją w śmiertelnym skurczu, przyciskając do mokrej od krwi

mundurowej kurtki.

Zbliżał się jazgot krótkich, macających wewnątrz hallu serii. Złapał za automat już uwolnioną ręką, ale omknęła mu się na spuście. Nie pojął, dlaczego. Nie myśląc, co robi, wytarł krew Świerka o spodnie. Puścił serię, bo już trzy postacie, czały się tuż za parapetem, oddzielała ich wzajemnie od siebie tylko cienka ściana. Z tamtej strony wysunęła się nagle ludzka ręka, wrzucająca granat do hallu. Zaterkotał automat Franka, palce ręki rozwarły się, rozcapierzyły i znikły. Nie słyszał wybuchu ani nie wiedział, że pada.

Usłyszał dopiero węszenie psa. W hallu było pełno Niemców, wyprowadzali skutego Kropiwnickiego. Przeszła mu przez głowę półświadoma myśl, że Zegarmistrz ocalał. Nigdzie go nie widział w czasie strzelaniny. Ale nawet to, że tamten człowiek wyniósł głowę z potopu, nie mogło go poruszyć, ponieważ sam nadal tonął w apokaliptycznym żywiole wojny. Nie zdawał sobie w pełni sprawy, gdzie się znajduje, ile czasu upłynęło od wybuchu granatu ani nawet, czy to, co widzi lub wydaje mu się, że widzi, jest rzeczywistością, czy przechodzeniem na drugą stronę życia, w śmierć.

Pragnął przekroczenia tego Rubikonu, bał się świadomości, bał się straszliwie, ale pies obwąchiwał jego ciało tak zaciekle, że obudził w nim instynkt życia. Zrozumiał, jeżeli odetchnie — zginie. Jeżeli tego nie zrobi — udusi się. Decydowały sekundy. Pies szarpał smyczą, wyżej znajdowała się ręka, która ją trzymała, obok głowy leżącego stały oficerki. W hallu było widno, musiały się palić świece. Przez chwilę nawet myślał, że płonie dom. Było mu niezwykle zimno i stąd wysnuł wniosek, że to światło nie może pochodzić od pożaru. Pies zniecierpliwił wreszcie oficera.

— Pfuj, Alex! — krzyknął na owczarka. — Zostaw to ścierwo. Stracisz węż.

Straszliwe węszenie odsunęło się na pewną odległość od jego ciała. Oficer widocznie odciągnął psa. Opuszczali z hałasem dom. Kłębili się i pokrzykiwali na siebie w parku. Dla rannego trwało to całą wieczność. Zawarczały motory ciężarówek, światła reflektorów przejechały po parku, spenetrowały jeszcze

wnętrze domu.

Drzwi na dwór stały szeroko otwarte, ciągnęło z nich zimno listopada. Świece paliły się nadal, na krześle. Odemknął ostrożnie powieki. Był pewien, że przez tę szparkę zobaczy wartownika. Podmuch wiatru przygiął płomień świec. Poza tym jednym śladem ruchu, cały dom zamarł, zamilkł jak świeżo zamurowany grobowiec. Leżał twarzą do piersi martwego Świerka, kawałek dalej straszliwie zmasakrowany Kowalik. Wydawało mu się, że chłopak nie ma głowy, ale wziął to na karb zamąconej świadomości. Przedmioty rozmywały mu się w oczach. Zamknął powieki, aby nie widzieć ciała bez głowy. Poruszył rękami, jednej nie mógł unieść. Spróbował usiąść, znajdując oparcie dla pleców w ciele Świerka. Zastanowił się, jakim cudem żyje. Ale zrozumiał to dopiero wtedy, gdy udało mu się podczołgać do zgruchotanego lustra, które stało w hallu. Ujrzał się w stu portretach, w każdym skrawku rozbitego kryształu osobno, ale wystarczająco wyraźnie. Był skąpany we krwi Świerka, Kowalika i własnej. Nie miał oczu, brwi, czoła, żadnych ludzkich rysów. Wyglądał jak krwawy manekin. Cofnął się gwałtownie przed swoimi wizerunkami, spoglądającymi na siebie krwawymi, identycznymi twarzami wielogłowego wampira. Pomyślał, że dostał w lewe ramię.

„Dostałem w lewe ramię. Muszę stąd wyjść. Jak? W takim stanie nie przejdę nawet stu metrów. Muszę zdjąć ze siebie te łachy. Muszę umyć twarz. Muszę nawet na czworakach dostać się do kuchni, do wody”.

Człowiek walczący o życie jest silny. Nieskończenie. Silniejszy od zwierza. Woda przywróciła mu trochę sił, zwłaszcza trzeźwość. Mógł się utrzymać na nogach. W ramieniu musiał tkwić odłamek granatu, to nie była kula, znalazł się na ranach. Bolało straszliwie, ale krwawiło znacznie mniej niż przy postrzale. Odłamek wszedł głęboko w mięśnie, oparł się na kości przedramienia. Powoli przysuwał się do ściany, chwiejnie, krok za krokiem, aby później wzdłuż niej dotrzeć z powrotem do hallu.

„Wtedy usłyszałem kroki”.

Usłyszał je teraz znów i szukając ratunku przed bestialstwem

pamięci, wcisnął jeszcze mocniej głowę w hotelową poduszkę. Nie pomogło. Umierał na przestrzeni sekund po raz drugi, jak w tamtych chwilach, gdy budził się pod ciepłym, wężącym oddechem rozjuszonego żywym ciałem owczarka. To był mądry pies, mądrzejszy od swego pana.

Kroki zbliżały się z drugiej strony domu, od zabudowań folwarcznych. Pomyślał, że jednak przysyłają wartę i że nie będzie dla niego wyjścia z tej kuchni, mimo to ukrył się. Schował się za wielką skrzynię z węglem, tam, skąd kiedyś małe dziecko, dziewczynka wyciągnęła butelkę z naftą, gdy przyszedli pierwszy raz do dworu. Tamto skojarzenie, przypomnienie pokierowało odruchami. Legł za skrzynią, oczekując obchodu domu. Powinien to zrobić każdy rozsądny wartownik. Zatrzeszczało głośno szkło pod nogami człowieka, który wszedł do hallu. Stąd wiedział, gdzie on się znajduje. Ale natychmiast ten krok zelżał, począł wyszukiwać na podłodze wolne od zasadzki miejsca. Tamten człowiek — skradał się. Nie chciał, by go usłyszano albo był po prostu bardzo ostrożny. Frankowi zaświtała nadzieja, że to może być zwyczajny złodziej, ukryta hiena wypełzająca zawsze i wszędzie w czas kłeski. Skulił się mocniej za skrzynią, bo jeżeli to złodziej, jego życie byłoby dla złodzieja akurat tyle samo warte, co dla żandarma. Złodziej jednak nie szuka niczego w kuchni i w takim wypadku ranny mógł się uratować. Modlił się żarliwie, niemo o złodzieja. W wielkiej ciszy umarłego domu jego słuch nie musiał się natężyć, aby wiedzieć, dokąd idzie i czego szuka obcy, lekki krok. Mimo to stał się czujniejszy od łasicy, lisa i kuny. Człowiek szedł w głąb domu, tam, gdzie znajdowały się pokoje. Chwilę nie słyszał go wcale, do momentu, gdy huk walącego się szkła oznajmił mu, że tamten buszuje wśród naczyń i porcelany. Przypuszczał, że obcy dobrał się do kredensu.

Huk przestraszył także nieznajomego, trwali więc obaj długie chwile z przytąjonym oddechem, chociaż tamten nic nie wiedział, że ma świadka i towarzysza swoich czynów. Potem ten człowiek ruszył z powrotem w kierunku wyjścia, ale już nie szedł lekko, a w hallu nie mógł omijać szkła, które znów

trzaskało zbyt głośno pod jego stopami. Musiał nieść coś ciężkiego. Ranny czuł to, wiedział, bo zagrożenie wyzwała w człowieku szósty zmysł, że tamten, obcy, także się boi. Umierał ze strachu dźwigając swój ciężar, jak ten przytający, schowany przed nim za skrzynią. Ranny tamował oddech, chociaż już niczego nie było słycać, gdy znów odkrył nieznanego blisko siebie. Obcy człowiek przechodził obok kuchennego okna. Leżący za skrzynią już był bezpieczny. Wyczołgał się zza tej barykady i podpełznął do parapetu. Ostrożnie wychylił głowę, tyle, żeby oczy mogły dojrzeć ścieżkę biegnącą w stronę czworaków. Zobaczył tylko plecy obcego mężczyzny. Ręce coś dźwigały, czego zrazu nie mógł zidentyfikować, później dostrzegł głowę zwisającą z jednej strony męskich ramion, z drugiej — kołysały się bezwładne nogi. Obcy człowiek niósł dziecko. Ranny opadł bez sił pod oknem, przywarł twarzą do desek kuchennej podłogi.

„Dziecko. Mieszkało tam przecież dziecko — pomyślał błędnie mężczyzna leżący na hotelowym łóżku. — Dziewczynka znaleziona przy torze kolejowym przez Zegarmistrza. Musiała gdzieś być, ukrywać się w czasie bitwy, a ja po prostu o niej zapomniałem. Na rękach tego człowieka, którego wtedy nie rozpoznałem, wyglądała jak martwa. Byłem pewny, że gestapo zabiło także dziecko”.

Macając po ścianach zdrową ręką, zapewniając sobie w ten sposób oparcie, ranny wrócił do hallu. Świece się dopalały, wyrwana granatem posadzka, szczątki mebli czyniły to wnętrze podobne do krateru wygasłego wulkanu. Hall był doszczętnie zrujnowany. Spróbował ustalić, w jaki sposób uniknął śmierci. Zbliżył się do zabitych. Obaj byli naszpikowani odłamkami. Jeszcze po śmierci spełnili żołnierski obowiązek, osłonili go. Nie miał żadnych zwidów, gdy leżał tu, między nimi, jak kolega.

Wybuch granatu oderwał martwemu już Kowalikowi głowę.

Ranny rozbierał się z partyzanckich łachów godzinę. Dwa razy więcej czasu stracił na zdjęcie z Kowalika cywilnego ubrania i przełożenie na niego swojej koszuli, sztywnych od krwi bryczesów i watowanej kurtki. Nigdy by tego nie dokonał,

gdyby zwłoki zupełnie ostygły. Usiłował nie patrzeć przy tych czynnościach na tors chłopca. Był przyzwyczajony do ran, śmierci, ale Kowalik zginął tylko dlatego, że on pozwolił mu się zabrać z oddziałem. Dwa razy straszliwie chłopca ranili.

„Dla mnie to nie miało żadnego znaczenia, że granat urwał Jurkowi głowę po śmierci — myślał teraz. — On był dla mnie jeszcze żywy, ciepły, ten sam. Dla mnie to była druga rana. Sam między nimi leżałem i byłem martwy. Wróciłem na tę stronę w niepojęty dla mnie do dziś sposób, a oni tylko i po prostu tam zostali. W każdej następnej chwili musiałem się godzić, że znów stanę się martwy. Identyczny jak oni. W takich razach granica między życiem a śmiercią zaciera się, przestaje istnieć”.

Skończył jednak ubierać Kowalika i musiał przy tej czynności pomagać sobie drugą ręką, chociaż za każdym ruchem klucie, przesywające mu nie tylko ramię, ale piersi na wylot, przyprawiało go niemal o zemdlenie. Martwy miał lepsze buty od niego, jego czekała wędrownica, więc syn fornala oddał rannemu także buty. Swoich nie potrafił Jurkowi założyć. Ból sparaliżował mu lewą stronę ciała. Ale nie mógł tak odejść. Było ich siedemnastu, rachunek powinien się zgadzać, wszelkie pozory mu siały być zachowane.

Kowalik dołączył do nich w ciemności, szli gęsiego, jak cienie, razem z Frankiem zamykali pochód. Nikt nie wiedział, że Kowalik poszedł z nimi, a Świerk zamilkł już na zawsze.

Ranny spróbował ująć swój but obiema rękami, krzyknął z bólu, ale pchał but na martwą nogę, napierał na mego piersiami. Łkał z bólu jak smarkacz, płakał, łzy ciekły mu po twarzy, ale nie ustąpił. Włożył zmarłemu swoje buty. Kiedy z tym skończył, podniósł się na nogi. Świece na krześle wypaliły się, zagasły, a jednak widział otoczenie. Uprzytomnił sobie, że świta. Przestraszył się. Mogli tu wrócić za dnia po zabitych, zrewidować dwór, przeszkodzić ludziom w sprawieniu chłopcom przyzwoitego, należącego człowiekowi pogrzebu. Wiedział, że musi uciekać i że resztki nocy, walczące ze światłem, są jego jedyną osłoną i sprzymierzeńcem. Miał szanse przejść szosą do miasta tylko nocami. Lasem nie dałby rady, był na to za słaby. Musiał się dostać do szpitala w

powiatowym miasteczku. Dzieliło go od niego 27 kilometrów. To była dla niego taka sama droga, jakby chciał dotrzeć do Moskwy.

Błysnęło mu w głowie, że przydałaby się teraz, właśnie teraz, parabelka. Gestapo zebrało broń, ale on położył pistolet na parapecie okna, przy którym strzelał. Mógł tam jeszcze leżeć. Na oknie ani pod oknem niczego nie znalazł. Ostrożnie wysunął się do parku, nie zamykał za sobą drzwi domu, zostawiał wszystko tak, jak było. Niczego nie zmieniał ani nie ruszał. Już był w bocznej alei parkowej, gdy coś kazało mu zawrócić. Wszedł na rabatę pod oknem, przy którym strzelał, nogami rozsuwał, macał wśród schnących badyli. Jakiś przedmiot, ciężki jak kamień, podskoczył i trzepnął go w nosek buta. Nachylił się. Trzymał w rękach swoją parabelkę. Wybuch wyrzucił ją na zewnątrz, do ogrodu. Podmuch szedł od środka hallu, w stronę frontowych okien.

„I ja ją spuściłem do rzeki — to przypomnienie niemal podrzuciło go na łóżku. — Pozbyłem się jej jak idiota. Broni, która do mnie sama wróciła. Boże, co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem?”

Zacisnął dłoń, poczuł lepkość jej wnętrza. Uniósł głowę, powoli rozprostowując pięść, śledził swoją rękę jak kawałek obcego ciała. Nie, nie było na niej krwi, jak wtedy, gdy wyrwał ją z zaciśniętej dłoni Świerka.

„Mam zwidy. Takie stany prowadzą do domu wariatów. Skąd mógłbym mieć teraz krew na rękach? To było 25 lat temu. Nie, dokładnie dwudziesty ósmy rok”.

Słuchaj, stary — powiedział głośno w pustkę hotelowego pokoju — ja dotrzymałem słowa. Ale pomyliliśmy się, obaj. Ty i ja. Nie pomściłem chłopców, bo... nie było na kim. Nie ma! Świerk, słyszysz mnie, bracie. Słyszysz! Świerk. Gdyby to nie ty, gdybyś to nie ty mi kazał... poszedłbym, gdzie oczy poniosą, zaraz po wojnie. I nigdy nie wróciłbym na stary szlak. Jezus Maria... za późno.

Rozdział XVII

Czuł się jak intruz we własnym mieszkaniu, niepokój pędził go z korytarza do kuchni, stamtąd do pokoju i z powrotem — wahadłowym, bezmyślnym ruchem zwierzęcia zamkniętego w klatce. Nie mógł na niczym skupić dłużej uwagi. Znajome, sympatyczne dotąd wnętrze stało się dla niego zupełnie obce. Po sprzętach wały się otwarte paczki, zakupy dokonane przez Irenę w Warszawie. Jego czarny, wyjściowy garnitur wisiał na oparciu krzesła. Wydawało mu się, że te wszystkie przedmioty zostały przez nieświadomą niczego Irenę wyciągnięte, porozrzucane, aby samym swoim istnieniem demonstrować fałsz i szyderstwo sytuacji, w jakiej się znalazł. Zerwał uroczystą marynarkę z krzesła i wrzucił ją na wieszak do szafy. Zrobiło mu się lepiej. Właśnie ona narzucała się najsilniej wyobraźni. Przypominała, co będzie musiał zrobić jutro, pojutrze, co będzie robił zawsze, podczas gdy w nim nie było już miejsca na żadne bezsensowne gesty.

Ktoś dzwonił do drzwi. Przez moment miał nawet chęć wcale nie otwierać. Udać, że go nie ma w domu. Później pomyślał, że to może być ktoś z elektrowni albo listonosz. Irena stale oczekiwała teraz listonosza. Przelamując niechęć do stanięcia wobec jakiegokolwiek człowieka, do otwarcia ust, żeby mówić, wyrzucać z siebie słowa — dźwięki bez znaczenia, powędrował do przedpokoju.

Nigdy nie widział mężczyzn, którzy stali w progu, ale coś mu natychmiast podpowiedziało, że wołałby ich nie oglądać.

— Pan Jerzy Kowalik? — zapytał jeden z nich, starszy, bardziej pewny siebie i zrównoważony.

— Tak.

— Możemy wejść?

Nie czekając na zaproszenie, mężczyzna wszedł do wnętrza i rozejrzał się uważnie naokoło, chociaż zrobił to naturalnie i bez ostentacji. Drugi najwyraźniej mu towarzyszył, zachowując pewien dystans, jakby był podwładnym.

— Przychodzę do pana w sprawie morderstwa zegarmistrza z Bródna, Aleksandra Kropiwnickiego — poinformował kapitan

Korda od razu.

„Który to dziś jest? — myśli składały mu się nierychliwie. — Pierwszy grudzień. Tak. Miesiąc. Trzydzieści dni. Prędko”.

— Rozumiem — odezwał się i zdziwił się, że tak doskonale nad sobą panuje. Bronił się, nie zdając sobie z tego sprawy, nie czyniąc takiego postanowienia. — Nie rozumiem tylko, co ja mógłbym panu powiedzieć?

Kapitan odsunął jakąś rozwiniętą paczkę, która leżała na fotelu i usiadł bez zaproszenia, to samo proponując Kowalikowi. Drugi mężczyzna stanął przy oknie. W ogóle zastanawiała tu ilość pakunków w pośpiechu i zapewne niecierpliwą ręką rozrzuconych.

— Mógłbym zabawić się z panem w bardzo długie, bardzo męczące i nieprzyjemne dla pana śledztwo — wyjaśnił kapitan Korda spokojnie. — Mógłbym systemem pytań i odpowiedzi udowodnić panu krok za krokiem wszystkie pana działania na przestrzeni 28 lat. Bez mała. Mógłbym opowiedzieć panu po prostu pańskie życie. Ale... to nie jest nam potrzebne. Mamy w rękę wszystkie dowody, a ja nie lubię dręczyć nawet przestępców, jeżeli to nie jest konieczne. W pana wypadku nie zachodzi taka potrzeba. — Kapitan sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dwie fotografie. — Proszę, niech pan sobie to obejrzy.

Bez żadnego podniecenia wyjął zdjęciu z rąk kapitana. Swoje odłożył zaraz na stolik, z drugiego patrzyła na niego młoda, roześmiana twarz Jurka Kowalika. Spoglądał na nią dłużej, niż wymagało tego rozpoznanie chłopca, który zginął z rąk żandarma podstępnie ukrytego w ciemnościach hallu, w domu Donerów. Zresztą nigdy nie uleciały mu z pamięci rysy tej twarzy. Widział ją zawsze żywą, bo martwej po prostu nie było.

— Nie wiem, do czego i dlaczego miałyby mi wystarczyć czyjaś fotografia?

Kapitan Korda uśmiechnął się prawie z rozbawieniem.

— Woli pan sobie ze mną porozmawiać? Dobrze. Ale proszę pamiętać, że to jest pana decyzja. Chce mi pan zasugerować, że nie zna pan dobrze tego chłopca. Ale znał pan, prawda?

— Możliwe. W czasie wojny spotykało się sporo różnych ludzi.

— Zdumiewające zdarzenie — pozwolił sobie kapitan na ironię. — Pół życia spędził pan legitymując się papierami tego chłopca i nie wie pan dokładnie, kim on był?

„Ludzie opowiadają, że strach paraliżuje ręce, jeży włosy na głowie, oblewa zimnym potem — stwierdził ze zdumieniem. — Czyżbym nie potrafił się już bać? Jest mi tak doskonale wszystko jedno, obojętnie i dobrze. Nareszcie mam spokój”.

— Jak mi pan to udowodni? — zapytał prawie z ciekawością.

Kapitan wiedział, że ma przed sobą człowieka, który od kilku minut pozbywa się sam siebie, staje obok własnego życia i losu. Patrzy na siebie z zewnątrz, ogląda kogoś, kto go już niewiele obchodzi. Znał i takie stany u ludzi, ale nie zdarzało mu się to zbyt często.

„Pamiętasz?... chyba jeszcze tam, na Bródnie, w tym muzealnym domku powiedziałeś sobie, że natrafisz na smutnego faceta. I że to będzie kiepska sprawa”.

— Nie traćmy czasu — powiedział głośno — żyje brat i siostra Kowalika. Pan posługiwał się również jego metryką urodzenia. To nie było dla nas trudne, odnaleźć pana, mając wszystkie dane. To jest niezbyt skomplikowana operacja. Przedstawiliśmy rodzeństwu Kowalika pańskie zdjęcia, zupełnie nie pokrywały się z tym, które rodzina ma w domu. Pieczołowicie przechowywane, proszę pana. Najmłodszy syn Wawrzona zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach. Ciągłe mieli nadzieję, że gdzieś jest, żyje, że pochłonęła go tylko zawierucha wojenna.

— I wypłynie jako bogaty wujek z Ameryki — zakpił sobie mężczyzna, patrząc wprost w oczy kapitana. — Nie, ma pan rację — dorzucił — nie wróci.

— Pogrzebał go pan pod swoim nazwiskiem, panie Olenderczyk, co?

Mężczyzna drgnął. Wyraz bezradności, bardzo ludzki, pojawił się na jego twarzy i stał z niej obojętność. Zapomniał już swego nazwiska, był pewny, że nigdy go nie usłyszy. Zabrzmiało teraz jak wystrzał, a może mocniej, bo po prostu jak pogłos całej przeszłości, od dzieciństwa do wieku młodzieńczego. Najważniejszego i najmocniej zapisującego się

w człowieku.

— Ja? — uśmiechnął się gorzko. — Ja go nie grzebałem pod żadnym nazwiskiem. Jego pogrzebali. Pod moim i za mnie. I nawet ... wówczas nie przewidziałem tego tak dokładnie. Po prostu sam musiałem zniknąć, uciekać. O niczym więcej nie myślałem. O żadnej zamianie dokumentów. Nie było na to czasu. Byłem ranny. Dokonałem w ciągu tej nocy wyczynu, który dziś nie mieści mi się w głowie. Prawie tylko jedną ręką umyłem się, przebrałem potem siebie i Jurka — martwego. Wie pan, co to jest ubierać trupa? A ja — byłem ranny. Cały dzień przesiedziałem w lesie, na skraju szosy, miałem gorączkę, majaczyły mi się różne rzeczy. Nocą wyszedłem na drogę. Jak przeszedłem te dwadzieścia siedem kilometrów, nie umiem sobie do dziś odtworzyć, uprzytomnić. Zataczałem się, padałem, kładłem się co jakiś czas do rowu, ale doszedłem. W szpitalu zaraz zażądali ode mnie dokumentów. Musieli być kryci. Wtedy uprzytomniłem sobie, że moja Kennkarta została w kurtce, w waciaku. Miałem w marynarce Jurka jego dokumenty. I to nawet wyszło szpitalowi na dobre. Ja — nosiłem meldunek warszawski. Czym w razie kontroli tłumaczyć obecność takiego pacjenta? Gestapo po tej mordowni w parku Donerów węszyło jak wściekłe. Jurek miał meldunek miejscowy. Zamiana fotografii w tamtych czasach, stempel z gapą — to były dziecinne zabawki. Organizacje podziemne działały na terenie szpitali. Zwłaszcza w szpitalach. Bez nich setki ludzi rozstałoby się z tym światem i nie oglądałoby dziś światła dziennego na oczy. Szpitale uratowały tysiące rannych. Mnie też uratowali. Tak zostałem Kowalikiem. Tylko tak.

— Ale to się panu przydało, później — zauważył kapitan Korda zimno — w czasach, które absolutnie nie wymagały od pana fałszerstw. Żył pan we własnym społeczeństwie i we własnym kraju. Kto wydał panu metrykę Kowalika?

— Urzędnik z parafii, w 1945 roku — odpowiedział bez obawy mężczyzna. — Książdz został wtedy przytrzymany. Wszyscy, którzy mogliby mnie znać, a takie niebezpieczeństwo istniało, zniknęli z parafii, jak kamfora. To był dla mnie dobry

moment. Nowy człowiek w kancelarii parafialnej był zupełnie zielony. Powiedziałbym, że naiwny jak dziecko, gdyby jego głupota nie płynęła po prostu z nieznamości terenu i miejscowych ludzi, spraw, okupacyjnych między tymi ludźmi związków, panie kapitanie. Z metryką mogłem sobie już później na wszystko gwizdać.

— Niezupełnie — zauważył cierpko Korda.

— A tak — zgodził się z nim mężczyzna — niezupełnie, skoro pan tu jest. Ale to ja sam pana tu sprowadziłem.

Ta znajda, doktor Bojarska, prawda? Gdybym do niej nie poszedł, drugi raz...

Kapitan ukrył zdziwienie.

„Był u niej? — pomyślał — Znów? Kiedy? Ale nie, bracie, ona tu nie zagrała żadnej roli. Ja już cię miałem. Zaprowadziła nas do ciebie cmentarna tabliczka na grobie Franka, Kazimierza Olenderczyka. Jeżeli jakiś Franek, według doktor Bojarskiej, kręcił się nadal po świecie, to nie mogło być was dwóch. Tylko jeden mógł być prawdziwy. Należało rozwikłać który. Punktem wyjścia było — mimo wszystko — niewytłumaczalne zniknięcie Kowalika. Nawet w latach wojny zostawała po człowieku choćby plotka, ludzki domysł, czasem oparty na czymś bardzo kruchym, na wodzie pisany. Absolutne milczenie budzi podejrzliwość. Zmusza do myślenia. Z myślenia zawsze coś wynika. Było możliwe, że Jerzy Kowalik chodzi na twoich papierach jako Franek i Kazimierz Olenderczyk, a ty rzeczywiście spoczywasz pod zgrabnym, zadbanym przez okoliczną ludność pagórkiem. Istniała i taka możliwość, że ty sam żyjesz na dowodach Kowalika, a on dalej gra twoją rolę, leżąc pod zieloną darnią. Należało zatem zaczynać od tego, który miał nie tylko nazwisko, ale jeszcze miejsce, datę urodzenia, ojcu, matkę, żyjącą rodzinę. To on zapadł się pod ziemię, nie Franek, ale mógłby wypłynąć, gdybyśmy go poszukali. Znalazł się pod twoją postacią. Tej wersji brata nie chciało jednak zaakceptować rodzeństwo”.

— Po co pan chodził do doktor Bojarskiej? — zapytał dla jasności obrazu, ponieważ nie był zupełnie pewny, o jakiej wizycie wspominał mężczyzna. Czy tej u dziewczyny, czy jakiejś

innej, o której kapitan nie miał pojęcia. Siedzący przed nim człowiek powiedział jednak „doktor Bojarska”. To nazwisko, tytuł odnosiły się do czasu teraźniejszego.

— Po co? — rozciągnął sylaby mężczyzna. — Czy ja sam wiem? Coś mi się nie zgadzało. Później... po tym... po Zaduszkach.

— Aha, potem? A przedtem nie cofnął się pan przed takim krokiem? — Irytacja narastała w kapitanie, chociaż wiedział, że nie wolno mu się angażować emocjonalnie akurat i zwłaszcza w tę sprawę, cokolwiek budziłby w nim człowiek, z którym rozmawiał.

— Ja? — zdziwił się serdecznie mężczyzna. — Ja nie miałem żadnego wyboru. Ja — przysiągłem. Zginęło siedemnastu ludzi. Za nic. Najlepszych chłopców, jakich nosiła ziemia. Pan nie może sobie tego wyobrazić.

„Mogę, niestety mogę, ale to nie ma nic do zabójstwa popełnionego teraz. Przykre, ale mógłbym go uderzyć”.

— Ja byłem tylko ręką losu — dodał mężczyzna ciszej.

— Czy człowiek może w ogóle twierdzić, że jest automatem?!

— krzyknął kapitan. — Wszystko robimy świadomie. Nasze czyny są następstwem naszych postanowień. Niczym innym, niczym więcej ani mniej. Czy nie brał pan nigdy pod uwagę, że wszystko się zmienia razem z biegnącym czasem? Zbudowaliśmy przez te lata inny kraj, nowe społeczeństwo. Cały świat naokoło przechodził niewyobrażalne wstrząsy. A pan... Czy dla pana czas się zatrzymał?

— A czym było zatrzymanie zegara przez to dziecko? Dla mnie właśnie zatrzymaniem czasu. Nic nie mogłem zrobić przeciwko temu.

— Tamten wypadek to była wojna — odrzekł kapitan Korda ze zmęczeniem. — A panu, panu się wszystko pomieszało. Wojna z normalnym życiem. Prawo z bezprawiem. Legenda z twardą rzeczywistością, bo rzeczywistość jest bezwzględna i o tym powinien wiedzieć, przynajmniej każdy mężczyzna.

„Ileż ja razy słyszałem te śpiewki — myślał jednocześnie. — Ile razy? Na ile tonów, sposobów, wariantów. Od ilu i jak różnych ludzi, w ilu i jak różnych okolicznościach. Kiedy będzie

z tym nareszcie koniec? Kiedy my nareszcie wyleziemy z tej przekłętej wojny? Trzy dziesięciolecia miną niedługo i dalej ta zabójcza, niszcząca czkawka”.

— Nic mi się nie pomieszało — powiedział mężczyzna. — Żyłem, pracowałem jak inni. Macie mi coś do zarzucenia?

— Morderstwo! — krzyknął kapitan. Ogarniała go pasja, ale ją zdławił.

Mężczyzna pokręcił głową.

— To... to nie było morderstwo. To był ... straszny zbieg okoliczności.

— Z powodu zbiegu okoliczności żył pan dwadzieścia siedem lat na fałszywych papierach? Oszukiwał pan przyzwoitych ludzi, bo nie z samych łobuzów składa się ten świat. Oszukiwał pan władze swego kraju. Z powodu przypadku ścigał pan przez ćwierć wieku człowieka, chociaż to są nasze sprawy, nasze, nie pana! My jesteśmy od dawania odpowiedzi na pytanie, czy ktoś popełnił przestępstwo, czy nie. Prawo w tym kraju będzie wymierzać sprawiedliwość, nie samozwańcy, nie pozał się Boże mściciele od siedmiu boleści. I co pan narobił? — powiedział nagle w taki sposób, jakby miał osobistą pretensję do tego mężczyzny i chyba tak właśnie było, bo człowiek przed nim — dla niego — był tylko głupcem. „Mogę być też czasem bezradny — pomyślał — i co z tego, że nie powinienem? Starzeję się. Za dużo widziałem, rozumiem, pamiętam”. — Co pan sobie zrobił? — powtórzył. — Sobie, rozumie pan?

Mężczyzna przyjrzał mu się ciekawie.

— Pan też maczał palce w tej wojnie, co? Był pan pewnie w partyzantce albo w tym waszym wojsku. Mógłbym dać za to głowę. Inaczej nie byłby pan dość dobry do takiej roboty. Wiem, co sobie zrobiłem, ale co to pana może obchodzić?

— Zupełnie nic — rzucił kapitan z odcieniem ironii. — Z przyjemnością spisuję jeszcze jednego człowieka na straty. Pan sobie zmarnował życie z beznadziejnej głupoty — powiedział nareszcie brutalnie i sprawiło mu to ulgę. — I żeby to było zaraz po wojnie. Ale teraz? Teraz. Czy tyle panu wystarcza? Coś wyjaśnia?

— Niewiele. Nic — stwierdził mężczyzna obojętnie. —

Człowiek może sobie pomóc tylko sam.

Kapitan Korda pokiwał głową.

— To nie tylko pana błąd. Błąd w założeniu od samego początku. Myśmy panu nic nie mogli pomóc, komuniści, prawda? — Kapitan uśmiechnął się, ale nie było w tym żadnej wesołości. — Człowiek jest tyle wart, na ile stanowi część społeczeństwa — powiedział twardo. — Każdego społeczeństwa, to jest takiego, w jakim żyje. Od faktów nie ma uciezki. Człowiek jest tyle wart, na ile szacuje go to społeczeństwo. Dopóki to nie trafi do przekonania trzydziestu milionom, będą się zdarzać rozmaite historie, nawet takie, jak pana. W różnych, oczywiście, wariantach. Bo nie tylko stare sprawy grają tu swoją rolę. Nie tylko. Kiedy pan był u doktor Bojarskiej?

Mężczyzna podniósł nieobecny wzrok na kapitana. Wracał skądś, stamtąd, gdzie był, do rzeczywistości.

— Kiedy? Przedwczoraj. Szybko pan działa — dodał.

„Nie zawiadomiła nas — stwierdził kapitan. — Dlaczego? Byłem pewny, że to zrobi. Ludzie są zawsze zagadką. Jakkolwiek rozstawiłoby się pionki na szachownicy, razem z nami rozgrywa naszą partię niewiadoma. Przewidzieć ją... tak... właśnie przewidzieć. Czy można jednak przewidzieć drogi ludzkich myśli i odruchów we wszystkich, zwłaszcza niespodziewanych, okolicznościach? Każdy człowiek jest inny.”

— O czym pan z nią mówił, no? O czym?

— Właściwie — mężczyzna zawahał się — nie wiedziałem nawet, czego się z początku przyczepić. O co zahaczyć. Ale ona... powiedziała mi sama. A może pan wie, dlaczego jednemu człowiekowi przytrafi się taki cholerny interes, a drugiemu nic, gładko idzie życie?! — krzyknął. — Dlaczego tej dziewczynie zebrało się pa szczerość, gdy niczego nie można już odwrócić, zmienić ani zatrzymać? Nie mogę ciągle pojąć, dlaczego ona powiedziała mi prawdę przedwczoraj, a nie osiemnaście lat temu, w Lublinie?

„Bo nareszcie zawierzyła prawu. Nareszcie poczuła się bezpieczna. Przestała się bać. Gdybyś ty zawierzył prawu — pomyślał kapitan — nie musiałbyś teraz zadawać sobie takich

pytań”.

Kazimierz Olenderczyk, Franek, Jerzy Kowalik obejrzał się po rozgrzebanym pokoju. Znać było tutaj pośpiech i gorączkę nadchodzącego zdarzenia, najważniejszego w życiu kobiety, które się już nie dokona i nie spełni. Pomyślał, że może istnieć śmierć zdarzeń, jak ludzi. Urwanie wątku. Dlatego zapytał:

— Czy ja mogę napisać i zostawić kartkę na stole?

Kapitan kiwnął głową. Odwrócił się, gdy drugi mężczyzna pisał, nie rzucił nawet okiem na słowa skreślone na oddartym z paczki papierze.

Przykro mi, że się już nie zobaczymy. Naprawdę. Ale cieszę się, że ty nie będziesz musiała spoglądać w przeszłość. Ze mną to by tak wyglądało. Zawsze. Możemy czegoś oczekiwać tylko od terażniejszości. Tylko — od przyszłości.



Pamiętał jeszcze swoje rozczarowanie, zawód, niemal rozpacz. I ten dzień, gdy przyszedł do dziewczyny na stację w Lublinie. Obawa. Widziała go raz, jedyny, wtedy gdy odwróciła się od pieca i zeskoczyła ze stołeczka. Ale wówczas, pamiętał to dobrze, bała się tylko automatu. Musiała spotkać się już z tym przedmiotem w niedobrych okolicznościach. Był w radzieckiej pelerynie i kapturze naciągniętym na głowę. Na dobrą sprawę nie widziała z jego twarzy żadnego fragmentu poza oczami. Zarost pokrywał mu brodę i policzki. I... miała pięć lat, a on — dwadzieścia.

A jednak — bał się. Bał się i musiał do niej iść. Była jedynym ogniwem, drogą prowadzącą do Zegarmistrza. Zaskoczyła go najpierw uroda i zdrowie dziewczyny. Ktoś musiał o nią dbać, tak nie wyrastają dzieci źle żywione, nie myte, pozbawione opiekuńczej ręki. Jej wygląd stał się z miejsca jego nadzieją. Niemal równała się z nim wzrostem. Okazała się nieprzystępna i malomówna...

CENA ZŁ 18.—

ISKRY